

Za morze!



JÓZEF SIEMIRADZKI

Za morze!

SZKICE Z WYCIECZKI DO BRAZYLII

ROZDZIAŁ I

Cel wyprawy. Odjazd z Europy. Lizbona. Czarny królik Dakaru. Murzyńskie miasto. Nieudane próby fotografii. Typy uliczne.

Trzeci rok mija od czasu, gdy opinia publiczna, zaledwie odetchnąwszy po procesie wadowickim¹, który wykazał straszliwe nadużycia i zdzierstwa, jakich lud nasz pada ofiarą ze strony werbowników zamorskiej emigracji, została ponownie wstrząśnięta do głębi nagłym, gorączkowym ruchem wychodźczym włościan² naszych do Brazylii. Żadne perswazyje, nawet kordony wojskowe wystawione na granicy i utrudnienia paszportowe, czynione przez rząd niemiecki, nie były w stanie powstrzymać tego tłumnego wychodźstwa, grożącego wyludnieniem kilku nadgranicznych powiatów Królestwa Polskiego³. Na domiar złego nie wiedzieliśmy nic zgoła ani o Brazylii samej, ani o tajnych sprężynach tego ruchu. Trudno było przeto zapobiegać złemu, którego źródłaśmy nie znali, a w części umyślnie wiedzieć nie chcieli, a jeszcze trudniej pouczać prostaczków o kraju, który nam, inteligencji, był znany ze szkolnych podręczników geografii, kraju wielkim jak cała Europa, który, w określeniach dziennikarskich zwłaszcza, pragnięto wcisnąć w ramki następujące: Amazonka, Rio Janeiro, niewolnictwo, kawa i żółta febra⁴. Poza tym istotnie nie wiedzieliśmy nic zgoła.

Tymczasem zaś przeróżnymi drogami, pomimo ścisłej kontroli rządowej, nadchodziły odezwy pełne szumnych obietnic raju na ziemi, w których najbezcześniejsze kłamstwa pomieszane były zręcznie z prawdą, a wszystko przybrane w szatę ponętną i zręczną, dowodzącą, iż ci, co na czele tej agitacji stali, musieli znać wybornie słabe strony ludu naszego i grali też na nich — rozdmuchując przede wszystkim nienawiść do dworów i szlachty, uderzając w czułe struny katolicyzmu i jeszcze czulsze — nędzy materialnej, która za morzem jednym zamachem skończyć się miała. I jakże miał wierzyć włościanin dziedzicowi lub księdzu, gdy mu dowodzili na przykład, że przysyłane im z Hamburga bezpłatnie i rozdawane przez agentów, krążących po wsiach, „szyfkarty”⁵ były świstkami bez wartości — gdy za takim świstkiem Bartek lub Wojtek z tej samej wsi już wyjechał; jak mogli wierzyć inteligencji, która, sama zresztą w to wierząc, tłumaczyła im, że pójdą w niewolę zamiast Murzynów, gdy znówuż tenże Bartek lub Wojtek przysłał tajemną drogą list, opisujący jako na „kolonii” otrzymanej zebrał dwa kopce kartofli i kopiec *pieprzu!* — ten pieprz zwłaszcza imponował. Agent wmawiał w chłopu, iż dziedzic dlatego

Emigrant

¹*proces wadowicki* (1889–1890) — głośny proces w galicyjskim miasteczku Wadowice przeciwko grupie przestępczej, która zajmowała się oszustwami emigracyjnymi, wymuszeniami od osób usiłujących wyjechać do pracy w USA oraz stręczycielstwem kobiet; na ławie oskarżonych zasiadło 57 osób, przesłuchano ponad 400 świadków; przebieg procesu relacjonowała prasa europejska i amerykańska. [przypis edytorski]

²*włościanin* (daw.) — chłop. [przypis edytorski]

³*Królestwo Polskie* — państwo utworzone na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego z terenów dawnej Rzeczypospolitej pod zaborem rosyjskim, połączone unią personalną z Imperium Rosyjskim, istniejące w latach 1815–1918. [przypis edytorski]

⁴*żółta febra* — tropikalna choroba przenoszona przez komary, w postaci ciężkiej objawiająca się nawracającą gorączką oraz uszkodzeniami wątroby powodującymi żółtaczkę (żółte zabarwienie skóry i białkówki oczu). [przypis edytorski]

⁵*szyfkarta* (z niem. *Schiffskarte*) — bilet okrętowy. [przypis edytorski]

jedynie w zмовie z księżmi im wyjazd odradza, aby mu robotnik nie podróżał — co też, niestety, w wielu wypadkach było rzetelną prawdą.

Nie wiedzieliśmy sami podówczas, że większość listów przychodzących z Brazylii od wychodźców była sfalszowana; nie wiedzieliśmy, że poza firmą⁶ Jose dos Santos w Lizbonie, podpisującego korespondencje i „szyfarty”, ukrywał się Polak Bendaszewski i, niestety, ksiądz polski Gurowski, związani w spółkę handlarzy żywym towarem w Hamburgu.

Nie wiedząc nic sami, radzić też skutecznie nie umieliśmy; lud zerwał wszystkie więzy, utracił resztę zaufania do surdutowej inteligencji, widział w obdzierającym go do nitki Żydku-agencie swego jedyne go zbawcę — i poszedł „na złamanie karku”, jak nazywał to Dygasiński⁷, po złote runo, mające go z oddali złudnym blaskiem, otumaniony i olśniony przez obietnice zamorskiej szczęśliwości. O ujemnych stronach agent mu nie wspominał, inteligencja zaś, zaprzeczając wielu rzeczom, które dlań *były już*, a dla nas *stały się dopiero później* niezbitym pewnikiem, utraciła w jego oczach prawo do zaufania. Nieufność wrodzoną rozdmuchiwał jeszcze agent. Gorączka brazylijska wybuchła, opanowawszy nadgraniczne powiaty, sięgając wszędzie, gdzie ruch wychodźczy istniał poprzednio — nad Wisłę, Wartę, Niemen i Narew, na Podole nawet. Potok wychodźstwa, tak spokojny zazwyczaj, iż nie dostrzegliśmy go w przeciągu⁸ lat dwudziestu, choć corocznie 40–60 tysięcy ludzi nam zabiera do wszystkich części świata, nie wyłączając Afryki i Australii, wezbrał nagle jak potok górski, opuszczając szerokie łóżyisko Stanów Zjednoczonych i z gwałtowną siłą żłobiąc sobie nowe koryto, brazylijskie.

Jak powiedziałem wyżej, wśród panującego zamętu nikt nie wiedział, ile jest oszustwa, a ile istotnej prawdy w kłamliwych obietnicach agentów, a o zaradzeniu złemu myśleć było niepodobna, nie znając przyczyn, rozmiarów, symptomatów i skutków nowej gorączki. Należało koniecznie zbadać rzecz na miejscu, zwłaszcza, że dziennikarskie artykuły nadały klęsce, groźnej samej przez się, większe jeszcze rozmiary, aniżeli miała w istocie.

Pierwszą inicjatywę w tej mierze dał „Kurier Warszawski”, wysyłając specjalnego korespondenta do Brazylii, zaopatrzony w tak skromne środki, iż Dygasiński, całkowicie zresztą nieprzygotowany do poważnego i wszechstronnego zbadania brazylijskich stosunków, powrócił po kilkotygodniowym pobycie z bardzo szczupłym i jednostronnym zasobem wiadomości. Jeszcze mniej przyczyniła się do wyświecenia sprawy chybiona i bezowocna wyprawa p. Glinki i ks. Chełmickiego⁹, wyrządziwszy tylko mimo woli wychodźcom wiele złego, o czym poniżej mówić jeszcze będę.

Wiosną 1891 roku jeszcześmy nic naprawdę nie wiedzieli, choć ruch trwał już od pół roku przeszło. Wówczas komisja, wyznaczona przez lwowski zjazd ekonomistów i prawników w celu wszechstronnego zbadania sprawy wychodźstwa naszego ludu za granicę, zwróciła się do mnie z prośbą zorganizowania wyprawy do Brazylii i Argentyny, a jeśli można, i do innych krajów Południowej Ameryki, w celu wyświecenia tamecznych stosunków imigracji europejskiej i porozumienia się z rządem argentyńskim o ewentualne przesiedlenie brazylijskich emigrantów polskich, jak to miało przed laty miejsce z emigrantami niemieckimi znad Wołgi do obdarzonej, jak mniemaliśmy, lepszymi warunkami klimatycznymi i ekonomicznymi Argentyny. Gdyby zaś okazało się to niewykonalne, miałem zbadać, czy przy pomocy konsulatów europejskich i Towarzystwa św. Rafała¹⁰ nie dałoby się rozciągnąć pewnej kontroli nad nadużyciami i wyzyskiem, których się rząd

⁶*firma* — nazwa, pod którą działa przedsiębiorstwo; tu: nazwisko osoby prowadzącej działalność. [przypis edytorski]

⁷*Dygasiński, Adolf* (1839–1902) — powieściopisarz, jeden z głównych przedstawicieli naturalizmu w literaturze polskiej; w latach 1890–1891 jako wysłannik „Kuriera Warszawskiego” przebywał w Brazylii, skąd wysyłał korespondencję dotyczącą losów polskiej emigracji „za chlebem” (wyd. książkowe: *Listy z Brazylii*, 1891). [przypis edytorski]

⁸*w przeciągu lat* — dziś popr.: w ciągu lat. [przypis edytorski]

⁹*wyprawa p. Glinki i ks. Chełmickiego* — ekspedycja do Brazylii powzięta w 1891 po niepokojących doniesieniach Adolfa Dygasińskiego przez radcę Mikołaja Glinkę oraz księdza Zygmunta Chełmickiego (1851–1922), redaktora konserwatywnej warszawskiej gazety „Słowo”, w celu zbadania na miejscu sytuacji polskich emigrantów; owocem podróży była dwutomowa książka Chełmickiego pt. *W Brazylii. Notatki z podróży* (1892), w której ukazał dramatyczną sytuację emigrantów. [przypis edytorski]

¹⁰*Towarzystwo św. Rafała* — niemieckie stowarzyszenie katolickie założone w 1871 w Moguncji, zajmujące się pomocą dla emigrantów oraz przeciwdziałające pochopnemu wychodźstwu; na jego wzór w 1890 zostało zawiązane w Wiedniu Austriackie Towarzystwo św. Rafała dla Opieki nad Wychodźcami (niem. *Österreichische*

Podstęp

Antysemityzm, Emigrant

brazylijski na emigrantach dopuszczał, i zapewnić im możliwość znalezienia pracy i zarobku.

Plan ten, wobec braku jakiegokolwiek poparcia materialnego ze strony rzeczonyj komisji i bardzo niechętniej postawy opinii publicznej w kraju, uległ pewnym zmianom, a podróż moja podzieliła się na dwie części: kilka miesięcy miałem poświęcić dokładnemu zbadaniu stanu istniejących już i nowo zakładanych kolonii polskich w południowej Brazylii, później zaś przedsięwziąć geograficzno-przyrodniczą wyprawę przez nieznane stepy i góry północnej Patagonii i Araukanii¹¹. Zawód ze strony dwóch innych panów był tym przykrzejszy, że do ostatniej chwili zamiar swój towarzyszenia mi objawiali, a zwłaszcza jeden z nich, fachowy geograf i podróżnik amerykański, obznajomiony już z krajem i językiem hiszpańskim bardzo mi mógł być pomocny.

Po przezwyciężeniu wielu przeszkód, które jakby naumyślnie od chwili zamierzonego w pierwszych dniach maja wyjazdu ze Lwowa gromadzić się zaczęły, wyruszyłem nareszcie w początkach lipca do Paryża, stąd zaś, po załatwieniu niezbędnych do długiej i uciążliwej ekspedycji przez stepy i lasy sprawunków i zaopatrzeniu się w kilka listów polecających do władz brazylijskich i argentyńskich, udałem się do Bordeaux. 20 lipca byłem już na pokładzie statku „Congo”, udającego się do Rio Janeiro. Z towarzyszy podróży stawił się w terminie oprócz p. Antoniego Hempla, bawiącego już od kilku tygodni w Brazylii, tylko przyjaciel mój i kolega z uniwersyteckiej ławy, p. Witold Łązniewski.

Kwestia brazylijskiej emigracji polskiej, której zbadanie było jednym z głównych motorów pierwotnych mojej wyprawy, utraciła już podówczas ostry swój charakter, a wiadomości zebrane przez ks. Chełmickiego w Rio Janeiro i St. Paulo ograniczyły pole działalności mojej w tej mierze do minimum.

Podczas pobytu w Paryżu starałem się zasięgnąć wiadomości o obecnym stanie kwestii z urzędowych źródeł brazylijskich. Okazało się, iż jakkolwiek bardzo wielu emigrantów polskich wciąż jeszcze do Brazylii dostać się usiłowało, bywali oni przez władze pruskie bezwzględnie zwracani na miejsce pobytu, rząd zaś brazylijski pod żadnym pozorem nikomu z wychodźców polskich nie udzielał biletów wolnej jazdy, a od przybywających dobrowolnie nawet własnym kosztem żądał formalnych legitymacji, paszportów emigracyjnych i świadectwa moralności. Przyczyną tak nagłego zwrotu w opinii rządu młodej Rzeczypospolitej¹², jak mnie zapewniał p. Antonio da Silva Prado (były minister rolnictwa i pierwszy inicjator agitacji imigracyjnej w Brazylii), była dwójaka: najsamprzód nieprzewidziane rozmiary napływu emigrantów, który z 3000 wzrósł do 18 000 *miesięcznie*, co przewyższa środki rozporządzalne rządu brazylijskiego i nie dozwala wydażyć szczupłej liczbie urzędników z rozmieszczeniem coraz większej ilości wychodźców po plantacjach lub koloniach rolniczych; z drugiej strony — bardzo niekorzystne wrażenie, jakie wywołali specjalnie wychodźcy polscy, pomiędzy którymi 5000–6000, tj. około 10% należało do szumowin społeczeństwa polskiego i nie chęcią znalezienia korzystnej pracy, lecz gorączką złota jedynie do Brazylii zagnani zostali. P. Prado twierdził, że wszyscy wychodźcy chcący pracować znaleźli mniej lub więcej korzystne pomieszczenie, istnieje wszakże pewna paczka, czyniąca najwięcej wrzawy, która pomimo znacznego popytu na robotnika w plantacjach kawowych uporczywie odmawia wszelkiej roboty i siedzi w największej nędzy w hotelu emigranckim w St. Paulo. Prawdopodobnie skończy się na tym, że ich na okręt spakują i do Europy jako balast nieużyteczny odeślą, nie wiem tylko, czy na ich powrocie wiele zyskamy. Przekonałem się później naocznie, że w słowach p. Prado bardzo wiele, niestety, było prawdy. Od jednego z członków ambasady brazylijskiej słyszałem nadto, iż rząd Rzeczypospolitej zamierza powrócić do pierwotnego systemu tworzenia kolonii złożonych z wychodźców jednej narodowości oraz popierać tworzenie się towarzystw i spółek kolonialnych, które by dozwoliły znieść obecne ograniczenie ruchu imigracyjnego, będącego dla kraju obficie uposażonego w olbrzymie niezaludnione

Emigrant

St. *Raphael Verein zum Schutze der Auswanderer*), zajmujące się pomocą dla emigrujących z monarchii austro-węgierskiej. [przypis edytorski]

¹¹*Araukania* — kraina historyczna w pd. części Ameryki Płd., na północ od Patagonii; obecnie należąca do Chile. [przypis edytorski]

¹²*Rzeczpospolita* — tu: republika, państwo o ustroju, w którym władza jest sprawowana przez organ wyłoniony w wyniku wyborów na określony czas. [przypis edytorski]

obszary bądź co bądź zjawiskiem pożądanym. Z wielu względów najmilej tam widziani są Włosi, najmniej lubiani natomiast Niemcy i Polacy.

20 lipca po południu „Congo” podnosi kotwicę, odpływając na zielone wody Gaskońskiej Zatoki¹³. Czas w drodze mamy wyjątkowo piękny. Morze aż do znudzenia spokojne i jednostajne. Pasażerów obfitość wielka najrozmaitszego gatunku. Nie brak i nadobnych przedstawicielek gorącej Brazylii i dumnych *portennas*¹⁴ argentyńskich, Murzynów z Senegalu, a nawet podkasana muza francuska w postaci całej trupy operetkowej, udającej się do Rio Janeiro, jest reprezentowana. Mamy starego Holendra, jakby żywcem wykrojonego z obrazu Teniersa¹⁵, Szwajcara w przejeździe z Bombaju do Rio Janeiro i przystojnego Anglika z młodziutką i milutką żoną, bardzo ładnie grającą na rozstrojonym fortepianie okrętowym etiudy i nokturny Chopina.

Na nudy nie ma jakoś czasu, a trudno go znaleźć nawet na niezbędną naukę języka portugalskiego. Stanowczo za często rozlega się dzwonek kelnera wzywający do stołu. Zdaje mi się, że na łądzie nikt nie byłby w stanie tyle artykułów spożywczych zniszczyć, co na morzu... Wieczorem dwudziestego pierwszego ukazuje się łód — niewyraźna smuga wśród mgły — to skaliste wybrzeża Asturii. Przed samym zachodem słońca mijamy bardzo blisko przylądek Finisterre¹⁶: ozłoczone promieniami zachodzącego słońca, wznoszą się okazałe góry wprost z lazuruw toni oceanu; bałwany z hukiem, do wystrzałów armatnich podobnym, rozbijają się o granitowe urwiska; na szczytach widnieją obok płatów nagiej, czerwonej skały — żółtawo-zielone plamy spalonych przez słońce pastwisk górskich. W oddali bieleją śnieżne mury rozrzuconej w malowniczym nieładzie na stoku góry wioski hiszpańskiej z panującą nad nimi dzwonnica kościółka; zielenią się nieregularne czworoboki pól uprawnych...

Złocista tarcza słoneczna zachodzi i szybko w morzu tonie, rzucając ostatnie skośne promienie na góry i wioski; statek nasz oddala się od brzegu, a uroczy krajobraz mgła sinawa i zmrok zapadający kryją przed oczami naszymi.

Dnia dwudziestego drugiego wieczorem znowu dostrzegamy w oddali wybrzeże. Barwa morza przybiera odcień rozpuszczonej farbki. Mnóstwo statków nas mijają; delfiny igrają w pobliżu, pośliskując w słońcu mokrymi grzbietami, mewy i petrele szybują za okrętem. Przez mgłę słoneczną widzimy wciąż na wschodzie białawą smugę skalistego wybrzeża Portugalii, na którym przez lunetę rozpoznać można liczne wioski, zielone winnice i sady owocowe.

Ciemno już było, gdyśmy do ujścia Tagu wpłynęli. Po lewej stronie czernieją na skalistej wysepce zębate baszty starożytnej wieży Alcantara, dalej — wzdłuż prawego brzegu rzeki, jak okiem sięgnąć, nieskończony szereg świątełek, grupujących się w misterne desenie — to Lizbona.

Ponieważ krótko tylko w porcie zatrzymać się mamy, wstajemy bardzo wcześnie, aby miasto chociaż pobieżnie móc obejrzeć. Widok, jaki się z pokładu okrętu przedstawia, jest istotnie imponujący, a sława piękności Lizbony najzupełniej zasłużona.

Ktoś kiedyś nazwał nie bez racji stolicę Portugalii — Bizancjum zachodu. Rozrzucone w malowniczym nieładzie na kilku wysokich wzgórzach na prawym brzegu Tagu, miasto, liczące około 400 000 mieszkańców, tworzy smugę nie szerszą nad pół kilometra, tj. tyle, co oko widza objąć zdoła, lecz za to blisko dwie mile¹⁷ długą, piętrzącą się na kształt amfiteatru na stromych urwiskach wybrzeża. Ponad białe domki o płaskich dachach i niezliczonej ilości oplecionych bluszczem balkonów wystają wysmukłe minarety i koronkowe gzymsy prześlicznych gmachów publicznych, budowanych przeważnie w stylu mauretańskim, gdziekolwiek grupę domów przerywa biała ściana nagiej wapien-

Podróż

Miasto

¹³Zatoka Gaskońska (fr. *Golfe de Gascogne*) — dziś: Zatoka Biskajska, położona pomiędzy północnym wybrzeżem Półwyspu Iberyjskiego a południowo-zachodnim wybrzeżem Francji. [przypis edytorski]

¹⁴*porteña* (hiszp.; lm *porteñas*) — kobieta z miasta Buenos Aires, stolicy Argentyny. [przypis edytorski]

¹⁵Teniers, David (1610–1690) — malarz i grafik flamandzki okresu baroku, twórca scen rodzajowych. [przypis edytorski]

¹⁶przylądek Finisterre — skalisty przylądek na zachodnim wybrzeżu hiszpańskiej Galicji; w starożytności błędnie uznawany za najdalej wysunięty na zachód punkt Płw. Iberyjskiego, „kraniec ziemi” (łac. *finis terrae*). [przypis edytorski]

¹⁷mila — dawna miara odległości o różnej wartości; mila rosyjska oraz austro-węgierska to ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

nej skały lub wiszące ogrody, upięte festonami¹⁸ bluszczu i wina, uwieńczone bujnymi koronami cienistych palm.

Na żółtych i mętnych, jak fale wiślane, wodach potężnego Tagu, ginących w nieskończonej oddali, kołyszą się okręty wszelkich narodowości i przebiegają we wszystkich kierunkach lotne barki rybackie. Jest w tym krajobrazie coś z Wenecji i Neapolu razem. Łodzie ozdobne, o wysokim przodzie w kształcie gondoli, maszty mocno w tył pochylone, olbrzymie trójkątnie żagle (brygantyny), daleko większe od masztów samych; ogorzałe postacie marynarzy i rybaków w zwieszonych na ramię długich neapolitańskich kołpakach — tylko że barwa czarna przeważa — kołpaki i szerokie pasy rybaków są zawsze tego koloru; nadto wszyscy noszą faworyty¹⁹, nadające Portugalczykom pewien typ odrębny.

Lewy brzeg Tagu, dość wysoki, zajmuje kilka wiosek oraz koszary i fortyfikacje, wszystkie oślepiająco białe w promieniach południowego słońca.

W mieście ruch ożywiony panuje. Mnóstwo tramwajów, zaprzężonych w trzy lub cztery muły, przebiega górzyste ulice we wszystkich kierunkach; najbardziej spadziste skały zdobywa się na trybowych tramwajach elektrycznych; inne linie tramwajów elektrycznych utrzymują komunikację z przedmieściem i klasztorem Belem, ulubionym miejscem wycieczek mieszkańców stolicy.

Amator koni może tutaj wiele ciekawego spotkać: brak zupełny ciężkich perszeronów i ardenów, napotykanych na każdym kroku we Francji: zastępują je z lepszym skutkiem wyborne muły; natomiast w powozach prywatnych i dorożkach spotyka się nieustannie piękne typy krwi wschodniej. Karą czwórkę arabską królewskiego powozu długo w pamięci mieć będą.

Najpiękniejszą częścią miasta jest niezaprzeczenie nowa ulica Avenida da Libertade: wspaniały bulwar, ozdobiony szeregami palm oraz dużymi kępami kwitnących oleandrów i rododendronów, ocieniających liczne wodotryski i strugę kryształową górskiego potoku, płynącego w cementowym łożysku środkiem ulicy. Na początku wznoszącego się stromo ku górze bulwaru, obok prześlicznego, wyglądającego jak biała koronka brabancka dworca centralnego, utrzymanego w pięknym stylu mauretańskim, stoi wysoki obelisk wolności, nadający nazwę całej ulicy.

Z Avenida da Libertade dostajemy się tramwajem elektrycznym na szczyt stromej skały, skąd z prześlicznego tarasu, pokrytego kępami osypanych kwieciem oleandrów, zwojami bluszczu i wina oraz grupami palm cienistych, roztacza się w całej okazałości panorama miasta i obszernego portu.

Wieczorem podnosimy kotwicę, lecz z powodu silnego wiatru od strony morza olbrzym nasz, gwiżdżąc i sapiąc w bezsilnej złości, usiłuje bezskutecznie obrócić się dziobem do ujścia Tagu. O dziewiątej wreszcie zdołaliśmy się wydostać na morze, a w godzinę później latarnie morskie pięknej Portugalii znikły nam z oczu.

Morze wciąż spokojne zupełnie i do znużenia lazurowe; temperatura powietrza nie przewyższa 23° C, tylko ukazujące się coraz częściej ryby latające i fosforyzujące zielonawym światłem w białym szlaku za śrubą parowca iskry i kule świetlane przypominają bliskość zwrotnika. Uderza mnie okoliczność, iż nie napotykamy nigdzie pływających wodorostów (*sargasse*), tak obfitych na linii pomiędzy Europą i Zatoką Meksykańską. Brzegu nigdzie nie widać, pomimo to na pokładzie znajdują latającego motyla, widocznego przez wiatr zanieśonego na otwarte morze. Nie widzimy ani jednego statku na widnokręgu; rzadko tylko biała mewa skrzydłem w słońcu błysnie, a kilka burzyków chwytają z piskiem drobiazg wodny w poruszony przez śrubę okrętową białawej smudze piany. Brzegów nie widać. Dziennie przebywamy przestrzeń 320 mil morskich²⁰.

28 lipca po pięciodniowej żegludze dostrzegamy ku wieczorowi na widnokręgu kołpowały cypel na wybrzeżach Senegalu²¹. Wszystko, co żyje, wylega na pokład. Wieczór precudny, słońce jaskrawo oświetla strugami złotawych promieni nagie czarne urwiska

¹⁸*feston* — girlanda; element dekoracyjny w formie podwieszonych po bokach kwiatów lub upiętej tkaniny. [przypis edytorski]

¹⁹*faworyty* (daw.) — baczki, bokobrody. [przypis edytorski]

²⁰*mila morska* — jednostka odległości stosowana w nawigacji morskiej, równa ok. 1850 m. [przypis edytorski]

²¹*Senegal* — państwo w zachodniej Afryce, nad Oceanem Atlantyckim, ze stolicą w Dakarze; dawniej kolonia francuska. [przypis edytorski]

Miasto

Morze

bazaltowe, połupane jakby w drzazgi na prawidłowe²² snopy słupów kamiennych, które raz wystrzelają pionowo w górę, tworząc zębatą brzoję, to znów rozchodzą się w kształcie olbrzymiego wachlarza, rozszczepionego u szczytu skały w tysiące pojedynczych iglic; to wreszcie leżą poziomo, tworząc niebezpieczną rafę, o którą z hukiem się rozbijają lazurowe bałwany. Z daleka już widać, iż strona zachodnia skał wszystkich jest białej barwy od nagromadzonych mas ptasiego guana, a na każdej literalnie iglicy bazaltowej świecą białe punkciki, zrywające się ciężko do lotu za nadejściem statku: to głuptyki (*Sula*), milionami zaludniające puste wysepki przy wejściu do zatoki Dakaru. Mnóstwo niezliczone czarnych burzyków (*Procellaria glacialis*)²³, z lotu i ruchów do jaskółek podobnych, uganiania się za okrętem, polując na wyrzucane z kuchni odpadki.

Mijamy skalisty cypel i na prawo przed nami bieleje w słońcu mała bazaltowa wysepka Gorée, zabudowana gęsto przez wille zamożnych mieszkańców europejskiej dzielnicy, z małym fortem na szczycie najwyższej skały. Na lewo, w głębi obszernej zatoki, na brzegu wznoszącym się na kształt amfiteatru, rozrzucone w malowniczym nieładzie miasteczko Dakar, główny port francuskiego Senegalu.

Miasto

Koszary, hotele, szpital, kasyno, magazyny, dworzec kolei do St. Louis²⁴, kilkanaście domów prywatnych, rozrzuconych na znacznej przestrzeni, otoczonych skąpą zielenią mozolnie wyhodowanych na jałowym i spieczonym gruncie palm, baobabów i akacji — oto cała dzielnica europejska. Wschodnią połowę Dakaru, przedzieloną od europejskiego miasta szeroką aleją, tworzy wioska murzyńska: nagromadzenie walcowatych szałasów z stożkowym dachem słomianym, podobnych do ulów, ogrodzonych parkanem z trzciny, mat lub starych klepek. Z rzadka samotny baobab, świecący z dala białymi kielichami swoich długich, lejkowatych kwiatów, suchotnicza palma daktylowa lub smutnie potrząsający poszarpanymi na strzępki liśćmi banan. Roślinność tutaj bardzo uboga, z wielkim mozolem wyprodukowana przez Francuzów na niewdzięcznej, piaszczystej glebie.

Dzielnica murzyńska liczy około 6000 mieszkańców, utrzymujących się przeważnie z żebraniny. Europejczyków mieszka w Dakarze 500.

Przy jednej z szerokich alei przecinających miasto murzyńskie widnieje szałas nieco porządniejszy od innych, sklecony z desek i kryty dachówką — to pałac Dial-Diop, króla Dakaru, pokazującego się ciekawym za opłatą jednego franka²⁵ od osoby, co łącznie z 600 frankami pensji wypłacanej przez rząd francuski idzie na utrzymanie haremu i dworu. Nie zastaliśmy jego królewskiej mości w domu — wzorem bowiem królów biblijnych doszedł osobiście wydoić swoje krowy, z obawy, aby mu który z ministrów mleka nie ukradł. Honory domu robią nam dwie żony królewskie, zalotnie udrapowane w błękitne burnusy²⁶ i białe zawoje, z włosami zaplecionymi w niezliczoną ilość cienkich warkoczyków, bransoletami na rękach i nogach, obutych w żółte marokańskie pantofle, i wcale przystojna jak na Murzynkę córka. Fotografii królowy udało mi się nieznacznie podczas rozmowy pochwycić.

Król, Kolonializm

Wnętrze pałacu, mającego kilka metrów kwadratowych powierzchni i dwoje drzwi matami przysłoniętych, lecz pozbawionego okien, zajmują dwa tapczany, kilimkami przykryte; na ścianach trochę naczyń z tytkwy, nożów i stara strzelba stanowią całkowite umeblowanie pałacu. W szałasach zwykłych czarnych śmiertelników, ciasniejszych nieco, toż samo umeblowanie bez kilimków i strzelby, dwa tapczany matami trzciniowymi pokryte, garnki na ścianie i amulet z zęba rekina lub innego skutecznego na czary środka nad wejściem.

W dzielnicy europejskiej czarni podlegają pewnemu rygorowi zewnętrznemu. Na ulicach panuje wyłącznie język francuski; snują się obok udrapowanych w niebieskie lub białe burnusy Murzynów, płócienne kaski urzędników białych i czerwone kurtki spahi-

²²prawidłowe — tu: regularne. [przypis edytorski]

²³czarnych burzyków (*Procellaria glacialis*) — *Procellaria glacialis* (dziś: *Fulmarus glacialis*), inaczej fulmar lub petrel, to ptak z rodziny burzykowatych zamieszkujący północny Atlantyk i Pacyfik, na co wskazuje jego nazwa gatunkowa (łac. *glacialis*: lodowcowy); nie występuje u wybrzeży Afryki. [przypis edytorski]

²⁴Saint-Louis — miasto w póln.-zach. Senegalu, przy ujściu rzeki Senegal do Oceanu Atlantyckiego; zał. w 1659 jako pierwsza francuska osada kolonialna w Afryce. [przypis edytorski]

²⁵frank — dawna francuska jednostka monetarna, w 2002 zastąpiona przez euro. [przypis edytorski]

²⁶burnus — długie arabskie okrycie wierzchnie, rodzaj rozszerzonej peleryny z kapturem. [przypis edytorski]

sów²⁷. Na rynku, ocienionym kilkunastu drzewami, panuje wrzawa niesłychana, a malownicze gromadki czarnych przekupniów, żebraków i włóczęgów przedstawiają wielką pokusę dla amatorów-fotografów, jakich posiadamy kilku na pokładzie „Congo”. Sam kapitan w asystencji ober-stewarda²⁸ dźwigającego olbrzymią torbę z aparatem fotograficznym daje przykład; obok ustawił się jakiś inżynier belgijski z wielkim trójnogiem, dalej Łażniewski ze swoim aparatem. Pomimo jednak próśb, gróźb, obietnic pieniężnych i kijów, hojnie rozdzielanych przez murzyńskich przewodników na wszystkie strony, nie otrzymano rezultatów żadnych. Instynktowna obawa przed portretowaniem, wspólna wszystkim ludom pierwotnym, sprawiała, iż najpiękniej ugrupowane przekupki zmykały w popłochu, skoro tylko ujrzały wymierzoną ku sobie lufę aparatu, a gdy się jakie zdjęcie momentalne nawet udało wykonać, niewątpliwie w chwili stanowczej przed samą soczewką znalazła się kędzierzawa czupryna lub ciekawy nos o pięknie hebanowym połysku, zakrywający cały widok. Ja tylko jeden, zaopatrzony w niezwracającą uwagi małą kamerę ręczną Stirna, którą najgoręcej wszystkim podróżnikom zalecić mogę, zdołałem uchwycić kilka typów ciekawszych.

Jeżeli część miasta europejska ma już wygląd wysoce egzotyczny, to dzielnica murzyńska przenosi nas od razu w głąb Czarnego Łądu. Przed drzwiami szałasów Murzynki, zupełnie nagie, nawet bez klasycznej przepaski na biodrach, nakładanej, jak się zdaje, tylko przy wyjściu na ulicę, lecz natomiast ze srebrnymi bransoletami na rękach i nogach, miałą w pierwotnej konstrukcji żarnach kształtu wielkiego moździerza *mais*²⁹ lub proso; po ulicach snują się udrapowane w barwne burnusy arabskie postacie mężczyzn, włóczących się bez zajęcia i wyciągających co chwila rękę do przechodnia europejskiego z nieodmiennym „*Monsieur, donnez moi quelque chose!*”³⁰ — zupełnie jak neapolitańskie „*Date mi un soldo!*”³¹. Miejscowi Francuzi pozbywają się natrętów bez ceremonii kijem, chociaż to przyzwyczajonych do bata Murzynów bynajmniej nie zraża, częstokroć obici natrętniejszymi się jeszcze stają.

Kobiety snują się po ulicy z dziećmi na plecach, wyglądającymi z zarzuconej chusty jak małe małpiątka; głowę trefią na sposób abisyński³² w mnóstwo drobnych warkoczyków, przypominających uczesanie głowy na hieroglifach egipskich.

Gdzieniedzie, lecz tylko u mężczyzn, ślad cywilizacji europejskiej: stary tużurek³³ włożony na gołe ciało, lub kurtka czerwona spahisa na arabskim burnusie; cylinder dziurawy zamiast fezu³⁴ lub kamasze zamiast żółtych pantofli arabskich. Pominąwszy ten nieunikniony w portowym mieście wpływ Europy, objawiający się w dziwacznej kombinacji nagiego ciała z cylindrem lub zawoju z watowanym paltotem³⁵ włożonym na gołe ciało, przeważa wszędzie błękitny lub biały burnus arabski. Wszyscy uwieszani amuletami przeróżnego rodzaju, ze skóry, kości lub drzewa. Mimo wielkiej wiary w skuteczność swoich *gri-gri* sprzedają je chętnie cudzoziemcom, stawiając jednak zwykle dość wygórowane żądania. Lud w ogóle krzepki i rośli, niebrzydki, o ile typ Murzyna w oczach naszych piękny być może. Cywilizacja zachodu dostaje się do nich dość podejrzaną drogą, bo przeważnie za pośrednictwem żołnierzy załogi, odgrywającej w armii francuskiej rolę batalionów poprawczych.

ROZDZIAŁ II

Przez równik. Pernambuco. Tratwy rybackie. Babia. Przybycie do Rio de Janeiro.

²⁷*spahisi* — francuskie oddziały kolonialnej lekkiej kawalerii, werbowane spośród berberyjskich i arabskich mieszkańców francuskich posiadłości w Afryce Północnej. [przypis edytorski]

²⁸*ober-stewardt* (daw.) — główny steward na statku pasażerskim, kierujący personelem obsługującym pasażerów i oficerów. [przypis edytorski]

²⁹*mais* (fr., niem.) — kukurydza. [przypis edytorski]

³⁰*Monsieur, donnez moi quelque chose!* (fr.) — Proszę pana, niech pan coś da! [przypis edytorski]

³¹*Date mi un soldo!* (wł.) — Dajcie solda (drobną monetę). [przypis edytorski]

³²*abisyński* — etiopski; Abisynia to dawna nazwa Etiopii. [przypis edytorski]

³³*tużurek* (z fr.) — surdut codziennego użytku, popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

³⁴*fez* — nakrycie głowy noszone przez mężczyzn w krajach muzułmańskich: czerwona filcowa czapka o kształcie walca, ozdobiona czarnym frędzlem. [przypis edytorski]

³⁵*paltot* (z fr., przestarz.) — palto. [przypis edytorski]

Strój

Kolonializm, Pogarda

29 lipca w południe podnosimy kotwicę wśród wiatatów rozochoconych oficerów załogi fortecznej, którzy noc z nadobnymi kapłankami wesołej muzy przy szampanie spędzili. Damy owe uraczyły się tak sownicie, że kapitan, zresztą wcale wyrozumiały na ludzkie słabostki, zagroził im zamknięciem na dno okrętu na chleb i wodę, jeżeli się nie będą zachowywały spokojnie. Groźba poskutkowała, damy znikły w kajutach, rozmarzona oficeria, śpiewając ochryplym głosem *En revenant de la revue*³⁶, odpłynęła do domu. Zgrzytnęła kotwica, czarny kadłub okrętu drgnął życiem, woda zapieniła się pod uderzeniem śruby i „Congo” znowu wypłynął na lazuruowe fale oceanu.

Bliskość równika dają nam poznać coraz liczniejsze ryby latające, których istnieje w tych wodach dwa gatunki: większe, czarne, wielkości sandacza, trzymają się zwykle pojedynczo i lot posiadają bardzo długi. Zauważyłem, iż zdolne są lecieć przeciw wiatru i kilkakrotnie zmieniać dowolnie kierunek swego lotu na przestrzeni dochodzącej do 300 kroków. Mniejsze, wielkości śledzia, białe, trzymają się licznymi stadami i pluskają na prawo i lewo obok statku. Lot ich jest w ogóle znacznie krótszy.

Wieczorami za śrubą parowca świeci smuga iskier i kul świetlanych — są to żyjątka fosforyzujące, wymoczki, meduzy... fale rozbijające się o przód i boki statku częstokroć rozpryskują się jak świece rzymskie³⁷ w deszcz świecących iskier.

Morze wciąż jednostajne lazuruowe i spokojne bardzo. Dnia 1 sierpnia w nocy mijamy równik, co daje powód do powszechnej zabawy na pokładzie i w salonach parowca. Celem jej — sprawienie tradycyjnego śmigusa nowicjuszom, pierwszy raz wkraczającym na południową półkulę. Panie zwłaszcza są gorliwe w oblewaniu bliźnich wodą kolońską, sodową i zwykłą morską nareszcie, a usłużny *maître d'hôtel*³⁸ okrętowy stawia za skromnym wynagrodzeniem do ich dyspozycji cały arsenał misternie obmyślanych szprycek w postaci cukierków, kwiatów etc. oraz poważny zastęp syfonów wody sodowej.

Nie brak i szlachetniejszych rozrywek. W salonie żona brazylijskiego posła w Petersburgu, pani Macedo, gra bardzo poprawnie kilka mazurków Chopina i dziarskiego mazura Glinki, a na pokładzie przy dźwiękach gitary hiszpańska baletnica każe nam podziwiać piękność bolera i fandanga³⁹. Gdy noc zapadła, a towarzystwo, w znacznej części z Francuzów złożone, rozbawiło się na dobre, nie obeszło się gdzieniegdzie i bez narodowego kankana. O jedenastej pogaszono światła i wszystko wróciło do zwykłego trybu.

Nudy morskiej podróży, po wyczerpaniu zasobu książek zabranych w tym celu, zabijamy grą w domino wieczorem, a we dnie w „palet”. Zabawa ta, jak się zdaje, wynaleziona specjalnie dla nudzących się pasażerów okrętowych, polega na rzucaniu płaskich krążków kauczukowych na tablicę położoną na ziemi i podzieloną na numerowane kwadraty. Należy rzucać krążek w taki sposób, aby spadając, nakrył jeden z numerów tablicy, przy czym, jak w krokiecie, należy rozmaite, coraz wyższe numery kolejno w pewnym oznaczonym porządku nakrywać. Grający, jak w krokiecie, dzielą się na dwie partie — wygrywa ta, która pierwsza zrobi przepisaną ilość punktów. Pasażerowie całymi dniami w tym sporcie się ćwiczą. Zwłaszcza niezmordowani są: brazylijski ambasador, jedna z szansonistek⁴⁰ i Anglik, właściciel kilkudziesięciu tysięcy owiec w Patagonii.

Dnia 4 sierpnia o godzinie drugiej w nocy dostrzegamy światła na brzegu: to pierwsza stacja na lądzie brazylijskim — Pernambuco. O świcie zbliżamy się bardziej do przystani i zarzucamy kotwicę wprost stacji kolejowej w Recife. Mamy przed sobą niewielkie, porządnie, po europejsku zabudowane miasto. Na lewo — nieskończony las palm kokosowych pokrywa wybrzeże; na prawo — starożytna twierdza holenderska w gruzach już prawie; dalej szereg ginących wśród zieleni gajów palmowych, domków i willi. Widnokrąg zakrywa gęsto zabudowane i zielonością okryte wzgórze Olinda, na paręset stóp ponad poziom wzniesione. W głębi panoramy, jak okiem sięgnąć — falista okolica, lasem dziewiczym pokryta.

³⁶*En revenant de la revue* (fr.: Wracając z parady) — popularna francuska piosenka Luciena Delormela i Léona Garniera do tekstu Louisa-Césara Desormes, z roku 1886, opowiadająca o drobniomieszczkańskiej rodzinie zauroczonej przystojnymi żołnierzami z parady wojskowej. [przypis edytorski]

³⁷*świece rzymskie* — rodzaj sztucznych ogni: ustawiane pionowo tuleje zawierające wiele ładunków dających efekty świetlne, wyrzucanych kolejno w powietrze. [przypis edytorski]

³⁸*maître d'hôtel* (fr.) — szef służby hotelowej. [przypis edytorski]

³⁹*bolero* i *fandango* — ludowe tańce hiszpańskie. [przypis edytorski]

⁴⁰*szansonistka* (z fr., przestarz.) — śpiewaczka kabaretowa, kawiarniana lub ogródkowa; piosenkarka. [przypis edytorski]

Wejścia do przystani strzeże długa rafa skalista, której miasto nazwę swoją zawdzięcza (Recife), jedyna może na świecie w swoim rodzaju.

Oto co o tej rafie pisze Darwin w swojej podróży:

Nie ma chyba naturalnego utworu mającego wygląd tak dalece sztuczny, jak rafa w Pernambuco. Tworzy ona ławicę kilka kilometrów długą, matematycznie prostą, w niewielkiej odległości od wybrzeża. Szerokość jej wynosi 30–60 metrów, szczyt płaski i równy. Skalą ją tworzącą jest piaskowiec bardzo twardy, w którym zaledwie rozpoznać można warstwowanie. Podczas przyływu bałwany morskie rozbijają się na tej ławicy; w czasie odpływu szczyt jej wystaje z wody i wygląda na groblę zbudowaną przez cyklopów. Na wybrzeżu tym prądy morskie odrzucają piaski ku lądowi — i na takim to piaszczystym namulisku stoi miasto Pernambuco. Jakkolwiek fale Atlantyku dniem i nocą biją o ten mur naturalny, najstarsi piloci nie pamiętają najmniejszej zmiany w jego wyglądzie. Trwałość tę zadziwiająco zawdzięcza rafa powłoce wapiennej zaledwie kilka cali grubej, odnawianej nieustannie przez drobne żyjątka — serpule, anafity i nullipory. Bez pomocy tych organizmów dawno już rafa Pernambuco uległaby pod ciosami bałwanów, a bez rafy miasto nie posiadałoby wygodnej przystani, jaką się dzisiaj cieszy.

Na mapach spotykamy stale nazwę Pernambuco, w samej rzeczy natomiast składa się ono z trzech miast oddzielnych, przedzielonych rzekami Capiberibe i Beberibe: Recife — wprost rafy kamiennej na płaskim wybrzeżu, Olinda na północy, Pernambuco na zachodzie, w głębi. Łączą je pomiędzy sobą długie mosty na palach. Brzegi rzek pokrywają bagna ryzoforowe⁴¹.

Miasto, założone niegdyś przez Holendrów, należy do najstarszych w Brazylii i jest ogniskiem ożywionego handlu cukrem, wódką i bawełną. W ostatnich czasach osiedla się w górach okolicznych wielu kolonistów, zwłaszcza Włochów i Portugalczyków, uprawiających bawełnę i trzcinę cukrową.

Toteż spośród leśnej zieleni wznoszą się w wielu miejscach słupy dymu z palonych pod zakładające się nowe osady lasów. Zaznaczyć należy szczególnie ciekawy, iż pszenicę w ilości około 140 000 beczek otrzymuje Pernambuco z Węgier, a masło z Francji...

Mieszkańcy Pernambuco są odważnymi żeglarzami. Do osobliwości miejscowych należą lekkie tratwy rybaków, na których daleko na morze się zapuszczają. Tratwy te, zaledwie 4–8 metrów kwadratowych powierzchni mające, budują się⁴² z bardzo lekkiego drzewa (*Ochroma piscatoria*⁴³), posiadają ławeczkę do siedzenia w tyle, maszt na przodzie i wielki żagiel trójkątny.

Tratwa jest całkowicie niemal w wodzie zanurzona, gdy paru ludzi na niej się pomieści — z daleka też robi wrażenie pływającego stolka. Na tak kruchych statkach rybacy miejscowi po dni kilka nieraz pozostają na oceanie, tracąc zupełnie ląd z oczu, a nawet do Rio Janeiro na kruchych tych łupinach się zapuszczają. Kilku Murzynów przynosi nam na sprzedaż małe modele tych tratw, znajdujące chętnych nabywców, oraz owoce krajowe: banany, ananasy, *sapotilbas*⁴⁴, anony⁴⁵, pomarańcze; inna łódź przybija z ładunkiem papug — ponieważ jednak płyniemy do ich ojczyzny, towar ten nie znajduje amatorów, choć sprzedający je Murzyni, spychani co chwila do wody przez majtków, z kocią zręcznością wdrapują się zewsząd na pokład, natrętnym szturmem pragnąc zdobyć kieszenie pasażerów.

⁴¹*bagna ryzoforowe* — dziś popr.: bagna namorzynowe a. mangrove, tropikalne przybrzeżne pływaczki morskie porośnięte krzewami i drzewami, zwykle mającymi charakterystyczne, szcudlaste korzenie podporowe, które stabilizują rośliny w grząskim podłożu; typowym składnikiem lasów namorzynowych są rośliny z rodzaju korzeniara (łac. *Rhizophora*). [przypis edytorski]

⁴²*Tratwy te (...) budują się* — dziś popr.: tratwy te buduje się. [przypis edytorski]

⁴³*Ochroma piscatoria* — w ob. klasyfikacji: *Ochroma pyramidale*, balsam, drzewo rosnące w lasach Ameryki Południowej i Środkowej oraz na Karaibach, wyróżniające się bardzo lekkim i bardzo miękkim drewnem. [przypis edytorski]

⁴⁴*sapotilbas* (port., lm) — owoce tropikalnej sapodilli, czyli pigwicy właściwej (*Manilkara zapota*). [przypis edytorski]

⁴⁵*anony* — owoce tropikalnego faszowca (łac. *Annona*). [przypis edytorski]

Z rana podnosimy kotwicę, trzymając się odtąd ciągle w pobliżu wybrzeży. Są to nieskończone szeregi jałowych, pustych wydm piaszczystych, oślepiającej białości, jakby dla kontrastu upstrzonych ciemną zielenią jakichś krzewów karłowatych. Poza linią wydm widać w oddali żyzną okolicę pokrytą lasami, z których wznoszą się słupy dymu, wskazujące miejsca nowo powstających osad.

Woda w pewnej odległości od brzegów jest stale barwy zielonej, dopiero dalej przechodzi w zwykły ciemny szafir oceanu. Niebo nieco zachmurzone i słońce, przedzierające się przez chmury, wywołują na zielonej tafli wody bardzo ładne efekta kolorystyczne, zmieniające barwę morza z szarawej w szmaragdowozieloną.

Wielce oryginalną okoliczność zaznaczyć mi wypada, iż pomimo bliskości wybrzeża, które nieustannie mamy przed oczyma, w przeciągu 36 godzin, tj. całej podróży z Pernambuco do Bahia⁴⁶, nie spotkaliśmy ani jednego ptaka. Mewy i burzyki znikły zupełnie.

Wielką rozrywką dla pasażerów są liczne wieloryby, igrające w pobliżu statku i wyrzucające wysoko fontanny wody, które zdradzają z wielkiej nawet odległości ich obecność. Panie zwłaszcza nie odejmują lornetek od oczu, oczekując ponownego ukazania się sygnalizowanych w pewnym kierunku przez wprawniejsze oczy marynarskie wielorybów.

5 sierpnia na wieczór stajemy w Bahia. Wybrzeże przedstawia krajobrazy precudne: wysoka na 300 stóp równina granitowa, przecięta głębokimi parowami, spada w postaci stromych urwisk do morza, okryta bujną zielenią gajów palmowych i lian, spośród których z rzadka tylko krwawoczerwone płyty nagiej skały widnieją. Spośród gajów kokosowych migają białe zabudowania plantacji trzciny cukrowej i ogrody słynnych na cały świat zielonych pomarańczy; gdzieś wystrzela dzwonnica kościółka wiejskiego lub mury starego klasztoru.

Wpływamy do olbrzymiej zatoki, której skaliste brzegi nikną gdzieś w oddali. Po prawej stronie na szczycie skały wznosi się biała latarnia morska, dalej zaś opleciony zielenią, wysoki na 100 metrów mur granitowy, na którego szczycie bieleją domki i zarysowują się sylwetki drzew mangowych i palm. Wprost przystani miasto schodzi aż do wybrzeża, jakkolwiek nie ma ani jednej ulicy dostępnej dla wozów, a domy są jak gniazda jaskółcze przylepione do prostopadłej ściany granitu, przeplatane drzewami.

Sprawiedliwość każe przyznać, iż pomimo dzikiej piękności okolicy Brazylianie nie przyczynili się w niczym do podniesienia jej uroku: architektura domów jest zaprzeczeniem krzyczącym wszelkich zasad estetycznych; są to wysokie, wąskie, białe lub na jaskrawe barwy zwyczajem portugalskim pomalowane pudełka, czerwoną dachówką kryte. O estetykę dba tylko matka przyroda, potężnym tchnieniem swoim szybko niszcząc niedołążne dzieła ludzkie, aby na gruzach murów malownicze kępy bujnej zieleni zaszczeplić.

Komunikacja pomiędzy miastem i przystanią odbywa się za pomocą windy, która mi żywo przypominała wjazd do salin⁴⁷ wielickich, lub też przy pomocy elektrycznych tramwajów linowych.

Wydostawszy się na górę, znajdujemy się naprzeciw nowego, wcale ładnego ratusza i jesteśmy za brudy i zaduch portowy sowicie wynagrodzeni przez precudną panoramę, jaka się z tego miejsca na całą zatokę odkrywa. Zmrok szybko zapada i w kilka minut po zachodzie słońca mamy już zupełną zmianę dekoracji: niebo różowe i fioletowe jak na obrazach impresjonistów; zatoka odbija wiernie jak lustro kolory nieba, ląd zaś zlewa się w jednolitą, czarną masę, a patrząc ku zatoce, oko spotyka ostre kontury domów, sylwetki palm i drzew mangowych, jakby atramentem na różowo-fioletowym tle odrysowane. Jeszcze chwila i pozostało już tylko czarne niebo, czarna woda i czarne miasto, usiane miriadami⁴⁸ gwiazd, światełek okrętowych i ogni w domostwach.

Bahia dos Todos os Santos (Zatoka Wszystkich Świętych), zwana inaczej San Salvador, liczy obecnie do 300 000 mieszkańców, zajmuje przeto drugie miejsce w Brazylii; posiada stały teatr i akademię medyczną. Nazwać by je można miastem Murzynów i ko-

Morze

Wieczór

⁴⁶Bahia — dawna pot. nazwa miasta São Salvador da Bahia de Todos os Santos (Święty Zbawiciel z Zatoki Wszystkich Świętych), położonego we wsch. Brazylii, nad Oceanem Atlantyckim; ob. nosi ono nazwę Salvador i jest stolicą stanu o nazwie Bahia (w dawnej pisowni port.: zatoka). [przypis edytorski]

⁴⁷salina — miejsce pozyskiwania soli; tu: kopalnia soli. [przypis edytorski]

⁴⁸miriada (z gr. *myrias*) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

ściołów, pierwsi bowiem stanowią 4/5 ludności całkowitej, kościołów zaś i klasztorów miasto i okolica liczy przeszło 70.

Większość klasztorów stoi co prawda dzisiaj pustkami, licząc zaledwie po kilku zakonników. Bahia jest siedliskiem arcybiskupa i religijną stolicą Rzeczypospolitej. Jest to jeden z najważniejszych portów handlowych Brazylii, a dochody celne tutejszej komory dochodzą do pokażnej cyfry⁴⁹ 25 milionów franków rocznie.

Produktem wywozu był dawniej wyłącznie cukier trzcinowy, z powodu jednak przesilenia w cukrownictwie plantatorowie przerzucają się coraz bardziej na inne pola produkcji, mianowicie kawę, kakao, wreszcie tytoń, mający ustaloną już dzisiaj sławę, którego się wywozi w postaci liści i gotowych cygar za sumę 17 milionów franków.

Prowincja Bahia, należąca pomimo gorącego i niezdrowego swego klimatu do najludniejszych i najdawniej zamieszkałych w Brazylii, rozpada się na trzy odrębne regiony: wybrzeże (*Reconcao*), zajmujące się uprawą cukru i kawy już od trzech wieków, wnętrze kraju (*Sertao*), obfitujące w łąki i wodę, gdzie się mieszkańcy oddają przeważnie hodowli bydła, oraz lesiste południe, graniczące z dziką prowincją Espiritu Santo⁵⁰, gdzie powstają wśród puszczy, przeważnie włoskie, kolonie rolnicze, uprawiające kakao, *mais*, maniok⁵¹ i owoce południowe. Koloniści europejscy niechętnie ściągają się w te strony, nie tyle ze względów klimatycznych — dla Włochów bowiem i Hiszpanów upały tutejsze nie są przykre, a febrę żółtej poza strefą nadmorską nie ma — lecz głównie z powodu smutnej tradycji niewolnictwa, zbyt świeżej jeszcze tutaj, w jednym z najdawniejszych ognisk plantatorskiego kańczuga, aby brazylijscy *fazendeiros*⁵² nie zapominali od czasu do czasu, iż prawo z dnia 13 marca 1888 r. odebrało im na zawsze władzę batoga nad robotnikami. Stąd liczne nadużycia, często zajścia krwawe pomiędzy chlebodawcami a pracownikami, coraz większy ubytek rąk i coraz większy upadek wielkiej własności ziemskiej, ratującej zagrożone swoje istnienie sztucznym podtrzymywaniem imigracji europejskiej i wyzyskiwaniem pracy nowo przybyłych, nieobeznanych z warunkami miejscowymi wychodźców. Ponieważ jednak Włosi coraz trudniej oszukiwać się dają, w roku zeszłym rząd związkowy⁵³ postanowił sprowadzić do Bahia i Pernambuco „kolonistów” chińskich. Jest to usiłowanie przywrócenia niewolnictwa w nowej postaci, tak samo, jak to uczyniło Peru przed kilkunastu laty dla dogodzenia wielkim plantacjom cukrowym. Zresztą w podobnych warunkach „liberalni” Francuzi ściągają do zabójczego klimatu swoich podzwrotnikowych kolonii kulisów⁵⁴ indyjskich, a australscy⁵⁵ plantatorowie kanaków⁵⁶...

Kolonializm

Samo miasto Bahia, w którym 77 000 niewolników murzyńskich po uwolnieniu osiadło, jest niemożliwie brudne. Oprócz ratusza i nowo wybudowanej szkoły normalnej⁵⁷ nie ma ani jednego gmachu, który by odpowiadał skromnym nawet wymaganiom estetycznym. Wynagradza to sówicie urocze położenie miasta i bogactwo podzwrotnikowej roślinności.

Drożyzna jest równie wielka jak w Rio Janeiro, np. za przewiezienie na łód kilku osób, tj. za 10 minut wiosłowania musimy po długim targu zapłacić dwóm brudnym Murzynom 10 milreisów⁵⁸, tj. prawie 20 franków podług ówczesnego kursu, a za bardzo skromny obiad w hotelu — po 3 milreisy od osoby.

⁴⁹cyfra (daw.) — daw.: liczba, ilość; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

⁵⁰Espritu Santo — popr.: Espírito Santo, jeden ze stanów Brazylii; położony nad Oceanem Atlantyckim, od północy graniczy ze stanem Bahia. [przypis edytorski]

⁵¹maniok — tropikalna roślina uprawna, której bulwy można przerobić na mąkę. [przypis edytorski]

⁵²fazendeiro (port.; lm: fazendeiros) — fazender, właściciel brazylijskiej plantacji (*fazenda*), zwłaszcza kawy. [przypis edytorski]

⁵³rząd związkowy — tj. brazylijski rząd federalny (centralny); Brazylia jest republiką federacyjną, czyli państwem związkowym, złożonym ze stanów zachowujących w dużym zakresie wewnętrzną samodzielność. [przypis edytorski]

⁵⁴kulis — niskopłatny robotnik azjatycki. [przypis edytorski]

⁵⁵australiski — dziś popr.: australijski. [przypis edytorski]

⁵⁶kanak (hist.) — popr.: kanaka, człowiek pochodzący z wysp Pacyfiku, zwł. tubylczy pracownik w koloniach bryt. i na statkach. [przypis edytorski]

⁵⁷szkole normalna — kalka z fr. *école normale*: szkoła wyższa. [przypis edytorski]

⁵⁸milrejs (port. *milréis*) — dawna brazylijska jednostka monetarna, równa 1000 rejsów (*réis*). [przypis edytorski]

O północy, opłaciwszy uspienie argusowej⁵⁹ czujności stróża bezpieczeństwa publicznego, mającego surowy nakaz niewypuszczania nikogo z miasta po dziewiątej wieczorem, powracamy na pokład „Congo” i zaraz potem podnosimy kotwicę, pozostawiając na gładkich jak lustro wodach zacisznej zatoki ognistą smugę iskier fosforycznych.

6 sierpnia straciliśmy od rana wybrzeże z oczu. Ostry i silny wiatr południowy utrudnia nam żeglugę: zamiast 330, przebyliśmy tylko 250 mil morskich w przeciągu doby. Przecie po raz pierwszy od chwili wyjazdu z Europy morze przestaje być podobne do wielkiej balii z rozpuszczoną farbą i majestat swój nam okazywać raczy, wstrząsając groźnie pianistą grzywą bałwanów. Fale 3–4 metrów wysokie biją o boki parowca, rozpylając się w słoną mgłę wodną, połyskującą w słońcu jak deszcz brylantowy. Przejorniejsi, a bardziej zajęczego serca podróżni rozpytuja uśmiechających się złośliwie majtków o środki ratunkowe na wypadek rozbicia okrętu; słabsze niewiasty jęczą po kajutach. Nie cierpią one bynajmniej na chorobę morską, o nie! „*on est trop vieux marin pour ça*”⁶⁰, to tylko kucharz coś niestrawnego dał na śniadanie, a upał w tych szerokościach dusi... choć termometr wskazuje tylko +16° C.

8 sierpnia przy pogodzie przecudnej przechodzimy w odległości zaledwie paruset metrów od starannie omijanego przez statki skalistego cypla Cabo Frio. Wysoka na paręset metrów skała granitowa o stożkowatym szczycie spada pionowo do morza, aż do szczytu prawie wygładzona przez bijące o nią bałwany; od strony lądu pokrywa ją rzadka, żółtawa roślinność.

Parowiec zmienia kierunek na zachodni i odtąd mamy wciąż przed oczami szereg dzikich, skalistych wysepek, zakrywających górzyste i leśne wybrzeża.

O drugiej po południu wchodzimy do wąskiego kanału prowadzącego do zatoki Rio de Janeiro. Wejście zamyka kilka granitowych wysepek stożkowatego kształtu, gładko wypolerowanych przez bałwany i ozdobionych gdzieniegdzie kępami palm kokosowych i bombaksów⁶¹. Brzegi kanału dzikie i skaliste.

Szczegół godny uwagi, iż z powodu braku mrozów granity i w ogóle skały w krajach równikowych wietrzeją z wolna, nie krusząc się na odłamy skalne, tak charakterystyczne dla krajobrazów górskich w Europie. Stąpając wszędzie bezpośrednio po powierzchni zwietrzałego granitu, nie widzimy nigdzie twardych brył kamiennych, których dopiero w parowach i sztucznych odkrywkach szukać trzeba. Stąpamy wszędzie po krwawoczerwonej glebie, zwanej *terra roxa*, stanowiącej największe bogactwo Brazylii, na niej bowiem najlepiej kawa się udaje. Stąd owe dziwne, nieznanne gdzie indziej ostrokregowe⁶² kształty granitowych gór brazylijskich, powtarzające się z matematyczną ścisłością na każdym kroku; z drugiej strony widzieć można częstokroć urwiska na pozór złożone z granitu lub gnejsu o charakterystycznym złożeniu kryształów, które za dotknięciem rozsypują się w tłustą glinę.

Wpływamy wreszcie do zatoki. Na lewo znany czarny stożek Pao de Azucar⁶³; za nim w głębi, mgłą lekką przysłonięte, zielone szczyty Corcovado i Tijuca. Na prawo — drugi stożek granitowy, rodzony brat Pao de Azucar, u stóp którego rozsiadła się wykuta w skale cytadela. Przed nami dość wąska i długa, zaciszna zatoka o wodach szmaragdowych, zewsząd okolona wysokimi górami, a na jej brzegach i wzgórzach pobliskich, jak Morro de Sao Francisco, de Sta Theresa⁶⁴ etc. rozsiadło się na kilkomilowej przestrzeni przeplatane zielenią pięknych ogrodów miasto, liczące dzisiaj już do 800 000 mieszkańców.

Gdyby nie pióropusze palm kokosowych, wystrzelające zewsząd, i nie czarne, małe twarze uwijających się wokoło marynarzy, można by mniemać, że się znajdujemy na jednym ze szmaragdowych jezior tyrolskich, dotknięciem czarodziejskiej różdżki prze-

Kolonializm

⁵⁹argusowy — czujny, wszechwidzący; od imienia Argusa, stuokiego olbrzyma, strażnika na usługach Hery w mit. gr. [przypis edytorski]

⁶⁰*on est trop vieux marin pour ça* (fr.) — jesteśmy na to zbyt starymi marynarzami. [przypis edytorski]

⁶¹bombaks — wełniak (łac. *Bombax*), rodzaj tropikalnych drzew, stanowiących źródło lekkiego drewna i kapoku (lekkiego puchu nasiennego). [przypis edytorski]

⁶²ostrokregowy (daw.) — stożkowy, stożkowaty. [przypis edytorski]

⁶³Pao de Azucar, popr.: *Pão de Açúcar* — Głowa Cukru, góra w Rio de Janeiro w Brazylii, położona nad zatoką Guanabara, wznosząca się na wys. 396 m n.p.m., mająca kształt, jaki do pocz. XX w. nadawano cukrowi rafinowanemu na potrzeby handlu: stożkowate bryły z zaokrąglonym wierzchołkiem. [przypis edytorski]

⁶⁴de Sta Theresa — popr. port.: de Santa Teresa. [przypis edytorski]

obrażonym w przystań morską, tak dalece położenie zamkniętej zewsząd zatoki jest do okolic Gmunden⁶⁵ np. podobne. Też same wody spokojne, pięknie szmaragdowej barwy, też same dzikie skały wokół, też same wille i sady, rozrzucone na stokach górskich.

Owo piękne położenie posiada wszakże bardzo ważną stronę ujemną, a tą jest brak wentylacji, skutkiem czego żółta febra i inne choroby epidemiczne stale grasują w mieście, zwłaszcza pomiędzy ludnością ubogą, źle się odżywiającą i zmuszoną dla zarobku przebywać stale w cuchnących dzielnicach portowych.

Na zielonych wodach zatoki kołyszą się olbrzymie pancerniki brazylijskiej eskadry, z których dolatuje głos trąbek sygnałowych; mnóstwo statków angielskich, norweskich, niemieckich, włoskich i francuskich stoi na kotwicy.

W chwili gdy zawijamy do portu, mijają nas dwa parowce włoskie z emigrantami, udając się do Santos.

ROZDZIAŁ III

Rio Janeiro. Kłopoty kwaterunkowe. Intronizacja arcybiskupa. Życie uliczne. Doktor uliczny. Spera um poco i Paciença. Ogrody publiczne. Muzeum. Okolice miasta. Ruch handlowy. Nieco historii.

Na potężny ryk „Congo” po jakimś czasie podąża ku nam cała flotylla małych parowców pod żółto-zieloną banderą brazylijską, szalup i łodzi przewoźniczych, odbywają się przepisane prawem wizyty lekarza i policji portowej, gdy tymczasem z wnętrza łodzi i szalup odzywają się wesołe głosy przyjaciół i krewnych pasażerów, oczekujących ukończenia urzędowych formalności, aby na pokład podążyć.

Gwar rozmów z góry i z dołu — włoskich, portugalskich, francuskich, niemieckich; pokład roi się od ludzi — wszyscy odświeżeni przybrani, każdemu pilno na ląd stały nogą stąpić. Jednych czekają swoi, dom, rodzina; inni z gorączkową niepewnością patrzą na tę kąpiącą się w słońcu, przecudną panoramę nowego świata, niepewni czy jutro im majątek i powodzenie, czy zawód gorzki, ruinę i śmierć przyniesie.

Po chwili zaroilo się na okrętowej drabinie i barczysta, ogorzała postać p. Hempla ukazała się wśród tłumu.

Przewoźnicy tymczasem czarni i biali oblegają statek, bombardując pasażerów owiniętymi na kształt piłki blaszanymi numerami swoich łódek. Zgodziwszy jakiegoś poważnie wyglądającego Portugalczyka, znosimy ręczne pakunki i uściskawszy serdecznie dłoń zacnego komendanta „Congo”, odpłynęliśmy do miasta.

Mamy od statku około pół godziny drogi, którą odbywamy z niejaką obawą, przyływ bowiem się zaczyna, fala jest silna, śmigające koło nas parowce wznagają jeszcze kołysanie, a łódka jest niewielka, mocno obciążona i co chwila nabiera wody do środka, wywołując popłoch między damami. Nie na próżno wszakże Portugalczycy mają sławę dobrych marynarzy — przybywamy bez szwanku, choć pewne części naszej garderoby są dobrze słoną wodą przemoczone. Przystań w śródmieściu, gdzie łódź nasza do brzegu przybija, jest przedmiotem słusznej dumy Brazylianów: wykuto ją bowiem całkowicie w granitowej skale.

Posiadamy na szczęście w naszym gronie młodego Brazylianina, p. Vergueiro, znającego dobrze miasto i zwyczaje, na samym wstępie bowiem spotkaliśmy nieprzewidzianą trudność — brak hoteli w Rio Janeiro. Wprawdzie sążniste napisy złotymi literami na kilku domach głoszą wyraźnie: „Hotel”, z wyjątkiem wszakże dwóch czy trzech hoteli drugorzędnych, przepelnionych po brzegi z powodu sezonu operowego i sesji parlamentu, pozostałe są hotelami z nazwiska tylko i bardzo często nie posiadają wcale pokoiów do wynajęcia: zupełnie inne, a niezbyt moralne miewają przeznaczenie. Obszedłszy sumiennie wszystkie przybytki tego rodzaju w śródmieściu, dochodzimy do wniosku, iż wypadnie nam albo na „Congo” powrócić, albo spędzić noc pod gołym niebem wraz z bagażami. Nasz brazylijski przyjaciel obiecuje jeszcze w dalszych regionach poszukać i naznaczywszy nam na wieczór *rendez-vous*⁶⁶ w „Cafe do Globo”, wsiada w przechodzą-

⁶⁵Gmunden — uzdrowiskowe miasto w Austrii, w Alpach Salzburskich, nad jeziorem Traunsee. [przypis edytorski]

⁶⁶rendez-vous (fr.) — spotkanie w umówionym miejscu i czasie. [przypis edytorski]

cy tramwaj i znika nam sprzed oczu. Rzeczy zdajemy jakiemuś posłańcowi z wózkiem ręcznym, który z flegmatyczną miną, zapaliwszy cygaro, snadź⁶⁷ przyzwyczajony do podobnych wypadków, oświadczył, iż czekać będzie na placu choćby do jutra; sami zaś, w oczekiwaniu na rezultat poszukiwań naszego przyjaciela, puszczaemy się na włóczęgę po mieście.

Zaraz na wstępie obok katedralnego kościoła uderzył nas zgiełk i zbiegowisko wielkie: zgraja łobuzów ciskała pomiędzy zwartą ciżbę ciekawych zapalone szmermele⁶⁸, oddział wojska w paradzie stał pod bronią, gdzieś grała muzyka wojskowa, a dzwony farnego⁶⁹ kościoła wydzwaniały rytmicznie rzewną jakąś melodię. Przyzwyczajony już dawniej do tego rodzaju hałaśliwych objawów południowoamerykańskiej wesołości, uspakajam strwożone damy, uciekające do sieni jakiegoś domu. Zwłaszcza mała M-lle⁷⁰ Zézé, „artystka” od baletu z teatru „Eldorado”, uprawiająca specjalnie pewien modny w Paryżu taniec arabski, jest przekonana najświęciej, iż w chwili naszego wylądowania wybuchła w Rio rewolucja. Tymczasem była to tylko intronizacja nowego arcybiskupa stolicy.

Nie zdarzyło mi się podczas włóczęg moich po świecie nigdzie widzieć min tak napuszonych i pewnych siebie, jak u obywateli Rio Janeiro, chociaż zaprawdę nie wiem, z czego tak bardzo dumnymi być mogą. Ubrani w nieposzlakowanego kroju czarne tużurki i cylindry, z mnóstwem kosztownych pierścionków na palcach, które nawet małe dzieci noszą, brylantami w krawatach i gorsach, na brelokach, spinkach i w ogóle wszędzie, gdzie je przyczepić można, mają miny panów świata, a buta ich nie zna granic. Pewien porucznik od artylerii z miną zupełnie poważną wmawiał we mnie, iż Rio Janeiro jest stolicą świata... coś podobnego do mniemania Chińczyków o sobie.

Kobiety, o których „kreolskiej”⁷¹ piękności przesadne mamy w Europie wyobrażenie, nie są ładne, znać w nich zbyt wybitnie silną domieszkę krwi afrykańskiej. Sprawiedliwość nakazuje mi przyznać, iż posiadają wiele wdzięku, piękne, czarne, wilgotne oczy i zalotność niekiedy przekraczającą granice dozwolone w Europie, Węgier nie wyłączając.

Ale otóż nowy tumult: na wielkim, czerwonym wozie, oblepionym reklamami, ciągnionym przez ukrytego prawie zupełnie wśród reklam muła, siedzi jegomość czarno ubrany, przystając na rogach ulic, przy czym pomocnik jego rozrzuca reklamy drukowane wśród publiczności. To „doktor” amerykański, wrywacz zębów na poczekaniu i handlarz cudownych środków. Szarlatanów tych jest w Rio bez liku, a widać nie brak też łatwowiernych pacjentów, dających się na lep reklamy złapać.

Z placu katedralnego wchodzimy na główną ulicę stolicy, Rua do Ouvidor (ul. Złotnicza). Domy budowane na sposób europejski, wspaniałe wystawy sklepowe, parę małych kawiarni w rodzaju francuskim, nieskończona ilość różnobarwnych chorągwi z anonsami, łuki gazowe⁷², rzucone przez ulicę, w nocy również reklamami świecące, uliczka nadzwyczaj wąska, pełna niewysychających nigdy kałuż i błota, którym przebiegające co chwila tramwaje obrzucają jasne ineksprymable⁷³ przechodniów, a wśród niej snujące się czarne i żółtawe twarze o afrykańskie rysach, obciśnięte w europejskie garnitury — oto obraz kompletny ulicy Ouvidor.

Co godzina zaglądamy do „Café do Globo” w nadziei spotkania naszego Brazylijanina — lecz mija godzina po godzinie, złocisty wóz Feba⁷⁴ schronił się za góry, nawet posłaniec przy rzeczach pozostawiony niecierpliwic się zaczyna, choć Brazylianie cierpliwość mają anielską — a naszego towarzysza ani śladu. Nareszcie około północy zjawia się ledwie żywy ze znużenia, z pomyślną wiadomością, iż na jednym z odleglejszych przedmieść znalazł w pewnym hotelu apartament z trzech pokoi, w którym się wszyscy pomieścić

⁶⁷snadz (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

⁶⁸szmermel (daw.) — wężykowany fajerwerk, raca. [przypis edytorski]

⁶⁹farny kościół — kościół parafialny. [przypis edytorski]

⁷⁰M-lle (fr.) — skrót słowa *mademoiselle*: panna. [przypis edytorski]

⁷¹Kreol — urodzony w Ameryce Łacińskiej potomek europejskich kolonizatorów. [przypis edytorski]

⁷²łuki gazowe — pod koniec XIX w. w dużych miastach używano zasilanych z gazowni lamp gazowych, emitujących silne światło dzięki rozgrzewaniu do białości siatki żarowej płomieniem spalanego gazu; oświetlano nimi ulice i budynki publiczne. [przypis edytorski]

⁷³ineksprymable (przestarz., z fr. *inexprimable*: niewyraźalny) — spodnie. [przypis edytorski]

⁷⁴Feb a. *Febus* (mit. gr., mit. rzym.) — zlatynizowana forma słowa *Foibos* (gr.: promienny), przydomka Apolla, boga światła i słońca, opiekuna sztuk, patrona poetów i pieśniarzy; jako promienny bóg słońca utożsamiany z Heliosem przemierza dzień niebo na złotym rydwanie. [przypis edytorski]

możemy, ponieważ obyczajem amerykańskim nie wynajmują w hotelach pokoi, lecz łóżka i całodzienne utrzymanie. Wdzięczność nasza nie ma granic, każemy się zawieść do hotelu „Des Etrangers”. Mieszkanie okazuje się wcale znośne, w pobliżu morza, z balkonem i widokiem na zatokę i Pao de Azucar. Cena skromna: 7000 reis dziennie od osoby. Razem z damami jest nas sześć osób, mieścimy się tedy w trzech pokojach wygodnie, M-lle Zézé przyjmuje obowiązki gospodyni. Mniej szczęśliwa była młoda para angielska, która poszła szukać mieszkania na własną rękę. Aby nie nocować na dworze, za drogie pieniądze odnajęli na noc pokój jednej z aktorek w „Eldorado”, i to dzięki protekcji towarzyszy podróży z pokładu „Congo” i francuskiej uprzejmości. Mieszkania są tu bajecznie drogie: pokój przyzwoicie umeblowany kosztuje 100 milreisów miesięcznie, a najuboższy wyrobnik niżej 12 milreisów miesięcznie kąta znaleźć nie może. Życie natomiast jest w ogóle tańsze aniżeli w niejednym z pomniejszych miast europejskich.

Nazajutrz wyruszamy na komorę celną po nasze bagaże. Ponieważ dzień był świąteczny i jedynymi interesantami było kilkunastu pasażerów „Congo”, sądziliśmy, iż sprawa niedługo potrwa. Smutne złudzenie! Wśród stosów pak i kufrów przechadzało się flegmatycznie kilkunastu dygnitarzy, na wszelkie prośby nasze odpowiadających stereotypowo: „*spera um poco*”, „*logo*”, „*paciença*” lub „*teñ tempo*” (zaczekaj pan trochę, zaraz, cierpliwości, mamy czas...). I ludzie uważają Anglików za flegmatyczny naród! Niechby zobaczyli, jak daleko sięgać może flegma brazylijskiego urzędnika... Wytrzymało nas w ten sposób sześć godzin, w końcu kazano zapłacić kilkadziesiąt tysięcy reisów cła bez wyszczególnienia oclonych artykułów — *por toudo*, tj. wprost do kieszeni panów celników. Na dobitkę żaden z nich nie mówi inaczej, jak po portugalsku, tak iż z wielką trudnością porozumieć się z nimi przy pomocy znajomości hiszpańskiego języka mogę. Przy opłacie cła zdarzył się zabawny i charakteryzujący stosunki finansowe kraju epizod. Otrzymałem był przy wymianie pieniędzy w Lizbonie dużą złotą monetę brazylijską z portretem Dom Pedra⁷⁵, lecz bez wyszczególnienia jej nominalnej wartości. W kasie komory Rio Janeiro przyjął mi jej nie chciano, jako monety *zagranicznej*. Moneta ta, wartości nominalnej 20 tysięcy reis, rzeczywistej zaś prawie podwójnej, w Brazylii tak jest rzadka, iż znają ją jako *curiosum*⁷⁶ tylko wekslarze — w obiegu są wyłącznie papiery, miedź i nikiel. Srebrne talary (2000 reis) równie w świat powędrowały.

Pieniądz

Rio Janeiro nie posiada wybitnych gmachów, a piękność jego wewnętrzną stanowią liczne i obszerne ogrody publiczne i prywatne, które przyroda podzwrotnikowa przy pomocy ludzkiej wspaniale przybrała.

Ogród

Najpiękniejszym z nich jest niewątpliwie słynny ogród botaniczny, położony o 12 kilometrów od środka miasta, u stóp Corcovado, w prześlicznej miejscowości. Całą długość ogrodu przecina wspaniała aleja olbrzymich palm królewskich (*Oreodoxa oleracea*⁷⁷). Kępy drzew i bambusów są zapuszczone nieco, co jednak dodaje im jeszcze więcej dzikiego uroku, dając w miniaturze obraz dziewiczych puszczy wnętrza kraju.

Ciekawy zbiór drzew pożytecznych, w całej Brazylii dziko rosnących, posiada ten ogród. Wymienię kilka ważniejszych: palisander zwany *jacaranda*, *parkuri* (*Platonia insignis*) i *sukopiraasu* (*Bowdichia major*), o drzewie szarym, pięknie żyłkowanym, drzewo lukowe (*Tecoma chrysantha*⁷⁸), z którego twardego jak żelazo i sprężystego rdzenia Indianie leśni wyrabiają swoje łuki; *piqui* (*Caryocar brasiliensis*), o rdzeniu jaskrawo żółtym; *massaranduba*, koloru ciemnoczerwonego, *genipapo* barwy perłowszarej, *muiracotiara* (*Centrolabium* sp.⁷⁹), żółte w czarne pręgi, *muirapiranga* (*Mimusops balata*), barwy purpurowej, drzewo szylkretowe, jedwabiste, fiołkowe, żelazne. Dalej cały szereg drzew kauczukowych, wreszcie sagowiec *tagua* (*Phytelephas macrocarpa*) znad Amazonki, którego owoce całymi okrętami odchodzą do Europy pod nazwą roślinnej kości słoniowej.

Ogród

Drugi ogród publiczny, *jardim d'Acclamação*, leży w śródmieściu. Starannie utrzy-

⁷⁵Dom Pedro (port.) — tu: Piotr II (1825–1891), drugi i zarazem ostatni cesarz Brazylii; w 1889 zmuszony do ustąpienia z tronu, udał się na wygnanie. [przypis edytorski]

⁷⁶curiosum (łac.) — dziwactwo, osobliwość. [przypis edytorski]

⁷⁷Oreodoxa oleracea — w ob. klasyfikacji: *Roystonea regia*, palma królewska, pochodząca z Kuby. [przypis edytorski]

⁷⁸Tecoma chrysantha, popr.: *Tecoma chrysantha* — w ob. klasyfikacji: *Handroanthus chrysanthus*, występujące w Amazonii drzewo o złotożółtych kwiatach. [przypis edytorski]

⁷⁹Centrolabium sp., popr.: *Centrolobium* sp. (łac.) — gatunek (łac. *species*) roślin z rodziny Centrolobiaceae; laciński skrót „sp.” używany jest po nazwie rodzajowej, kiedy nie ma pewności co do gatunku. [przypis edytorski]

many, wielkości naszego Ogrodu Saskiego⁸⁰, posiada w środku artystycznie wykonany konny posąg spiżowy cesarza Dom Pedra I⁸¹, twórcy brazylijskiej konstytucji. W jednym z zacisznych ustroni mieści się dalej prześliczna grota stalaktytowa, a wszystkie mostki i bariery w ogrodzie wyrobiono z cementu na wzór całkowitych pni drzew skamieniałych. W zaroślach migają oswojone aguti⁸² (*Dasyprocta americana*).

Obok ogrodu mieści się w starej ruderze narodowe muzeum, pozostające pod zarządkiem dra Władysława Netto⁸³. Muzeum to posiada bogaty zbiór etnograficzny krajowy, dobrze wypchane brazylijskie jaszczurki i węże oraz ładny zbiorek karpologiczny⁸⁴ — inne działy bądź wcale nie istnieją, bądź też są śmiesznie ubogie. Dyrektor Netto człek gładki i uprzejmy, lecz niemogący mieć pretensji do stanowiska poważnego uczonego, skarży się na brak ludzi, jest wszakże naprawdę bardziej zajęty sprawami tzw. „polityki” aniżeli zarządkiem powierzonego sobie muzeum.

Najmniejszym, lecz najstaranniej utrzymanym ogrodem miejskim jest Lapa, z tarasem wychodzącym na morze: istne pieścidełko, z palm, mangowców, bambusów i pnących się roślin złożone. W ogródku tym, ulubionym miejscu spacerowym, mieści się restauracja i grywa niekiedy czeska orkiestra wędrowna.

Bardzo uczęszczanym miejscem wycieczek jest góra Corcovado, panująca nad miastem od południa. Jedzie się do podnóża góry tramwajem przez Laranjeiras i przedmieście Cosme Velho. Góra Corcovado (garbus) jest całkowicie porośnięta lasem dziewiczym, wysoka około 700 metrów. Sylwetka jej z daleka przypomina skurczoną postać ludzką — skąd nazwa.

Na szczyt góry prowadzi obfitująca w malownicze widoki kolej trybowa. Na szczycie mieści się restauracja i hotel, skąd widok wspaniały na całą zatokę i miasto się odsłania. Piękniejszego krajobrazu i bardziej karkołomnej drogi wyobrazić sobie trudno.

Na północ od stolicy, połączone z nią koleją, mieści się w malowniczej okolicy wśród gór lesistych miasto Petropolis, dawna rezydencja cesarska, dzisiaj służąca już tylko jako miejsce wycieczek i wilegiatury⁸⁵ podczas letnich upałów.

Okolice Rio Janeiro, dzikie i niedostępne, są bardzo mało zaludnione: tylko na wybrzeżu, w kierunku Cabo Frio, spotyka się kilka osad i liczne fazendy⁸⁶ kawowe. Kolej łączy stolicę z jednej strony z głównym targowiskiem kawy w Sao Paulo, z drugiej z upadającym coraz bardziej okręgiem górniczym Ouro Preto w prowincji Minas Geraes⁸⁷, z jej kopalniami złota i diamentów.

Jakkolwiek Rio Janeiro nie jest, jak mniemał wspomniany wyżej Brazylijanin, stolicą świata, niemniej jednak należy do najbardziej ożywionych portów handlowych na kuli ziemskiej, a byłby nim niewątpliwie więcej, gdyby nie żółta febra, która podczas skwarnych miesięcy letnich dziesiątkuje pracującą w cuchnących dzielnicach portowych ludność. Obrót handlowy brazylijskiej stolicy dochodzi do miliarda franków rocznie, komora celna pobiera przeciętnie 130 milionów franków na rok, liczba okrętów corocznie zawijających do portu dochodzi do 5000, a samej kawy wychodzi stąd dwa i pół miliona cetnarów metrycznych⁸⁸.

Na zakończenie rozdziału niniejszego trochę historii. Uroczą zatokę Rio, w języku krajowców zwaną *Niterohy* (woda ukryta) lub *Guanabara* (łono morza), odkrył w roku

Ogród

⁸⁰Ogród Saski — park miejski w śródmieściu Warszawy. [przypis edytorski]

⁸¹*Dom Pedro I* (port.), pol. *Piotr I* (1798–1834) — cesarz Brazylii (1822–1831); jako syn króla Portugalii Jana VI i jego regent w kolonii w 1822 ogłosił niepodległość Brazylii i został jej pierwszym cesarzem. [przypis edytorski]

⁸²*aguti* — rodzaj roślinożernych gryzoni, żyjących w Ameryce Płd. i Środkowej. [przypis edytorski]

⁸³*Netto, Władysław*, właśc. *Ladislau de Souza Mello Netto* (1838–1894) — brazylijski botanik i dyrektor Muzeum Narodowego w Rio de Janeiro w latach 1870–1893. [przypis edytorski]

⁸⁴*karpologia* — dział botaniki zajmujący się badaniem owoców i nasion. [przypis edytorski]

⁸⁵*wilegiatura* (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

⁸⁶*fazenda* — plantacja brazylijska, szczególnie kawy. [przypis edytorski]

⁸⁷*Minas Geraes* — dziś popr.: Minas Gerais, stan Brazylii położony w środkowowschodniej części kraju. [przypis edytorski]

⁸⁸*cetnar metryczny* — jednostka wagi w systemie, w którym występuje metr, równa 100 kg; w systemach niemetrycznych cetnar wynosił 100 funtów, tj. ok. 50 kg. [przypis edytorski]

1501 Gonçalo Coelho⁸⁹, a uważając ją za ujście rzeki, nadał jej nazwę od daty odkrycia — rzeką styczniową (Rio de Janeiro).

We trzy lata potem dotarł tu również żeglarz francuski Paulmier de Gonneville, a wkrótce prześladowani we Francji hugenoci⁹⁰ chronić się w te dzikie okolice zaczęli. Duszą tej emigracji był admirał Coligny, znana ofiara nocy św. Bartłomieja⁹¹, wykonawcą zaś ówczesny dyplomata francuski, Mikołaj Durand de Villegaignon, jeden z zaufanych dworzan Marii Stuart⁹². Jesienią 1555 r. Durand założył na jednej z wysepek zatoki fort, który nazwał fortem Coligny, i nosił się z myślą założenia miasta Henriville. Naiwna opowieść niejakiego Hansa Stadena⁹³ z owych czasów jest wymownym dowodem, jak umiejętnie postępował Durand z bitnymi Indianami Tupinambas, zyskawszy ich sympatie, gdy Portugalczycy okrucieństwami swoimi ich śmiertelnie zrazili. Ów Niemiec, złapany przez kacyka Koniam Bebe, dzięki swej jasnej czuprynie uszedł niechybnej śmierci, wydając się Indianom za Francuza. „No proszę — miał powiedzieć wódz czerwonoskórców — niepodobna już dzisiaj zjeść białego! Nikt nie chce być Portugalczykiem. Niedawno temu zjadłem pięciu — wszyscy zaklinali się, że są Francuzami”.

Durand niedługo wszakże tutaj pozostał. Portugalczycy i Holendrzy, którymi dowodził Polak, Krzysztof Arciszewski⁹⁴, za Jana Kazimierza „przełożony nad armatą koronną”, wrywali sobie kolejno obiecującą kolonię.

Za Ludwika XIV⁹⁵ Francuzi ponownie usiłowali zawładnąć Rio Janeiro, zostali wszakże pobici, a dowodzący nimi kapitan Du Clerc zamordowany w więzieniu. Nowa wyprawa pod dowództwem Duguay-Trouina przybyła pomścić śmierć towarzyszy. Francuzi splądrowali miasto i ściągnęli nadto wysoką kontrybucję. Pamiątką z tej wyprawy jest dzwon alarmowy, zawieszony dzisiaj w kościele miasteczka St. Malo we Francji.

Wielka rewolucja francuska znalazła oddźwięk również i w Brazylii, pod postacią sprzysiężenia Tomasza Gonzagi w Minas Geraes, straconego w r. 1792 w Rio Janeiro wraz z jedenastu towarzyszami.

Wśród ogólnej zawieruchy wojen napoleońskich wygnana z Portugalii dynastia orleańska⁹⁶ schroniła się do Brazylii⁹⁷, a w 1822 powstało niezależne od Portugalii nowe Cesarstwo Brazylijskie.

Po spokojnych i liberalnych rządach dwóch cesarzów, którym Brazylia cały swój postęp i rozkwit do zawdzięczenia miała, rewolucja wojskowa dnia 15 listopada 1889 proklamowała republikańską federację stanów. We dwa lata później twórca rewolucji, marszałek Deodoro da Fonseca, z kolei przed rewolucją wojskową ustąpić musiał i odtąd zaczyna się

⁸⁹zatokę Rio (...) odkrył w roku 1501 Gonçalo Coelho — Gonçalo Coelho w maju 1501 wypłynął z Lizbony, do brzegów Brazylii dotarł w sierpniu 1501, zaś zatokę Rio de Janeiro odkrył 1 stycznia 1502. [przypis edytorski]

⁹⁰hugenoci — protestanci francuscy, wyznawcy kalwinizmu. [przypis edytorski]

⁹¹noc św. Bartłomieja — rzeź dokonana przez katolików w Paryżu w nocy z 23 na 24 sierpnia 1572 r., której ofiarą padło 3 tys. hugenotów (francuskich protestantów), na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny, i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji. [przypis edytorski]

⁹²Maria Stuart (1542–1587) — królowa Szkocji; w 1558 poślubiła francuskiego następcę tronu Franciszka II Walezjusza, który w 1559 został królem Francji; po śmierci męża (1560) wróciła do Szkocji; w 1567 zmuszona do abdykacji na rzecz swojego rocznego syna Jakuba, zbiegła do Anglii; skazana za spiskowanie przeciwko królowej Elżbiecie I i ścięta. [przypis edytorski]

⁹³Staden, Hans (1525–1579) — niemiecki żołnierz i podróżnik; schwytany do niewoli przez brazylijskich Indian Tupinambá, po powrocie do Europy wydał książkę *Prawdziwe dzieje i opis krajów dzikich, okrutnych ludożerców z Nowego Świata Ameryki* (1577). [przypis edytorski]

⁹⁴Arciszewski, Krzysztof (1592–1655) — polski wojskowy, inżynier, etnograf; od 1623 w Holandii, gdzie studiował inżynierię wojskową, artylerię i nawigację; w 1629 wziął udział w ekspedycji hol. do Brazylii w celu wyparcia z kolonii Hiszpanów i Portugalczyków; w 1637 został wicegubernatorem holenderskiej Brazylii oraz wodzem naczelnym jej wojsk; w 1638 otrzymał hol. stopień gen. artylerii i admirała; w 1646 powrócił do Polski, mianowany przez Władysława IV gen. artylerii konnej. [przypis edytorski]

⁹⁵Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

⁹⁶orleańska dynastia — młodsza linia francuskiej dynastii królewskiej Burbonów, pochodząca od młodszego syna Ludwika XIII, Filipa I (1640–1701), księcia Orleanu. [przypis edytorski]

⁹⁷Wśród ogólnej zawieruchy wojen napoleońskich wygnana z Portugalii dynastia orleańska schroniła się do Brazylii — w 1807 Portugalia została zajęta przez wojska napoleońskie, a król Jan VI z portugalskiej dynastii Bragança wraz z rodziną został zmuszony do ucieczki z Europy; udał się do Ameryki Płd., gdzie proklamował utworzenie Królestwa Brazylii, a następnie przekształcił podległe mu terytoria w Zjednoczone Królestwo Portugalii, Brazylii i Algarve; żoną Jana VI była hiszpańska księżniczka Karolina Joachima, pochodząca z hiszpańskiej linii Burbonów, a nie z orleańskiej; najstarszym synem Karoliny Joachimy i Jana VI był pierwszy cesarz Brazylii, Piotr I. [przypis edytorski]

zamęt w stosunkach państwowych, który ostatecznie do rozbicia się zbyt rozległej, lecz mało zaludnionej i militarnie słabej federacji na mniejsze republiki doprowadzić kiedyś musi.

Każdy numer gazet otrzymywanych z Brazylii zawiera wiadomości o coraz innej „rewolucji” prowincjonalnej, kończącej się, jak dotychczas, na pertraktacjach jedynie. Z chwilą atoli, gdy żywioł europejski, pragnący ładu i spokoju, górę w tym kraju weźmie, spodziewać się należy poważniejszych objawów niezadowolenia z panującej w młodej republice anarchii i samowoli urzędniczej.

Brazylianów w ich własnym kraju czeka los hiszpańskich *hidalgos*⁹⁸ w Kalifornii — znikną pod naciskiem świeżych, zdrowych sił obcych przybyszów⁹⁹.

ROZDZIAŁ IV

Polacy w Rio Janeiro. Echa bytności ks. Chełmickiego. Wrogie usposobienie prasy. P. Accioli da Vasconcelos. Odjazd z Rio Janeiro. Santos. Kolonia polska koło Sao Bernardo.

Od lat paru stolica Brazylii posiada Towarzystwo Polskie, mieszczące się w skromnym lokalu na Rua dos Invalidos i mające bardzo ubożuchną czytelnię. Towarzystwo to, pozostające pod zarządem pp. inż. Kwakowskiego i Jana Rybkowskiego, oddało wychodźcom naszym podczas tłumnej emigracji ostatniej nieocenione usługi, opiekując się nimi czynnie zawsze i wszędzie, wynajdując fachowe zajęcia dla rzemieślników, zatrudniając w miarę sił i możliwości wyrobników przy budowlach i przedsiębiorstwach rządowych, wreszcie odnajmując im po bardzo niskiej cenie mieszkania w specjalnie na cel ten wystawionych barakach. Zasługi p. Rybkowskiego były powodem, iż znane ze swej filantropijnej działalności towarzystwo katolickie św. Rafała mianowało go swoim przedstawicielem w Rio Janeiro.

Wobec faktów powyższych żałować należy, iż pp. Chełmicki i Glinka, wiedzący dobrze o istnieniu już jeżeli nie polskiego towarzystwa, to przynajmniej pp. Rybkowskiego i Kwakowskiego, jak ze wzmianki w książce ks. Chełmickiego (tom I, str. 120) przekonać się można, nie tylko się z nimi nie poznali, lecz najstaranniej unikali z nimi zetknięcia. Gdyby się ks. Ch. pozbył niezrozumiałego w tym razie wstrętu, ochroniłoby to niezawodnie filantropijną misję jego od wielu niepowodzeń, a zwłaszcza od rzeczy smutnej, o której z przykrością wielką wspomnieć tutaj muszę, gdyż wywarła ona bardzo opłakane dla wychodźców skutki i przyczyniła się do tego, że zamiast wdzięczności, głęboką nienawiść do ks. Chełmickiego żywią. Chcę mówić o sposobie, w jaki wybrani zostali kandydaci na powrót bezpłatny do kraju. Że wyboru tego w przeciągu dni paru, w obcym zupełnie mieście, bez stosunków dokonać niepodobna, łatwo to zrozumieć i w tej mierze właśnie zarząd Towarzystwa Polskiego „Zgoda”, znający stosunki osobiste i rodzinne większości emigrantów, zgromadzonych podówczas w Rio, mógł być najbardziej pomocny. Tymczasem stało się to, co się stać było nie powinno, a o czym jestem przekonany, iż sami pp. Glinka i Chełmicki nie wiedzą — a to, że osoba wybrana przez nich na pełnomocnika w celu wyboru najbardziej potrzebujących powrotu emigrantów zawiodła ich zaufanie: po wyjeździe obu podróżników okazało się, iż osoba ta była zwykłym oszustem, który pod firmą ks. Chełmickiego od paru tysięcy emigrantów zaliczki na mające być darmo rozdane bilety jazdy wyludził, a że biletów tych było tylko dwieście kilkadziesiąt — łatwo przewidzieć, co potem wynikło. Oszust zbiegł do Sao Paulo, skąd znikł bez śladu, a setki oszukanych oblegały z groźbami konsulatu rosyjski, domagając się odesłania do kraju, skoro za przejazd zaliczki od nich pobrano. Daremnie tłumaczył im zacy p. Alvarez, że są ofiarą oszustwa.

⁹⁸*hidalgo* (hiszp., lm: *hidalgos*) — szlachcic. [przypis edytorski]

⁹⁹*los hiszpańskich hidalgos w Kalifornii* — *znikną pod naciskiem świeżych, zdrowych sił obcych przybyszów* — Kalifornia została skolonizowana przez osadników hiszpańskich, a w 1821 stała się częścią niepodległego Meksyku, jednak do jej północnej części zaczęli przybywać traperzy i osadnicy z USA oraz Kanady; wskutek wojny amerykańsko-meksykańskiej (1846–1848) Kalifornię podzielono pomiędzy Meksyk a USA, zaś napływ ok. 300 tys. ludzi z USA i z całego świata podczas tzw. kalifornijskiej gorączki złota (1848–1855) spowodował gwałtowny wzrost zaludnienia, zmianę struktury etnicznej i szybki rozwój regionu, wcześniej głównie rolniczego. [przypis edytorski]

Skończyło się na krwawej interwencji wojska i przymusowym rozproszeniu „buntowników” w zabójczych dla nich prowincjach Minas Geraes, Bahia, Pará etc.

Więść o „szyfie”¹⁰⁰, co ma zabierać do Polski, rozniosła się szybko po kraju, tysiące ludzi rzucało mozolnie zdobytą pracę, która im dała możliwość egzystencji, a po kilku miesiącach uzbierania drobnej sumy 90 franków, potrzebnej na powrót do kraju, zapewniała, opuszczając kolonie, plantacje, fabryki.

Nie dość na tym — ci, co oszustowi choć drobnym datkiem opłacić się nie mogli, więc najubożsi, najbardziej powrotu potrzebujący, przede wszystkim wdowy i sieroty po zmarłych na żółtą febrę emigrantach, nie otrzymali biletów powrotnych: jacy ludzie natomiast odjechali, poznamy z faktu, iż zarówno ja sam, jak brat mój, który po odjeździe moim rok cały jeszcze w koloniach Parany przebył, wreszcie p. Stefan Barszczewski, po nas obu zwiedzający Brazylię — spotkaliśmy wielu takich, co ponownie już do Brazylii powrócić zdołali, przywożąc ze sobą rodziny w kraju pozostawione; mieliśmy nadto w rękę listy tejsze kategorii wychodźców, proszące znajomych o przysłanie im „szyfkarty” na powrót do Rio Janeiro.

Są wypadki, a do takich należała misja pp. Glinki i Chełmickiego, gdzie lekkomyślność może ciężką krzywdę wyrządzić setkom ludzi, a całą akcję, przedsięwziętą w imię interesów społeczeństwa i za grosz publiczny, całkowicie sparaliżować. Misja p. Dygasińskiego rozbiła się o brak funduszy, a misja ks. Chełmickiego o lekkomyślne i powierzchowne traktowanie sprawy sobie powierzonej.

Nietrudno byłoby p. Chełmickiemu się przekonać, iż artykuł dekretu z dnia 28 czerwca 1890 r., zapewniający powrót na koszt rządowy do Europy wdowom i sierotom po zmarłych w Brazylii emigrantach, istnieje tylko na papierze. W rzeczywistości zaś kobiety i dziewczęta wpadają w ręce Żydków-handlarzy żywym towarem, których tu jest sporo, małoletnie zaś dzieci, nie wyłączając 4-, 5-letniego maleństwa, zostały przez urząd kolonizacyjny oddane do przędzalni bawełny w Rio Grande obok Rio Janeiro, gdzie pracują za strawę i przyodziewek po 11 godzin dziennie.

Niepodobna z dokumentów urzędowych sprawdzić, ilu wychodźców polskich w czasie brazylijskiej gorączki tutaj przybyło. W każdym razie cyfry podawane przez dzienniki nasze były wielce przesadzone. Liczba emigrantów polskich z okresu gorączki brazylijskiej nie przewyższa 80 000, z których wymarło około 15%. 8000–10 000 poszło na plantacje i rozproszyło się po miastach niezdrowego pomorza, będąc prędzej czy później skazanymi na zagładę, o ile im się nie uda powrócić do kraju lub ściągnąć na południe; reszta, około 40 000, osiadła na koloniach w Parana, Sta Catharina i Rio Grande do Sul, skupiając się później coraz bardziej około dawnych kolonii szląskich i galicyjskich w stanie Parana. Wysoka cyfra 80 000, którą podaję jako *maksimum*, nie wyda się czytelnikowi tak straszna wobec stwierdzonego urzędowo faktu, iż ze wszystkich krajów zamieszkałych przez ludność polską corocznie emigruje za ocean już od lat dwudziestu 40–60 000 ludzi, a wśród ostatniej ruchawki brazylijskiej znajdowali się nie tylko włościanie z Płockiego i Kujaw, ale i Kaszubi, Poznańczycy, Mazurzy pruscy, Szlązacy, Galicjanie, Rusini¹⁰¹, Słowacy, Litwini, wreszcie rzemieślnicy polscy z głębi Rosji i ze Stanów Zjednoczonych. Rozmiary klęski przeto, wobec zmniejszonego jednocześnie ruchu emigracyjnego do Ameryki Północnej i Australii, są znacznie mniejsze, niż zrazu sądzono.

Rozpuszczanym przez „Kurierki” wieściom o gromadnym jakoby wysprzedawaniu się włościan naszych z ziemi odpowiem cyframi sprawozdania urzędowego Komitetu Statystycznego w Warszawie dla guberni łomżyńskiej, iż między emigrantami do Brazylii było:

- włościan bezrolnych — 45,9%,
- wyrobników (mieszczan) — 39%,
- parobków dworskich — 5%,
- włościan małorolnych — 10%.

Dlatego też zamiast sentymentalnie lamentować i biadać bezskutecznie nad nieszczęściem wychodźców należałoby raczej przy pomocy konsulatów, Towarzystwa św. Rafała i duchowieństwa roztoczyć nad nimi opiekę w tych ogniskach, dokąd się udają po za-

¹⁰⁰szyf (niem. *Schiff*) — statek. [przypis edytorski]

¹⁰¹Rusin — dziś: Ukrainiec. [przypis edytorski]

Emigrant

Antysemityzm, Niewola,
Dziecko

Emigrant

robek, chroniąc ich od wyzysku i oszustwa. Opieki takiej rządu austriacki i niemiecki udzielają stale swoim poddanym, pomimo obowiązkowej ich naturalizacji w Brazylii, a również i p. Piotr Bogdanow, rosyjski *charge d'affaires*¹⁰² dla Brazylii i Argentyny, podczas kilkumiesięcznego pobytu swego w Curitibie¹⁰³ i nowych koloniach polskich, wiele nadużyć i wyzysku urzędową powagą swoją usunął, wdzięczną po sobie u wychodźców naszych pozostawiwszy pamięć.

Jak dalece przybywający do Rio Janeiro wychodźcy przyjaznej rady potrzebowali i jak łatwo byłoby udzieleniem im takowej przez osobę, do której czuliby zaufanie, np. księdza (konsulatu się boją ze względów paszportowych), ochronić od ciężkiego losu, jaki sobie dobrowolnie przez nieświadomość stosunków i praw sobie przysługujących zgotowali, dowodzi fakt, iż mając sobie pozostawiony do woli wybór miejscowości do osiedlenia, zapisywali się na oślep, tylko podług brzmienia nazwy prowincji lub miasta, najwięcej mając predylekcji¹⁰⁴ do nazw noszących imię świętego, zwłaszcza jeżeli święty cieszył się ich poważaniem. Stąd fakt dziwny na pozór, że w pierwszych miesiącach po przybyciu zapisywali się uparcie do Santos i Sta Catharina, uważanych w Brazylii na równi z Syberią u nas, nie tylko nienamawiani przez nikogo, lecz przeciwnie, wbrew wszelkim perswazjom urzędników komisji emigracyjnej i inteligentnych rodaków. Trzeba było dopiero kilku tysięcy ofiar, pochłoniętych przez zabójczy klimat pomorza wśród niebywałych przy tym upałów letnich, aby prąd, owczym pędem się kierujący, odwrócić od złudnych zysków na plantacjach i w miastach portowych ku rolniczym osadom na południu, gdzie warunki bytu i klimat zdrowy od dawna już kolonistów niemieckich zwabiły. Trzeba było morza krwi i łez wylanych na to, aby przybywający z kraju nowi wychodźcy zastawali na ścianach domów emigranckich i statków transportowych, wszędzie, gdziekolwiek pisać się dało, jeden tylko napis niewprawnymi rękami poprzedników swoich wypisany: „*do Parana*!”. Lakoniczne te napisy zdziały więcej niż najpiękniejsze obietnice plantatorów kawy i bawełny. Pochodził od swoich, siermiężnych, współcierpiących braci, jemu więc tylko wierzone. Na próżno brazylijscy urzędnicy go wyskrobywali i zamalowywali — jak feniks¹⁰⁵ z popiołów, niewiadomą ręką kreślony, pojawiał się napis znowu, jako jedyny drogowskaz. Chłop, którego marzeniem było posiadać kawał ziemi własnej, który dla tej nadziei, nie mogąc jej w kraju ziścić, ocean przepłynął, nie dał się zwieść obietnicom *fazendeirów*. Krążące wieści hiobowe¹⁰⁶ o nieludzkim obchodzeniu się dozorców, o oszustwach przy wypłacie, a zwłaszcza o tym, że tam *ziemi nie dają*, paraliżowały najświetniejsze obietnice. W diamenty i perły brazylijskie wierzyli tylko naiwni lub próżniacy, łatwych zysków pragnący. Chłop bezrolny, a takich była większość znaczna pomiędzy wychodźcami, tylko ziemi pragnął, wszystko znieść był gotów, lata całe czekać, aby do niej się nareszcie dostać. Wieści też krążyły nieuchwytnie, że tam, w tej obiecanej Paranie, są już Polacy, są kościoły i księża polscy.

Jak przedtem nikt do Parany iść nie chciał, tak teraz znowu nawet ci, co tam nic do czynienia nie mieli — rzemieślnicy, wyrobnicy i robotnicy fabryczni — żądali gwałtem odesłania ich do Curitiby, czemu zarząd kolonizacyjny sprzeciwiać się według wyraźnego brzmienia ustawy nie mógł. Każdy statek Lloyd¹⁰⁷ odchodzący na południe zabierał więc setki emigrantów polskich do Curitiby. Tymczasem zaś uboga, bezludna niemal prowincja, nierozporządzająca ani dostateczną ilością środków przewozowych, ani pomieszczeniem, ani funduszem odpowiednim do osadzenia w przeciągu kilkumiesięcznego terminu kilkudziesięciu tysięcy ludzi, nieprzygotowana wcale na ten najazd polskich emigrantów, znalazła się w położeniu bez wyjścia. Codziennie niemal przybywały nowe partie, a w przepelnionych po brzegi przytułkach emigranckich wybuchły choroby epidemiczne, z którymi walczyć było niepodobieństwem, zważywszy, iż prowincja, obszarem

Emigrant

Emigrant, Chłop

¹⁰²*charge d'affaires* (fr.) — szef misji dyplomatycznej najniższej rangi (niższej niż ambasador lub minister pełnomocny). [przypis edytorski]

¹⁰³*Curitiba* (port.) — Kurytyba, miasto w pld. Brazylii, stolica stanu Parana; główny ośrodek polonijny w Brazylii. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*predylekcja* — szczególne upodobanie, skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*feniks* — legendarny ptak odradzający się co kilkaset lat z popiołów. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*hiobowe wieści* (fraz.) — złe, przerażające wiadomości o tragedii, nieszczęściu; od imienia bohatera biblijnej *Księgi Hioba*, doświadczonego przez Boga nieszczęściami w celu wypróbowania jego wiary. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Lloyd* — tu zapewne: Companhia de Navegação Lloyd Brasileiro (pot.: Lloyd Brasileiro), brazylijskie państwowe przedsiębiorstwo żeglugowe, zał. w 1894, rozwiązane w 1997. [przypis edytorski]

wyrównywiająca Francji, posiada wyraźnie *dwóch* lekarzy i kilkunastu praktykujących farmaceutów.

Mimo to jednak, choć bieda doskwierała, a stosunki administracyjne nie były lepsze niż w innych stanach brazylijskich, Parana stała się ostatnią stacją w tej tułaczce za chlebem i *ziemią*, do której powoli ściąągają maruderzy, lecz skąd uciekają już tylko rzemieślnicy i wyrobnicy. Chłop został na roli, mozolnie zdobytej, a głównym czynnikiem, który wśród nich z wolna ład i porządek zaprowadza, nie było nic innego, jeno obecność księży polskich i kościołów. Jak potężny jest wpływ księży na lud nasz za oceanem, przekonać się było można, gdy ksiądz Możajewski z Detroit w przejeździe przez Buenos Aires przemówił od ołtarza kilka słów do zgromadzonej garstki brazylijskich rozbitków naszych — taki płacz głośny wybuchł w kościele, że najzawziętszy sceptyk rozczuliłby się do głębi. Świadek tej sceny, p. S. B., opowiada, iż Hiszpanie i Hiszpanki ze zdumieniem spoglądali na to nigdy niewidziane widowisko, a gdy po mszy ksiądz nasz wszedł do zakrystii, przełożony zakonu redemptorystów, w których kościele msza się odbyła, rzekł do niego: „Toć chyba świętym jest ten lud wasz polski! Takiego bowiem przywiązania do wiary nigdyśmy nie widzieli”.

Ksiądz, Emigrant, Chłop

Dokąd zaprowadziła niektórych wychodźców naszych nieświadomość stosunków miejscowych, wymowny przykład pouczy: oto partia złożona z kilkudziesięciu rodzin, pomiędzy którymi znajdował się były urzędnik policyjny, lokaj, stangret, kelner itp., nieco ocytani ludzie, uparła się pomimo rad życzliwych jechać do Manaus nad Amazonkę, gdzie, jak im ktoś mówił, miały być wyborne pastwiska i „bydła, ile kto zechce”. Po roku brat mój spotkał w Rio Janeiro pięciu wynędzniałych biedaków: byli to jedyni pozostali z tej partii przy życiu ludzie. Resztę żółta febra zabrała.

Emigrant, Choroba, Śmierć

Inne znów partie, pod przywództwem jakiegoś mędrca, który dwie klasy ukończył, postanowiła się udać do Matto Grosso, dokąd z Rio Janeiro podróż parowcem trwa *tylko* miesiąc i jedynie stanowcze *veto* administracji brazylijskiej szaleństwa tego nie dopuściło.

Ale wracam do przerwanej wątku mojej opowieści.

Prasa stołeczna, rozdrażniona działalnością naszych poprzedników, a uprzedzona o celu naszego przybycia depeszą ambasady brazylijskiej w Paryżu, gorliwie się nami zajmuje, podejrzewając w każdym nowo przybyłym inteligentnym Polaku nowego emisariusza, wnoszącego bunt i nieład wśród mniej spokojnych elementów emigracji polskiej. Gazety nie szczędzą Polakom obelżywych epitetów, z których „*vagabundos e revolucioneiros*”¹⁰⁸ są jeszcze najbardziej parlamentarne.

Jeśli wierzyć ich elukubracjom¹⁰⁹, to emigracja polska była dziełem niemądrych agentów, którzy zamiast Niemców na polskiego chłopca wędkę zarzucili. Najczulszą ich struną jest wszakże p. Adolf Dygasiński, którego nazwisko pokutuje codziennie w szpaltach dziennikarskich z dodatkiem najbardziej w ich mniemaniu obelżywego epitetu „*judeo*” i, o dziwo, zupełnie poprawnie wypisane. Księża Chelmieckiego traktują względnie nieco, choć z równą nienawiścią. Hempel żali się, iż za nim agent komisji emigracyjnej i policjant chodzą od dnia jego przybycia jak cienie nieodstępne, utrudniając mu ile możności swobodną rozmowę z emigrantami i towarzysząc mu nawet stale w wycieczkach na prowincję. Gdyby nie herkulesowa postawa mego przyjaciela, wzbudzająca poszanowanie w tchórzliwych Brazylianach, byłiby go niezawodnie sprzątnęli gdzieś cichaczem.

Antysemityzm

Pragnąc położyć kres temu nieznośnemu szpiegowaniu i szykanom, udałem się do dyrektora departamentu kolonii (*das terras e colonisação*), p. Accioli da Vasconcelos, do którego miałem polecenia urzędowe.

Wysoki, gruby Mulat z czarnym zarostem i pierścionkami na wszystkich palcach przyjął mnie bardzo kwaśno i rozwódzić się począł o krzywdach wyrządzonych rządowi brazylijskiemu przez tendencyjne korespondencje Dygasińskiego i Chelmieckiego; wychwalał zacne intencje swego rządu, wreszcie radził mi zaniechać projektowanej podróży do stanu Parana, przedstawiając niebezpieczeństwa i trudy takiej wycieczki oraz ubóstwo tego kraju, w którym jego zdaniem nic do zrobienia nie ma i ludzie z głodu ginąć muszą,

¹⁰⁸*vagabundos e revolucioneiros*, popr.: ...*revolucionários* (port.) — włóczędzy i rewolucjoniści. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*elukubracja* — lichej utwór literacki, tekst pisany lub mówiony wypracowany mozolnie przez osobę pozbawioną talentu. [przypis edytorski]

bo tam kawa nie rośnie. Kadził mi natomiast udać się do Sao Paulo na fazendy kawowe, o których nawet sceptyczny ksiądz Chełmicki miał przychylną wyrazić opinię.

Wysłuchawszy cierpliwie długiego opisu krasomówczego p. dyrektora, w odpowiedzi zażądałem uwolnienia moich towarzyszy od policyjnej kontroli i upoważnienia do urzędowej rewizji domów emigranckich na prowincji oraz kolonii nowo założonych w stanie Parana, dokąd się od niejakiego czasu, wbrew życzeniu potrzebujących robotnika *fazendeirów*, wszyscy Polacy tłumnie zapisywali.

Nazajutrz urzędnik z biura p. Vasconcelos przyniósł mi do hotelu list polecający do delegata „*das terras e colonisação*”, p. Carvalho w Curitibie, oraz trzy bilety wolnej jazdy na statku „Desterro”, odpływającym następnego dnia do Paranagua.

Tegoż samego dnia jedno z pism najpoczytniejszych w stolicy, „*Gazeta de noticias*”, umieściła długi artykuł pod tytułem „*Um polaco mais*”¹¹⁰, z lekka, choć w grzecznej formie przeciwko wyprawie mojej wymierzony, a nieszczędzący ostrych docinków pod adresem korespondentów polskich, zwłaszcza Dygasińskiego, który stał się w Brazylii postacią legendarną i zmorą urzędu kolonizacyjnego.

14 sierpnia jesteśmy na pokładzie wraz z partią 500 emigrantów włoskich i hiszpańskich, wysyłanych do Santos. Przechadzając się po pomoście dostrzegłem naraz kilkanaście postaci, których obecność mnie zdziwiła, w liście bowiem pasażerskiej Polaków nie było — tymczasem zuchowato nasadzone na ucho maciejówki¹¹¹, konopiaste czupryny dzieci i czerwone chusty dziewcząt nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, iż mam przed sobą „Bryzolianów” znad Wisły. Zaczepiam jakiegoś starca — ten podejrzliwym mierzy mnie okiem i nic nie odpowiada. Zwracam się do jakiejś dziewczuchy — ta znów z czysto słowiańskim gestem zakłopotania głowę odwraca. Natrafiam wreszcie na gromadkę Żydów z Warszawy, Kijowa i Odessy, którzy są rozmowniejsi i niezadługo mam rozwiązanie zagadki. Dzwon okrętowy obwieścił godzinę obiadową: emigranci, skupieni gromadkami po pięć osób, wysyłają jednego spomiędzy siebie z blaszaną misą do kuchni. Agent emigracyjny i oficer służbowy pilnują porządku. Narodowości idą po sobie kolejno, a jednocześnie obok oficera służbowego staje odpowiedni tłumacz. Wywołują naprzód Włochów, Hiszpanów, Niemców, wreszcie słyszę wołanie: „*Os Ingleses!*”¹¹². Żydek jeden mrugnął na naszych i do uszu moich doleciało słów kilka po polsku wypowiedzianych: „Kaśka, a dyc spiesz się, bo na nas wołają!”. Żydek jest tuż przy Kaśce i odpowiada za nią łamaną angielszczyzną rudemu Irlandczykowi pełniącemu obowiązki tłumacza; oficer uśmiecha się dobrodusznie, udając, iż wierzy w angielską narodowość tej hożej miss spod Włocławka. Wywołują nazwiska: John Ludlow! James Brown! Katty Price! — „ja” odpowiada ktoś za każdym razem.

Okazało się, iż była to gromadka wychodźców kujawskich, która przybyła do Bremy¹¹³ w chwili, gdy na żądanie pp. Chełmickiego i Glinki Lloyd¹¹⁴ przestał Polakom udzielać bezpłatnych biletów jazdy do Brazylii. Żydek impresario wywiedział się zaraz, iż zakaz ten wyłącznie do Polaków i do Lloyd’a się stosuje — poradził przeto pojechać najprzód do Anglii, a z Liverpoolu, jako Anglików, bez przeszkody do Rio Janeiro ich odstawiono. Z obawy, aby, gdyby się wykryła ich narodowość, nie kazano im za przebytą podróż zapłacić, milczeli uporczywie w naszej obecności i dopiero później, już po wylądowaniu, udało nam się ich zaufanie pozyskać i języki rozwiązać.

Płyniemy w pobliżu brzegów, mając wciąż przed oczami niezmienny krajobraz wysokich, stożkowatych gór granitowych, porosłych gęsto ciernistymi krzakami, z których wynurza się gdzieniegdzie przybrany w girlandy lian *bombax* lub palma królewska. Z rzadka tylko widnieje wśród zieleni pojedyncza fazenda lub mała wioska rybacka.

Nazajutrz o południu „Desterro” wpływa do głęboko werźniętej pomiędzy kilka cyplów granitowych wąskiej zatoki Santos, mającej wiele podobieństwa z zatoką Rio de Janeiro. Ograniczają ją z obu stron dwa równoległe do siebie pasma górskie, gęstym

¹¹⁰*Um polaco mais* (port.) — jeszcze jeden Polak. [przypis edytorski]

¹¹¹*maciejówka* — męska okrągła czapka z sukna, ze skórzonym daszkiem, popularna w końcu XIX w. wśród polskiej ludności wiejskiej. [przypis edytorski]

¹¹²*Os Ingleses* (port.) — Anglicy. [przypis edytorski]

¹¹³*Brema* — miasto w Niemczech, stolica kraju związkowego o tej samej nazwie; w XIX w. Bremerhaven, port morski Bremy ujścia Wezery, stanowił jeden z głównych portów emigracyjnych w Europie. [przypis edytorski]

¹¹⁴*Lloyd* — tu: Norddeutscher Lloyd, dawne niemieckie oceaniczne przedsiębiorstwo żeglugowe z siedzibą w Bremie, zał. w 1857, zlikwidowane w 1970. [przypis edytorski]

porosłe lasem, a płaskie, bagniste brzegi pokrywają zarośla ryzoforowe. U wejścia zatoki mijamy bardzo malowniczą, omszoną wiekiem i na wpół rozwaloną forteczkę, zdradzającą architekturą swoją pochodzenie z czasów panowania holenderskiego.

Nigdzie nie widziałem tak wielkiej ilości meduz, co w Santos. Osobliwsze te zwierzątka, mające kształt jarmulek¹¹⁵ z pękiem czulków u spodu, barwy szarej lub różowej, mijają co chwila nasz statek.

Santos jest przystanią stanu Sao Paulo, należącą do najruchliwszych i najbogatszych w Brazylii, posiadającą sieć kolejową 2000 kilometrów długą i wywożącą kawy 116 milionów kilogramów rocznie, tj. blisko 1/3 całej produkcji brazylijskiej. Szkoda tylko, że warunki zdrowotne Santosu są tak opłakane, iż podczas upalnego lata nawet rodowici Brazylijanie wytrzymać tu z powodu żółtej febry nie mogą.

Dla osób nieobeznanych z zakulisowymi tajemnicami zamorskiego handlu niezrozumiałe będzie szczegół, o którym pisze w podróży swojej po Ameryce Jonin, były poseł rosyjski w Rio Janeiro. Zastał on w porcie Santosu statek finlandzki¹¹⁶ naładowany — deskami sosnowymi! — a jednak rzeczą jest oczywistą, że się z palisandru ani mahoni nie da zrobić podłogi w domu mieszkalnym, wyrobienie zaś desek z araukarii¹¹⁷, rosnących w głębi kraju, i przewiezienie takowych koleją na pomorze wypada o wiele drożej aniżeli przywiezienie takowych na żaglowcu z Finlandii lub Stanów Zjednoczonych. Dziś, od czasu założenia w górach kilku tartaków przez kolonistów polskich, stosunki się zmieniły w samym Santos, lecz pozostały niezmiennie dla wielu innych miast gorącego pomorza brazylijskiego, jak i bezleśnej Argentyny. Przy budowie np. kolei z Paranagu do Curitiby — podkłady sprowadzone aż z Chile — o 20 dni drogi parowcem!

Dalej przywożą tutaj w znacznej ilości mąkę pszenną z Nowego Jorku, jakkolwiek w głębi kraju wielu osadników sieje pszenicę, dającą 30–40 ziarn — lecz brak całkowity młynów i środków transportowych uniemożliwia konkurencję z Europą. Nawet kukurydzę, dającą tutaj 200 ziarn bez żadnej uprawy, miasta portowe sprowadzają z Europy.

Kartofle dowożą się¹¹⁸ tutaj z Hiszpanii, Portugalii i Anglii nawet, a hamburskie cygara tutaj, w ojczyźnie tytoniu wyborowego, olbrzymi mają odbyt¹¹⁹. Wiele przywożą tutaj również z Europy wina, jabłek, gruszek itd.

Ale oto jeszcze jeden fakt dziwaczny, podany przez tegoż p. Jonina: w prowincji Sao Paulo istnieje w miasteczku Ipanema kopalnia bardzo czystej rudy żelaznej oraz jedyny w Brazylii wielki piec do wytapiania surowca, urządzony wzorowo przez rząd brazylijski. Otóż połowę potrzebnej dla pieca rudy sprowadzają z Europy! Bo taniej im wypada.

Jak olbrzymim rynkiem zbytu dla produktów europejskich jest Brazylia, uwydatni dostatecznie okoliczność, iż w r. 1889 np. Francja wywoziła towarów do Rosji zaledwie za 18 000 000 franków, do Brazylii zaś, zaledwie nieco więcej ponad 10 milionów ludności liczącej, za całe 63 000 000 franków. Komentarze są tutaj zbyteczne.

Miasto nie jest wielkie, lecz nadzwyczaj szeroko rozrzucone, a ponieważ oprócz agentów handlowych nikt tutaj stale nie mieszka, nie odznacza się niczym wybitnym. Ulice stosownie do pogody pełne kurzu lub błota, w szachownicę pocięte; niskie domki, żadnego okazalszego gmachu.

W porcie spotykamy kilkunastu emigrantów polskich w bardzo smutnym stanie. Należą oni do kategorii dezertów z kolonii rolniczych, wyczekujących sposobności powrotu do kraju. Pracują jako tragarze lub pomocnicy murarscy, zarabiając z trudnością na życie, a częste choroby mozolnie zgromadzone oszczędności pochłaniają. Jak we wszystkich miastach portowych jest też tutaj kilkudziesięciu rzemieślników naszych, a zapewne i ktoś z inteligencji, jak mnie zasłyszana z ulicy rzewna nuta polskiej piosenki, przy akompaniamencie fortepianu dźwięcznym sopranem śpiewanej, przekonała. Podczas gorących miesięcy Santos się wyludnia, a kto tylko może przejeżdża do sąsiedniego S. Paulo lub S. Bernardo, położonych w zdrowym górskim klimacie.

Emigrant

¹¹⁵jarmulka — okrągła sukienna czapka na czubek głowy, charakterystyczna dla Żydów. [przypis edytorski]

¹¹⁶poseł rosyjski w Rio Janeiro. Zastał on w porcie Santosu statek finlandzki — Wielkie Księstwo Finlandii, istniejące w latach 1809–1917, było prowincją Imperium Rosyjskiego. [przypis edytorski]

¹¹⁷araukaria — rodzaj drzew iglastych rosnących na półkuli południowej; w płd. części Brazylii rośnie araukaria brazylijska, nazywana w innych miejscach tekstu „sosną brazylijską”. [przypis edytorski]

¹¹⁸kartofle dowożą się — dziś popr.: kartofle dowozi się. [przypis edytorski]

¹¹⁹odbyt (daw.) — zbyt, popyt, pokupność, popularność wśród nabywców. [przypis edytorski]

Mając parę godzin czasu do rozporządzenia, idziemy zwiedzić schronisko dla emigrantów, umieszczonych w sali miejskiego teatru. Dozorca brutalnie nas odpycha, lecz na widok koperty z pieczęcią ministerialną pokorniej w jednej chwili, zgięty w pałąk zaczyna nas tytułować „*Excellenza*” i „*Vossignoria*”, wreszcie sprowadza komisarza, który nas po wszystkich oprowadza zakątkach. W wielkiej sali, nieposiadającej innego umeblowania oprócz mat słomianych rozesłanych na kamiennej posadzce, leży pokotem ze trzystu Włochów, oczekujących wysłania do Sao Paulo. Łoże przy pomocy ażurowych przepierzeń przerobiono na małe kajuty dla kobiet i honoratorów¹²⁰ przeznaczone. Obok teatru w szopie odkrytej gotują strawę, złożoną jak na okręcie ze świeżego mięsa, ryżu, czarnej fasoli, kawy i pszennego chleba. Zbytnią czystością to nie grzeszy, ale dawane dwa razy dziennie wystarcza w zupełności. Zresztą Włosi nie są tak potulni jak emigranci nasi i o prawa swoje głośno upominąć się zwykli. W ogóle zaznaczyć muszę, że nie słyszałem nigdy, aby się emigranci na jadło podczas pobytu na okręcie i w miejskich barakach emigranckich uskarżali — pożywienie dają zdrowe i posilne. Bieda zaczyna się dopiero na dalszej prowincji, gdzie i o nadzór trudniej, i artykuły żywności w niedostatecznej ilości i lichym gatunku przychodzą. Włóścianom naszym brakuje wszakże razowego chleba i kartofli, których im ani kawa, ani wino, ani ryż nie zastąpią, a które uchodzą tutaj za artykuły zbytku.

W stolicy stanu Sao Paulo, oddalonej od Santos o kilka godzin jazdy koleją, jest kilkuset rzemieślników i wyrobników polskich, równie jak w Rio Janeiro w przeważnej¹²¹ części czasowo dla zarobku przybyłych. Ogniskiem ich jest istniejące od kilku lat towarzystwo dobroczynności (Sociedade Beneficencia Polaca) pod kierunkiem pp. Jabłońskiego i Blocha.

W środku pomiędzy S. Paulo i Santos, w pobliżu stacji Sao Bernardo, leżą dwie osady polskie: Rio Pequeno i Capivari. Oto co pisze o nich p. S. Barszczewski¹²² w korespondencji swojej do jednego z dzienników galicyjskich:

W Rio Janeiro nikt z naszych nie wiedział o istnieniu tych dwóch placówek polskich, toteż zdziwiłem się bardzo, przybywszy do Sao Paulo, gdy o nich usłyszałem. Ma się rozumieć, że postanowiłem je zwiedzić.

Wyjechałem więc z p. Adolfem Blochem, przewodniczącym tutejszego Towarzystwa Polskiego, koleją prowadzącą do Santos. Po półgodzinnej jeździe stanęliśmy na stacji San Bernardo. Ze stacji ruszyliśmy powozem do miasteczka, stamtąd zaś konno do kolonii.

Odległość stacji Sao Bernardo od Sao Paulo wynosi 20 kilometrów, od stacji do miasteczka 6 kilometrów, stamtąd zaś do kolonii 14 km. Obydwie kolonie stykają się ze sobą, od środka jednak Rio Pequeno do środka Capivari liczą przeszło 5 km.

Położenie ich jest piękne. Leżą one wśród gór i lasów dziewiczych na wysokości 750 metrów nad powierzchnią morza. Przeciętna temperatura wynosi +18,80° C.

Powietrze jest zdrowe. Komunikacje znośne. Niewielka stosunkowo odległość od miasta ułatwia zbyt produktów pracy i nabycie artykułów niezbędnych do użytku domowego. Od niedawnego czasu istnieje na kolonii sklep spożywczy, założony przez p. Blocha, przez co koloniści nie są narażeni na stratę czasu i brnięcie, często po kolana w błocie, dla nabycia byle jakiej drobnostki u kupców w Sao Bernardo. Sklep ten i pod tym względem ma wielkie znaczenie, że wyrwa kolonistów z rąk *wendzisty* (kupca brazylijskiego), dającego na *vale* (kwitki rządowe za robociznę), zdzierającego niemilosiernie i będącego zwykle w spółce z dyrektorem kolonii.

Na obu koloniach jest przeszło 120 rodzin polskich.

¹²⁰*honorator* (łac. dosł.: dostojniejszy), pol. *honorator* (daw.) — osoba piastująca wyższą godność. [przypis edytorski]

¹²¹*przeważny* (daw.) — przeważający. [przypis edytorski]

¹²²*Barszczewski, Stefan* (1862–1937) — polski pisarz, dziennikarz; w latach 1891–1893 podróżował po Brazylii, Argentynie, Paragwaju i Urugwaju, przesyłając korespondencję do pism krajowych, m.in. do „Kurier Warszawskiego”, „Przeglądu Emigracyjnego” i „Wędrowca”. [przypis edytorski]

Główny dochód kolonistów stanowi drzewo budulcowe. Prawie wszyscy zajmują się trzcinką. Bliżsi drogi prowadzącej do miasta pracują na własny rachunek, dalsi zaś wynajmują się pierwszymi dziennie lub pracują od tuzina zerzniętych desek.

Praca tu wre na każdym kroku.

Wśród wielkich wyrębów leśnych wznoszą się chaty z desek lub bali pobudowane, kryte liśćmi palmitów, zupełnie podobne do tych dalekich, naszych, polskich dworów szlachty zaściankowej. Na każdej chacie, na każdym kroku znać piętno ciężkiej, mozolnej pracy, długiej walki o ten kawałek wykarczowanego gruntu, jednocześnie jednak jak uśmiech lepszej doli błyszczą ścieżki starannie ubite i przyozdobione pękami kaktusów, maleńkie ogródki kwiatowe lub bielone ściany chat niektórych, wzorzysto malowane przez domorosłych artystów. Dobrze, gdzie były piła, dłuto i pomoc rąk innych; jak często jednak tylko rąk para i topór las trzebiły, belki rąbały i stawiały chatę od podwalin do szczytu dachu! Rezultat takiej wytrwałej pracy widziałem na kolonii Capivari u kolonisty Niedzielskiego.

Obok każdej chaty zielenią się mniej więcej liczne zagony kapusty, sałaty, buraków, grochu, marchwi, pietruszki i innych warzyw. Pośród pni wypalonych widnieje kukurydza, gdzieniegdzie zaś z ziarenek przypadkowo znalezionych wyrosły pęki jęczmienia lub żyta.

Jakże dziwnie wyglądają te wyniki pracy dwuletniej obok kilkudziesięcioletniej pracy rzadkich kolonistów brazylijskich. Tu chęć działalności, życia; tam ospałość i niedołęstwo. Tu domy mieszkalne z desek, starannie wykończone i ozdobione, tam po prostu chlewy z chrustu i gliny, pełne szpar i dziur, bez najmniejszej oznaki dbałości o jaką taką wygodę. Tu wozy lekkie, o kołach szprychowych, tam ciężkie arby¹²³ z kołami cięższymi od wozu, wyciętymi z jednego kawałka drzewa. I tak bez końca.

Narzekają Brazylijanie na naszych, przeklinają wychodźców, zwąc ich „*vagabundos e revolucioneiros*”, a jednak dzięki im tylko niedostępne przedtem nie tylko dla człowieka, ale nawet dla zwierzęcia miejsca stają się ogniskami życia. Dzięki im tylko nędzne osady, jak Sao Bernardo, Curitiba, Rio Negro i inne, stają się stopniowo miastami pełnymi widoków rozwoju.

Żalują oni sum wydanych na tę emigrację, widząc tysiące nicponiów i żebraków, okradających lub żebrzących po miastach, nie zważają jednak na to, iż ta mała część, która osiadła i pracuje szczerze, wytworzy więcej przez lat dziesiątek, niż dziesięciokrotna liczba Brazylijan zdołałaby przez wiek wytworzyć.

Skończywszy z nędzą, zaczynają myśleć koloniści o potrzebach duchowych. Trzeba widzieć i słyszeć, by uwierzyć jak gorąco ich zaspokojenia pragną. Kawał starej gazety polskiej lub książka z powyrywaniem kartkami z rąk do rąk kursują; kilka słów polskich dobitnych, lecz serdecznych i prawdomównych do tego ludu przemówionych — lży i uniesienie wywołują.

Podczas pobytu mego w Sao Paulo postanowiło tamtejsze Towarzystwo Polskie rozszerzyć swą działalność na kolonie Pio Pequeno i Capivari. Dla omówienia tej sprawy wybrano miasteczko Sao Bernardo. Rannym pociągiem przybyli ze sztandarami członkowie Towarzystwa z Sao Paulo, z kolonii piechotą i konno przywędrowało kilkudziesięciu kolonistów. Ruszono pochodem przez miasto. Wśród konnej eskorty powiewał przodem sztandar Towarzystwa. Trzeba było widzieć, z jaką dumą spoglądały nań te dziesiątki twarzy ogorzałych, z jaką gotowością zapisywali się w poczet członków Towarzystwa i składali pieniądze.

ROZDZIAŁ V

¹²³*arba* — ciężki wóz dwukółowy typowy dla krajów zachodniej Azji; występował także na Ukrainie, na Kaukazie i w południowej Rosji. [przypis edytorski]

Odjazd z Santos. Paranagua. Zajście z policją. Wychodźcy. Kolej do Curitiba. W stolicy stanu. Dawne kolonie polskie. Przyroda. Yerba mate.

Po kilkogodzinnym pobycie opuszczamy Santos wieczorem, podziwiając śliczne efekty kolorystyczne zachodu słońca, jakie tylko w tych szerokościach oglądać można: niebo pomarańczowej barwy odcina się jaskrawo od zębatych konturów czarnych, koronką lasów uwieńczonych, gór i zielonej powierzchni wody, mieniającej się fioletowymi blaskami.

16 sierpnia z rana przez cieśninę pomiędzy wyspami porośniętymi lasem kokosów wpływamy do obszernej zatoki Bahia da Paranagua, zamkniętej przez wielką deltę pokrytą ryzoforami.

Te ostatnie, znajdując się na południowej granicy swego rozsiedlenia, posiadają wygląd znacznie skromniejszy niż w równikowych okolicach Ameryki. Nie ma tu wysokich pní ze zwisającymi girlandami korzeni powietrznych ani tych prawdziwych koszów z korzeni i konarów, pomiędzy którymi podczas odpływu jeździec z koniem się chowa: zarośla w Paranagua są szarozielonymi krzakami, z daleka przypominającymi naszą wiklinę.

Obszerna, dobrze zasłonięta górami zatoka rozdziela się na dwie odnogi, przy których leżą Paranagua i Antonina, dwa główne miasta portowe prowincji, połączone koleją z wnętrzem kraju.

Przed nami płaskie, lesiste wybrzeże, wśród którego bieleją z rzadka rozsiane schludne domki kolonistów włoskich, kryte czerwoną dachówką.

W oddaleniu paru mil od brzegu piętrzy się wysoki mur granitowy, do 1200 metrów ponad poziom morza wzniesiony: to Serra do Mar¹²⁴, krawędź wielkiego płaskowyzu, obejmującego całe południe Brazylii aż do granic Paragwaju i Argentyny, gdzie wśród borów sosnowych rozsiadły się szeroko europejskie kolonie rolnicze, wydzierając każdą piędź ziemi dzikiej przyrodzie, Botokudom¹²⁵ i półdzikim *cabocos*¹²⁶ brazylijskim.

Panorama zatoki, okolonej wysokimi, lesistymi górami, bardzo malownicza.

Wsiadamy do łodzi powożonej przez dwóch tęgich Murzynów i po kwadransie jazdy, ominąwszy zakrywającą widok zieloną deltę, stajemy przy jedynym zajeździe, szumnie „Hotel do comercio” nazwanym, utrzymywanym przez Niemkę o portugalskim nazwisku, którą podejrzewam o pochodzenie z Berdyczowa lub Nalewek.

Miasteczko Paranagua, malutkie, opuszczone, składa się z dwóch tylko ulic, równoległych do wybrzeża. Znać na nim lepsze kiedyś czasy — wiele porządniejszych domów i stary kościół jezuicki stoją w gruzach. Wybrzeże, pięknie wybrukowane, zdobi kilka pięknych palm. Snują się po nim tragarze Murzyni i dwukołowe frachtowe wozy, również przez Murzynów powożone. Miasto posiada nadto kawiarnię, stację kolei, „hotel emigrancki”, urząd celny, komisarza policji, kilka domów komisowych, będących zarazem konsulatami Włoch, Francji, Niemiec, Austrii i Danii, oraz nieproporcjonalnie wielką ilość szynków. Prawie w każdym sklepie, bez względu na rodzaj sprzedawanego towaru, handlują także i wódką.

Hotel nasz jest piętrowym budynkiem, złożonym z sali jadalnej i saloniku z balkonem, skąd rozległy widok na zatokę i góry się roztacza. Naokoło salonu, lekkimi tylko przepierzeniami z bambusu oddzielone, mieszczą się małe ciemne, alkowy¹²⁷ dla pasażerów.

Tuż obok miasta rozściela się obszerna łąka, na której w przejeździe widzieliśmy roje ptactwa wodnego. Zaledwie tedy zdążyliśmy się umieścić w zajeździe i załatwić formalności celne, gnani żyłką myśliwską pobiegliśmy tam z dubeltówkami, w nadziei upolowania białej czapli, której piękne pióra są tak cenione na pióropusze do kołpaków¹²⁸. Ptak to jednak nader ostrożny i pomimo iż było ich na łące mnóstwo, wszelkie strategie nasze

Miasto

¹²⁴*Serra do Mar* — pasmo górskie w pld.-wsch. Brazylii, na krańcu Wyżyny Brazylijskiej, rozciągające się wzdłuż wybrzeża Atlantyku. [przypis edytorski]

¹²⁵*Botokudzi* (z port.) — ogólna nazwa nadana przez portugalskich kolonizatorów koczowniczym Indianom Ameryki Południowej, prowadzącym myśliwsko-zbieracki tryb życia w małych grupach, często noszącym w rozciągniętych uszach i dolnych wargach duże drewniane krążki (port. *botoque*: szpunt). [przypis edytorski]

¹²⁶*caboco*, częściej: *caboclo* — brazylijskie określenie potomka miejscowych Indian i Europejczyków, niekiedy oznaczające Indianina, który wskutek działań kolonizatorów utracił przynależność plemienną i porzucił tradycyjny tryb życia. [przypis edytorski]

¹²⁷*alkowa* — mały pokoik bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

¹²⁸*kołpak* — wysoka czapka bez daszka, futrzana lub z futrzanym otokiem. [przypis edytorski]

pozostały bez skutku. Znaleźliśmy natomiast nieco bekasów¹²⁹ podobnych do naszego dubelta (*Gallinago paraguiae*), a co znowu mnie specjalnie ucieszyło — pagórek złożony całkowicie z wybornie zachowanych muszel kopalnych z mioceńskiej¹³⁰ epoki.

Na słonym gruncie ryzoforowego bagna zapadamy się co chwila w nory krabów, których tu są miriady. Zabawnie wyglądają te jaskrawo zabarwione zwierzątka, uciekające bokiem z wielką szybkością do nory za zbliżeniem się człowieka. Udaje mi się jednak sporą kolekcję tych ciekawych raczków, właściwych bagnom słonym, nazbierać.

Kujawscy „Anglicy” rozpuścili już snadź wieść o naszym przybyciu pomiędzy Polonię, gdyż za powrotem do miasta spotykamy gromadki włościan uchylające przed nami czapkę z tradycyjnym naszym „Niech będzie pochwalony”. Kilkunastu wyrostków, stojąc po kolana w wodzie, łapie ryby na wędki, a przed zajazdem snują się gromadki ciekawych, spoglądając na balkon naszego mieszkania.

Po obiedzie idziemy do emigrantów. Za schronienie służy im położony obok dworca kolei na wpół rozwalony budynek, wyglądający na dawny klasztor. Na łózkach z bambusu naprędce skleconych, zasłanych słomianymi matami, w kilku celkach mieści się w ciasnocie straszliwej około czterdziestu rodzin, przeważnie z Płockiego i Kujaw. Wraz z nimi kilkunastu Rusinów galicyjskich. Opodal gromada dziatwy bawi się hałaśliwie pod dozorem grubego Mulata. Dzień był świąteczny, wieczór cichy i pogodny, większość przeto emigrantów odpoczywała na murawie lub zebrani w małe gromadki śpiewali godzinki i litanie.

Lody nieufności prysły łatwo, wielu Płocczan znało Hempla z kraju, inni widzieli go w barakach Pinheiro, gdzie ich odwiedzał. Otoczyli nas wieńcem, rozpytując gdzie i kiedy ziemię dostaną. Żalą się przy tym, że przetrzymawszy ich po kilka miesięcy w Pinheiro, i tutaj każą im jeszcze czekać z nieustannym brazylijskim „paciença”¹³¹, namawiając do osiedlenia się w pobliżu Paranaguy, mimo iż wszyscy, gnani instynktem samozachowawczym, żądają uporczywie odesłania do Curitiby, do swoich. Już razu jednego i furmanki zajęchały, i wsiaść im kazano, ale ponieważ mówiono im w Pinheiro, że do Curitiby koleją jechać trzeba, poznali zasadzkę i opór stawili, za co „pan »komisarz« okrutecznie się gniewał i cosik po brazylijsku do tłumacza wymyślał”.

Ściemniło się tymczasem i aniśmy się spostrzegli, jak ów tłumacz, zezowaty rudy Szlązak, w asystencji¹³² dwóch policjantów znalazł się przy nas, w sposób niekoniecznie grzeczny oświadczając nam, iż z emigrantami rozmawiać nie wolno, po czym z tryumfalną miną policjanci poprowadzili nas wszystkich przed oblicze samego komisarza. Nie zastawszy go w domu, odnajdujemy wielkiego dygnitarza w miejscowej kawiarni. Tłumacz coś mu szepnął do ucha i wyniósł się, czekając rezultatu za drzwiami. Policjanci z zadowoloną miną stanęli we drzwiach z bronią u nogi. Zanim wszakże komisarz usta zdążył otworzyć, nic nie mówiąc, położyłem przed nim ministerialną kopertę, której widok od razu wywarł wpływ magiczny. Zamiast zamknąć nas do kozy¹³³ urzędnik z miłym uśmiechem zaproponował nam filiżankę kawy i nieproszony zaczął usprawiedliwiać się z zarzutów, których treść już mu tłumacz był doniósł. „Pragnął tylko dobra tych ludzi: w Curitibie baraki przepełnione, choroby panują, a tutaj w pobliżu jest do rozdania kilkadziesiąt wybornych »lotów«¹³⁴ w górach, w zdrowej okolicy, gdzie Polakom będzie jak w raju — nawet są już tam niektórzy”. Wreszcie prosił nas, abyśmy namówili emigrantów upartych do wybrania delegatów celem obejrzenia chociażby owych cudów. Oświadczyłem gotowość pośrednictwa, atoli z warunkiem, iż kolonie owe sam najsamprzód obejrzę i sprawdzę dokładność informacji p. komisarza. Na pozór zachwycony, oświadczył, że jutro o świcie stawi się z wierzchowymi końmi dla nas.

Czekaliśmy na próżno dzień cały, wreszcie przed odejściem pociągu do Curitiby dnia następnego wysłałem do komisarza kartkę pożegnalną w dość ostrej formie, której skutek był taki, że w pół godziny potem zjawił się z przeprosinami, wymawiając jakimś błahym

¹²⁹bekas — średniej wielkości ptak wędrowny zamieszkujący tereny podmokłe; jednym z przedstawicieli podrodziny bekasów w Polsce jest dubelt. [przypis edytorski]

¹³⁰miocen (geol.) — starsza epoka neogenu, w której powstawały wielkie łańcuchy górskie, ok. 23–5 mln lat temu. [przypis edytorski]

¹³¹paciença, popr.: paciência (port.) — cierpliwość; tu: cierpliwości! [przypis edytorski]

¹³²asystencja (daw.) — asysta; straż towarzysząca. [przypis edytorski]

¹³³koza (daw., pot.) — areszt. [przypis edytorski]

¹³⁴lot — tu z port. lote: działka gruntu. [przypis edytorski]

powodem. Okazało się później, iż komisarz, nadużywając swojej władzy, chciał koniecznie wpechnąć Polakom kilkanaście „lotów” w okolicy Morretes, będących jego osobistą własnością, a z których dawniej osiedleni koloniści włoscy i hiszpańscy uciekli.

Dekonfitura¹³⁵ komisarza, tłumacza i policjantów ogromnie nas wywyższa w oczach emigrantów, którzy już teraz otwarcie zwracają się do nas ze skargami na nadużycia administracji i żądaniami swoimi, czując w nas jakichś „starszych” — choć ani tu ani później na koloniach nie mogli w żaden sposób zrozumieć, cośmy za jedni i w jakim pozostawaliśmy stosunku do czapkujących przed nami brazylijskich urzędników. Humory i fantazja poprawiły się, nadeszła bowiem depesza z Curitiby, aby całą partię wysłać dalej, i właśnie specjalny pociąg na dworcu ich oczekiwiał. Z górami, których się mieszkańcy mazowieckich nizin z początku okrutnie boją, oswoili się już w przejazdach koleją do Pinheiro i Sao Paulo, a otucha w nich wstępuje na wiadomość, iż w Curitibie zastaną kościół i księdza Polaka.

Z pewnym zadowoleniem uważamy, iż w tej właśnie partii nie ma łotrzyków, szukających pereł i diamentów w obiecany kraj, lecz wyłącznie bezrolni włościanie, których upragnionym marzeniem jest otrzymanie własnego gruntu. Ci też zawodu nie doznają, sarkają tylko nazbyt długie czekanie bezczynne po barakach emigranckich. Stan zdrowotny w ogóle dobry — tylko jedno dziecko ze złamaną nóżką, najniedorzeczniej przez rodziców leczone, ma febrę. Policjanci odprowadzają zalewającą się łzami matkę chorego dziecka z powrotem do baraku, choć im się przemocą wyrywa. Z trudnością wielką udaje nam się jej wytłumaczyć, że za kilka dni dogoni swoich i że tylko ze względu na dziecko, które by w przepelnionym chorymi szpitalu Curitiby opieki mieć nie mogło, tutaj pozostaje. Szlochając, zgadza się babina z koniecznością, mąż ukradkiem łzy ociera, szturchając ją z lekka w bok: „Cichaj, Magda!”, choć z oczu obojga widać, że uważają się za nieodwołalnie skazanych na śmierć i wieczne rozłączenie z towarzyszami niedoli. Tamci odjeżdżają już do upragnionych gruntów, a oni tu pozostać muszą, kto wie na jak długo... Uspakajamy ich nadzieją, że nazajutrz nowa partia Polaków z Pinheiro przybędzie, gdzie odnajdą znajomych ludzi, i ostrzegamy, aby się od zamiaru nierozdzielania z towarzyszami nie dali żadnymi obietnicami odwieść. Jak tam będzie, nie wiadomo, a w kupie człek zawsze bezpieczniejszy.

Pociąg emigrancki odjeżdża, Maćki czapkami machają — do widzenia w Curitibie!

O jedenastej rano i zwykły pociąg pasażerski do Curitiby jest gotów do drogi.

Lecimy zrazu wśród zupełnie płaskiej, napływowej równiny; bagna naokół, bambusem, mimozą i palmami porosłe; gdzieniegdzie nędzna lepianka brazylijskiego osadnika, sklecona z pni palmity (*Euterpe*) pionowo ustawionych, a wyglądająca raczej na psią budę niż mieszkanie ludzkie. Gdzie indziej świeci wśród bujnej zieleni czerwony dach włoskiego kolonisty, okolony uprawnymi łanami trzciny cukrowej, bananów, kawy, manioku, ryżu, tytoniu, kukurydzy i warzyw. Są to szczątki nieudanej próby kolonizacyjnej, przed kilku laty przez Companhia Metropolitana de Paraná rozpoczętej, która, pochłonawszy przeszło 6 milionów milreisów, zrobiła kompletne *fiasco*¹³⁶.

Mijamy pomorskie miasteczka Antonina i Morretes i naraz pociąg, ciężko sapiąc, zaczyna się szybko wspinać po prostopadłej ścianie do góry, wijąc zygzakiem ponad przepaściami, zakreślając na szalenie pomysłanych wiaduktach i mostach śmiałe łuki i ósemki, ginąc co chwila w tunelach. Prześliczny krajobraz pomorza i zatoki, u stóp naszych się rozścielającej, co chwila ukazuje się oczom naszym i znika zaraz na gwałtownym skręcie lub u wejścia do tunelu, aby znów niezadługo ukazać się na krótką chwilę.

Roślinność bujna, podzwrotnikowa, pokrywa skały granitowe do szczytów: olbrzymie pnie *canela*¹³⁷, *imbuja*¹³⁸, fikusów, bombaksów, algarrobów, omszone długimi kosmykami „brody Absalona” (*Tillandsia usnoides*¹³⁹), spowite od stóp do szczytów delikatnym,

¹³⁵*dekonfitura* (daw., z fr.) — porażka. [przypis edytorski]

¹³⁶*fiasco* (wl.) — fiasco, niepowodzenie, nieudanie się czegoś. [przypis edytorski]

¹³⁷*canela* (port.: cynamon) — tu zapewne: używana w Brazylii nazwa drzewa *Canella winterana*, którego kora jest używana jako przyprawa podobna do cynamonu. [przypis edytorski]

¹³⁸*imbuja* — *Ocotea porosa*, drzewo o twardym drewnie rosnące w płd. Brazylii. [przypis edytorski]

¹³⁹*Tillandsia usnoides* — popr.: *Tillandsia usneoides*, oplątwa brodaczkowa, gatunek rośliny z Ameryki Południowej, Środkowej i płd. części Ameryki Północnej, rosnącej na dużych drzewach: zwisającej z konarów drzew w postaci długich girland cienkich, rozgałęziających się pędów okrytych srebrzystymi włoskami. [przypis edytorski]

blado zielonym płaszczem pnącego się bambusu (*Chuskea*¹⁴⁰), usiane kępami *tillandsji* o czerwonym kwieciu i girlandami lian przybrane; na wilgotniejszych miejscach wznoszą się wysokie pnie palmy królewskiej (*Oreodoxa*), wśród gęstwiny leśnej — cienkie i wysmukłe pnie palmity¹⁴¹. Fantastyczne skały granitowe, gęsto lasem odwiecznym porośnięte, szumiące kaskady na dnie parowów, lekka mgła na szczytach górskich.

Wśród uroczego tego krajobrazu pociąg wznosi się coraz wyżej, na przestrzeni 26 kilometrów dosięgając wysokości 680 metrów nad poziomem morza, i znika w wąwozie przecinającym wysoki na 1200 metrów grzbiet Serra do Mar.

Minąwszy to pasmo, spostrzegamy naraz całkowicie odmienny krajobraz: las staje się coraz rzadszym, ukazują się wielkie płaty łąk torfowych ze sterczącymi gdzieniegdzie wśród kęp wysokiej, ostrej trawy (*herva cortadera*¹⁴²) palmami, a gaje okoliczne tworzy niemal wyłącznie sosna brazylijska (*Araucaria brasiliensis*)¹⁴³ i paprocie drzewiaste. Zamiast wijącej się trzciny pojawia się coraz obficie zwykły bambus brazylijski (*tacuara*).

Pociąg leci wśród płasko-falistej okolicy, około 900 metrów nad poziom morza wzniesionej, przypominającej bardzo krajobrazy nasze: sosnowe lasy, rozległe łąki torfowe, gdzieniegdzie pole świeżo zaorane lub zielona ruń młodego żyta, stada bydła pasące się w oddali, białe, drewniane domki kolonistów ze słomianą strzechą, okolone płotem z kolczastego drutu, na sposób argentyński, lub z żerdzi sosnowych — zdradzają że jesteśmy na swojskim gruncie. Osadnikami są istotnie Szlązacy i pruscy Mazurzy, najdawniejsi w tych stronach koloniści.

W cztery i pół godziny po wyjeździe z Paranagua jesteśmy w stolicy stanu — Curitiba, położonej w kotlinie na wysokości około 1000 metrów nad poziomem morza.

Miasto, szeroko rozrzucone, wydaje się znacznie większe, aniżeli jest w istocie, liczy bowiem tylko 15 000 mieszkańców. Posiada wspaniały ratusz, gubernatora, trochę lichego bruku, sejm prowincjonalny, dość ładny kościół, oświetlenie elektryczne, cztery dzienniki i całą siłę zbrojną stanu Paraná, liczącą około 600 ludzi różnej broni, przeważnie Murzynów, rekrutowanych spomiędzy włóczęgów i złodziei najgorszego gatunku; toż samo da się powiedzieć o policji — jedynymi rabusiami, przed którymi w Brazylii całej częstokroć z rewolwerem w ręku bronić się przychodzi, są żołnierze policyjni. W Curitiba pewnego razu obrali oni z gotówki na ulicy własnego policmajstra...

Żołnierz

Garstka ta obszarpańców, szumnie zwana „trzema korpusami naszego walecznego wojska” (*treis corpos do nosso bravo exercito*) odznacza się stosunkami wielce patriarchalnymi i zaiste budującą dyscypliną, której wzorki miałem sposobność oglądać kilkakrotnie. Oto przykład: przed koszarami stolicy w południe przechadza się dwóch Murzynów na warcie, z ciężkimi szabliskami brzęczącymi po bruku, w uniformach angielskiego kroju i żółtych pantoflach. Na krześle usiadł służbowy porucznik z cygarem w ustach. Naraz jeden z wartowników zbliża się do oficera i klepiąc go poufale po ramieniu, prosi o ogień do cygara, drugi tymczasem, chodzący za węglem, odstawia karabin przy ścianie i leci do szynku naprzeciwko na kieliszek „kaszasu”. A cóż dopiero artyleria! Armaty nowiutkie, jak z igły, bez zaprzęgu, ciągnięte przez ludzi; dla oszczędności strzela się z nich tylko we święta ślepymi nabojami na wiwat... Wobec równie pokojowego wyposażenia „*nosso bravo exercito brasileiro*”, podczas licznych rewolucji, o jakich telegramy do Europy donoszą, używa jako broni wyłącznie języka, a broń to snadź skuteczna, skoro bez wystrzału usunęli Dom Pedra i z równą łatwością wyprawili niedługo potem twórcę republiki, marszałka Deodoro da Fonseca¹⁴⁴. Nie dziwię się teraz, dlaczego Lopezwowscy¹⁴⁵ Paragwajczycy, zbrojni w liche strzelby, lance, łuki i noże, lecz dzielni i odważni, przez

¹⁴⁰*Chuskea* — popr.: *Chusquea*, rodzaj bambusów górskich rosnących w Ameryce Łacińskiej; ich najbardziej znanym przedstawicielem jest odporna na zimno *chuskea bukanowa* (*Chusquea culeou*). [przypis edytorski]

¹⁴¹*palmita* — potoczne określenie brazylijskich palm z rodzaju *Euterpe* o jadalnym rdzeniu młodego pnia (tzw. serce palmy, *palmito*), np. *euterpa jadalna* (*Euterpe edulis*) i warzywna (*Euterpe oleracea*). [przypis edytorski]

¹⁴²*herva cortadera* — *Cortaderia selloana*, trawa pampasowa, kortaderia, obecnie uprawiana w Polsce jako roślina ozdobna. [przypis edytorski]

¹⁴³*sosna brazylijska* (*Araucaria brasiliensis*) — w ob. klasyfikacji: *Araucaria angustifolia*, araukaria brazylijska, drzewo iglaste z rodziny araukariowatych (sosna należy do odrębnej rodziny sosnowatych). [przypis edytorski]

¹⁴⁴*Fonseca, Deodoro da* (1827–1892) — przywódca zamachu stanu, w wyniku którego obalono cesarza Brazylii Piotra II; pierwszy prezydent (1889–1891) nowo powstałej Republiki Brazylijskiej; zmuszony do podania się do dymisji w obliczu buntu dowódców marynarki z powodu rozwiązania przez niego parlamentu. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*López, Francisco Solano* (1827–1870) — wojskowy i polityk paragwajski, syn prezydenta Carlosa Antonio López, wiceprezydent i dowódca armii, po śmierci ojca wybrany na prezydenta (1862); powodowany

7 lat skórę „o *bravo exercito*” trzepali, zanim pod ciężarem dziesięciokrotnie ich siły przewyższającej koalicji poległ na polu chwały. Zdaje mi się, iż łatwiej jest wojować z nimi, aniżeli taką hołotę utrzymać w karchach wojskowej karności.

Przed kilkunastu laty Curitiba była małą osadą, utrzymującą się z handlu *herwa mate*¹⁴⁶. Wzrost swój obecny zawdzięcza pomysłnemu rozwojowi kolonii włoskich i polskich, które się w promieniu sześciomilowym wokoło miasta rozsiadły. Pierwszych osadników narodowości polskiej sprowadził w te strony geometra p. Edmund Zaporski, Szlązak rodem, namówiwszy kilkanaście rodzin Kaszubów i Poznańczyków, osiedlonych w bardzo niedogodnych dla siebie warunkach w niemieckiej kolonii Brusque w stanie Sta Catharina, do przesiedlenia się w zdrowe i odpowiedniejsze dla Polaków pod względem rolniczym okolice sąsiedniego stanu. Pomimo oporu władz niemieckich i brazylijskich udało mu się zamiar przeprowadzić: włościanie, pozostawiwszy żony i dzieci na przeprawie przez Rio Negro, sami pomimo kul za nim i puszcanych wpływ uciekli, rozumując iż „baba je zawsze rozumniejsza i da sobie rady”. Babcie dały tego dowód i niezadługo dogoniły ich istotnie, a magistrat Curitiba wydzielił każdej rodzinie po 5 morgów¹⁴⁷ lasu w pobliżu miasta. Dzisiaj liczba kolonistów polskich, pochodzących wyłącznie z Prus, Szlązka i Galicji, wzrosła stopniowo do 12 000, kolonie pojedyncze liczą 12–15 hektarów, a ceny sprzedażne ziemi urosły w trójnasób.

W dzień targowy Curitiba przedstawia widok swojski: mnóstwo wózków polskich, tzw. u nas wasągów¹⁴⁸, konie w krakowskich chomątach, baby w strojach ludowych mazurskich i poznańskich, na targu roi się od granatowych kapot, czerwonych chustek i białych czepców; na ulicach słychać wszędzie mowę polską z akcentem niemieckim — koloniści bowiem tutejsi pochodzą w przeważnej części z Prus Wschodnich i Kaszubów, w mniejszej z Galicji, zwłaszcza z okolic Tarnowa, Jasła i Gorlic. Mają sześciu księży polskich, tyleż zamożnych kościołów, szkółki, bractwa religijne, a w Curitiba Towarzystwo Polskie imienia Kościuszki pod przewodnictwem księdza Andrzeja Dziatkowca i „Gazetę polską w Brazylii”, wydawaną tygodniowo przez p. Karola Szulca, utrzymującego zarazem sklep galanteryjny. Zaprawieni w ciężkiej szkole niemieckiej, wytrwali, pracowici i cierpliwi, koloniści trzymają się twardo, wykupują powoli ziemię od sąsiadów innych narodowości, rugując systematycznie spomiędzy siebie Brazylijanów, Włochów i Niemców, przenoszących się dalej w głąb lasów, na nowe poręby.

Do kompletu obrazu brakuje tylko Żydów, których tutaj nie ma zupełnie, a nieliczni „Słowianie mojżeszowego wyznania”, którzy tutaj szczęścia próbowali, dali wkrótce za wygraną. Element kupiecki reprezentują Włosi lub Szlązacy i przeróżni „Wasserpolaki”¹⁴⁹.

Trzecią część ludności Curitiba stanowią Niemcy — kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy, zorganizowani silnie w kilka stowarzyszeń i odgrywający już dzisiaj poważną rolę w politycznym życiu kraju, wysyłając pięciu deputowanych do sejmu prowincjonalnego. Zdobycie krzesła poselskiego dla cudzoziemców jest w Brazylii rzeczą arcytrudną wobec niechęci rządu i solidarnej postawy wyborców brazylijskich, głoszących ślepo za rozkazem przywódców partii rządowej, zwłaszcza iż przyzwyczajono się uważać mandat poselski za korzystną synekurę¹⁵⁰, diety bowiem są bardzo wysokie, a czynność wielce problematyczna. Tak np. w stanie Sta Catharina diety poselskie wynoszą 15 milr., w Parana 20, w Minas Geraes i Sao Paulo 40, w Rio Janeiro 75 milr. dziennie, a dotychczas tylko w sejmie Parana, dzięki inicjatywie posłów cudzoziemskich, przeszło zastrzeżenie, iż diety wypłacane być mają jedynie za dni, w których poseł znajdował się na posiedzeniu. Ponieważ zaś kadencja sejmowa trwa około dwóch miesięcy, zrozumiemy łatwo, jak

mocarstwowymi ambicjami wciągnął Paragwaj w krwawą wojnę z Argentyną, Brazylią i Urugwajem (wojna paragwajska 1864–1870), która doprowadziła kraj do upadku i okupacji. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*herwa mate*, popr.: *erva mate* (port.) a. *yerba mate* (hiszp.) — susz ze zmielonych liści i gałązek ostrokrzewu paragwajskiego, z którego przyrządza się napar popularny w krajach Ameryki Płd. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*mórg* a. *morga* — dawna jednostka miary gruntu; różna w zależności od obszaru: na ziemiach polskich w XIX w. było to ok. 0,5 ha. [przypis edytorski]

¹⁴⁸*wasąg* — prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*Wasserpolak* (z niem.: wodny a. rozwodniony Polak) — niemiecki termin stosowany przez Prusaków na określenie ludności mówiącej dialektem śląskim, zamieszkującej Górną i Dolną Śląsk; od XIX w. pejoratywny, używany także na określenie polskojęzycznych mieszkańców Warmii, Mazur i Kaszub. [przypis edytorski]

¹⁵⁰*synekura* (z łac. *sine cura*: bez troski, bez starania) — dobrze płatne stanowisko niewymagające żadnej pracy. [przypis edytorski]

gorąca bywa walka wyborcza. Przy liczebnej swej przewadze, rozporządzając już dzisiaj 2/3 głosów wyborczych, koloniści polscy mogliby zagarnąć rządy w swoje ręce — trzymają się jednak od polityki zupełnie na uboczu, głosując za wskazówkami swoich proboszczów. Przewodzące stanowisko swoje w mieście zawdzięczają Niemcy poparciu włościan polskich, skąd fakt oryginalny, iż najgorliwsi obrońcami interesów polskiej ludności w Paranie są przede wszystkim Niemcy deputowani, kupcy i dziennikarze.

Poczynając od ostatnich domów przedmiejskich, w którymkolwiek kierunku od Curitiby wyruszymy, napotkamy wszędzie rozrzucone bezładnie wśród wzgórz i dolin, łąk, gajów sosnowych i pól uprawnych — schludne domki kolonistów polskich, będących jedynymi dostawcami artykułów spożywczych na potrzeby miasta. Nieliczni koloniści włoscy sadzą wyłącznie wino, Niemcy zaś trudnią się bez wyjątku wszyscy furmaństwem; Brazylijanie, znikający coraz bardziej, nic zupełnie nie robią.

Przyrost ludności pod Curitibą wynosi podług ksiąg kościelnych parafii polskiej Thomas Coelho około 5% rocznie, śmiertelność wśród kolonistów bardzo mała, nie przewyższa rocznej cyfry 10 na tysiąc.

Dawni osadnicy w okolicy Curitiby mieli minimalną wartość urzędową otrzymanej od magistratu ziemi spłacać ratami, czego wszakże nie uczynił nikt prawie, w nadziei uwłaszczenia w przyszłości, a suma pierwotnej wartości obciąża jako pożyczka bezprocentowa hipotekę osady, której wartość istotna przez wzrost miasta i pracę wyłożoną zwiększyła się niezmiernie. Przeciętne obdłużenie kolonii kilkunastumorgowej w okolicy Curitiby wynosi 250 milreisów, podczas gdy wartość sprzedażna jednego *alquiera* (2,5 hektara) ziemi ornej dochodzi do 400 milreisów.

Ze składek powstało stopniowo sześć kościołów, obszernych i obficie w przybory mszalne zaopatrzonych, plebanie porządnie zabudowane i szkółki. W czasie odpustu w której z kolonii bliższych Curitiby można myśleć, że się jest w jakiej podkarpackiej parafii: sukmany i wysokie buty, wózki góralskie i bryczki, zaprzężone w dobre konie w krakowskich chomątach, śpiew polski, nawet obrazy i chorągwie kościelne sprowadzone z kraju, architektura kościoła i plebanii, stawianych przez domorośli budowniczych, wreszcie krajobraz okolicy, wielce do naszego podobny, sprawiają złudzenie zupełne.

Nazwy polskich kolonii w pobliżu miasta są: Abranchez (kościół), St. Candida (kościół), Gabriella, Lamenha, Pilarzinho, Thomas Coelho (2 kościoły), Orleans (kościół), Mauricio. Parafią Orleans zarządza od lat 20 ksiądz Ludwik Przetarski, w Thomas Coelho, liczącej 8 000 dusz, są dwie parafie rządzone przez ks. Soję i ks. Andrzejewskiego (obaj z Galicji), na kolonii Abranchez i Candida mieszka ks. Działkowiec. Szósty ksiądz, J. Peters, wyjechał do dalszej kolonii Rio Negro. Siódmym jest ks. Smołucha w St. Matheo.

Stan obecny kolonistów osiedlonych w okolicy Curitiby nie jest miarodajny dla stosunków emigracji najnowszej z Królestwa, odbywającej się w całkowicie odmiennych warunkach: kolonizację prowadzi teraz rząd, a pomimo bardzo rozumnego i uczciwego *w teorii* systemu i 100 milionów milreisów wydawanych na cel ten corocznie wołające o pomstę do nieba złodziejstwo i nadużycia brazylijskich urzędników paraliżują *w praktyce* całe przedsięwzięcie.

Ruch emigracyjny z Królestwa posiadał cechy epidemiczne i jako chorobliwy nie same zdrowe elementa porwał za sobą. Wielu, niestety, było takich, których tylko gorączka złota, podsycana kłamliwymi bajkami agentów, z domu wyciągnęła; wielu ludzi bez żadnego fachu, bez określonego zajęcia: stróżów, gajowych, lokai itp.; blisko połowa wyrobników i robotników fabrycznych. Ciężkie było ich rozczarowanie, gdy zamiast obiecanych przez agencję Bendaszewskiego i Santosa diamentów i pereł kazano im wybierać pomiędzy karczunkiem dziewiczego lasu lub pracą w plantacjach kawowych pod batem przyzwyczajonych do obchodzenia się z Murzynami dozorców. Blisko 1/6 część wychodźców wymarła w drodze w barakach emigranckich w przeciągu pierwszego półrocza — nie pierwsze to i nie ostatnie z pewnością ofiary molocho¹⁵¹ zwałęgo się walką o chleb powszedni.

¹⁵¹*Moloch* (mit. semicka) — bóg Fenicjan i Kananejczyków, któremu wg Biblii miano składać ofiary z dzieci; przeln.: coś bezlitosnego, złego, pochłaniającego niewinne ofiary. [przypis edytorski]

Curitiba w języku guarani¹⁵² oznacza „wiele szyszek” — leżała też niegdyś wśród lasów araukariowych, dzisiaj w znacznej części wytrzebionych, a z torfowiska, na którym niedawno temu tonęły konie i woły, a dzisiaj stacja kolei się wznosi, wypływa rzeka Y-guassu¹⁵³ (wielka woda), jeden z ważniejszych dopływów Parany, stanowiąca w dolnej części swego biegu granicę Brazylii i Argentyny (*Misiones*)¹⁵⁴.

Grunt Curitiby bardzo żyzny: glebę tworzy czerwona ciężka glina, ze zwietrzałego granitu powstała (*terra roxa*). Kolonie, na porębach leśnych założone, posiadają warstwę czarnoziemiu na metr grubą, na stepowych natomiast kawałkach humusu braknie, gleba wymaga starannej uprawy i nawozu, aby dać rezultaty dodatnie. Udaje się dobrze żyto, kartofle, jęczmień i kukurydza, groch, fasola, kapusta; próby siania pszenicy dotychczas nie dały pożądaných rezultatów. Urodzaj przeciętny kukurydzy wynosi 25–40 ziaren, w wyjątkowych latach przewyższa 100; żyto jare krzewi się na świeżych porębach tak silnie, jak ozima pszenica w Sandomierskiem, a wydajność przewyższa znacznie urodzaje podolskie. Wielu kolonistów straciło pierwszy plon wskutek zbyt gęstego siewu — ziarno rozkrzewiło się bujnie, lecz nie wydało kłosu¹⁵⁵.

Wybornie udają się również: wino, pomarańcze i inne owoce południowe, a zwłaszcza brzoskwinie, które tutaj zdziczały i rozkrzewiły się tak dalece, iż Brazylicanie owocami ich wieprze tuczają. Gałąź ta gospodarstwa, nader korzystna, prawie wcale nie jest dotąd wyzyskana.

Największym przemysłem Curitiby jest przygotowanie na eksport herbaty paragwajskiej (*Ilex paraguayensis*¹⁵⁶), w wielkiej obfitości rosnącej dziko w lasach prowincji.

Gdziekolwiek drzewo to rośnie w większej ilości, Brazylicanie zakładają *herval*, tj. wycinają inne gatunki drzew, pozwalając krzewić się swobodnie pożytecznej roślinie, z której ciągną zyski.

Drzewo niewielkie, o białej korze, posiada liście lancetowate, żółtawozielonej barwy, tworzące bujną koronę u szczytu gładkiego pnia.

Zbiór najlepszy ma miejsce od lutego do sierpnia; najgorszy gatunek daje zbiór wiosenny z października i listopada. Do zbierania liści używają się wyłącznie tzw. *cabocos*, czyli Metysi półkrewi indyjskiej¹⁵⁷. Robotnik, uzbrojony w wielki, krzywy kordelas (*falcon*) włazi na drzewo, obcinając wszystkie mniejsze gałęzie; inni zbierają je w pęki i ciągną do suszarni (*sapecaje*). Długi, niski mur kamienny odgranicza robotników od szeregu roznieconych ognisk. Półnaczy robotnicy spoza muru przeciągają ponad płomieniem gałęzie *mate*. Wymaga to wielkiej zręczności, aby liści nie spalić, lecz ususzyć tylko, nadając im odcień żółtawy. Jedno umiejętnie pociągnięcie ręki w tym celu wystarcza, a zręczny robotnik w ten sposób wysuszyć jest w stanie 300 kilogramów towaru dziennie.

Podsuszony w *sapecaje* gałęzie znoszą się potem do otwartej szopy służącej za wędzarnię, gdzie pękami zawieszają się takowe na żerdziach pałapu. Na podłodze pali się ognisko ze smolistych aromatycznych krzewów i drzewa cynamonowego (*canela*): proces ten nazywa się *carrijae*.

Gałęzie małe podkrzesują się co lat 5, we trzy dni po ucięciu przechodzą przez *sapecaje*, a we dwa dni potem wieszają się na 24 godzin w wędzarni *carrijae*, dbając o to, aby drzewo użyte do wędzenia nie psuło aromatu liści *mate*.

Po skończonej operacji wędzenia pęki gałęzi układają się na ubitym twardo toku i ubijają cepami, wreszcie pakują do koszów z bambusu, przykrywają liśćmi paproci lub też zaszywają w worki z surowej skóry, włosem na zewnątrz. W tej postaci *mate*, opakowane w juki po 50 kilogramów wagi, jest gotowe do dalszej ekspedycji. Przewożą je bądź na mulach po 100 kilogramów na zwierzę, bądź wozami frachtowymi, zaprzężonymi w kilkanaście koni lub wołów.

Codziennie liczne bryki krakowskie, powożone przez Niemców rosyjskich znad Wołgi, i karawany mulów jucznych przywożą transporty *mate* do młynów w Curitibie i oko-

¹⁵²*guarani* — język Indian z grupy ludów Guarani, zamieszkujących pld. Brazylię, pln.-wsch. Argentynę, Paragwaj i wsch. Boliwii. [przypis edytorski]

¹⁵³*Y-guassu* — dziś popr.: Iguacu, rzeka w pld. Brazylii, lewy dopływ Parany. [przypis edytorski]

¹⁵⁴granicę Brazylii i Argentyny (*Misiones*) — dziś popr.: *Misiones*, prowincja Argentyny, położona w pln.-wsch. części kraju, granicząca z Paragwajem i Brazylią. [przypis edytorski]

¹⁵⁵kłosu — dziś popr. forma D. lp: kłosa. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*Ilex paraguayensis* — popr.: *Ilex paraguariensis*, ostrokrzew paragwajski. [przypis edytorski]

¹⁵⁷indyjski — tu daw.: indiański. [przypis edytorski]

licy. Tutaj sortują surowy materiał podług barwy na trzy gatunki i każdy z nich oddzielnie przechodzi ponownie przez suszarnię, potem zaś pod szereg pionowych tłoków z bardzo twardego drzewa lub stali, mielących je na delikatną mączkę koloru tabaki i zapachu świeżego siana. Mączka przesiewa się przez przetak, przy czym oddzielają się kawałki drobnych gałązek, zbierane osobno. Do mączki pierwszego gatunku dosypuje się tych gałązek trochę tylko, i to najdrobniejszych, do trzeciego — co najgrubsze okruchy w wielkiej ilości.

Herva (po hiszpańsku *yerba mate*) pakuje się teraz w beczki lub zaszywa w skórzane juki i wysyła do Montevideo lub Buenos Aires. *Yerba* z Curitiby przez amatorów tego specjału, o którym pomówimy jeszcze obszerniej w Argentynie, jest wielce ceniona. Wyrób beczek do yerby po półtora milreisa od sztuki jest specjalnością polskich kolonistów z okolicy. Cała beczka mieści w sobie 8 *arrobas* (120 kilogramów), pół beczki — 4 arroy; 1/4 beczki — 3 arroy¹⁵⁸.

Cena produktu surowego na targu w Curitibie wynosi 2 milreisy za arrobę (15 kilo); po przejściu przez *engenbo*, czyli młyn, najlepszy gatunek sprzedają po 5 milreisów za arrobę.

Parana eksportuje *herwy* najwięcej, bo około 25 000 000 kilogramów rocznie wartości 7–8 000 000 franków. Użytek jej wewnątrz kraju bardzo mały, zmniejsza się z dniem każdym, ustępując krajowej herbacie z Sao Paulo i kawie: jedynym odbiorcą są kraje La Platy¹⁵⁹.

ROZDZIAŁ VI

Emigranci. Niemcy w Curitibie. Zajście w klubie i serenada. Brazylianie i tzw. „polityka”. Liga Ordem e Progresso. P. Carvalho. Odjazd do Palmeiras. Dylizans brazylijski. Campo Largo. Step brazylijski. San Luis. Palmeiras.

W trzech przytułkach emigranckich Curitiby mieści się w chwili bytności naszej około 2000 wychodźców, prawie wyłącznie Polaków, razem z garstką Włochów, Irlandczyków i Niemców. Ciasnota pomieszczeń przechodzi wszelkie granice, zwłaszcza w „hotelu” nr 3, przeniesionym tutaj z kolonii Thomas Coelho po zalaniu znajdującego się tamże baraku przez powódź. Mamy nerwy już dość zahartowane widokiem ludzkiej biedy, ale czegoś podobnego dotychczas widzieć się nam nie zdarzyło. W zaledwie zbudowanym, niewykończonym budynku, bez drzwi i okien, mogącym pomieścić co najwyżej 250 osób, wtłoczono ich blisko tysiąc, podzieliwszy wewnątrz rusztowaniem drewnianym na dwa piętra, gdzie każdej rodzinie wyznaczono cuchnący barłóg, kilka metrów kwadratowych powierzchni mający. Natłoczone to wszystko gorzej aniżeli pod pokładem emigranckiego statku, choć w podobny mniej więcej sposób. W zaduchu i ścisku wybuchł tyfus plamisty¹⁶⁰, a umarli, umierający i zdrowi leżą na tym samym barłogu, bez żadnej pomocy znikąd — jedyny bowiem lekarz, Niemiec Meyer, mający powierzony sobie dozór szpitala miejskiego i emigranckich baraków, nie jest w stanie spełniać sumiennie swoich obowiązków, w administracji lekarstw zabrakło, a przeznaczone dla chorych na rosół kury i wino spożywa smacznie z pomocnikami swymi Mulat dozorca Gabriel — szubienicznik, który pomimo ciągłych zażaleń na krzyżące bezprawia przezeń popełniane został usunięty z zajmowanej posady zaledwie w rok po mojej bytności, gdy chwilowo zarząd imigracji dostał się w ręce p. Zaporskiego. Z zapowietrzonego „hotelu” Gabriela codziennie kilka trumien wnoszono... Sprawiedliwość każe przyznać, iż w dwóch innych przytułkach zrobiono co było można, aby złemu zaradzić i wynajęto wreszcie dom prywatny dla pomieszczenia chorych, których procent był znaczny. Grasują najbardziej tyfus

Emigrant, Choroba

¹⁵⁸ 3 *arroy* — tak w źródle, mimo że rachunkowo 1/4 beczki powinna mieścić 2 arroy. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ *La Plata* — wielkie wspólne lejkowate ujście końcowych odcinków rzek Parany i Urugwaj do Oceanu Atlantyckiego, leżące na granicy Argentyny i Urugwaju. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ *tyfus plamisty* a. *dur plamisty* — niebezpieczna choroba zakaźna wywoływana przez bakterie przenoszone przez wszy i pchły, przyczyna ciężkich epidemii. [przypis edytorski]

brzusznym¹⁶¹, dyzenterią¹⁶², szkorbut¹⁶³ i influencją¹⁶⁴, a to bynajmniej nie z winy klimatu, który jest zdrowy, jak dowodzi nadzwyczaj mała śmiertelność i szybki przyrost ludności polskiej w okolicy miasta.

Parę razy na tydzień odjeżdżają wozami partie w głąb lasów, do kolonii w Rio Negro, S. Barbara i S. Matheo, luki jednak pozostałe zapełniają natychmiast nowi przybysze z Pinheiro, gdzie jeszcze około 2000 wychodźców polskich na wysłanie do Curitiby oczekiwało. Dopiero w końcu września ruch ten ustał, gdy ostatnią partię stamtąd wysłano.

Owe Pinheiro, o którym opowiadają wszyscy wychodźcy, jest pierwszą ich stacją na lądzie stałym, położoną w odległości paru godzin koleją od Rio Janeiro w dawnej rezydencji cesarskiej, przerobionej na obszerne i wzorowo urządzone baraki, dokąd emigrantów z północnych krajów, przeznaczonych na kolonie, wprost ze statków przewożą. Włosi natomiast i Hiszpanie, mniej na upały wrażliwi, wylądowują na smutnej pamięci Wyspie Kwiatowej (*Ilha das Flores*)¹⁶⁵, gdzie dawne więzienie przywożonych na targ do Rio niewolników przebudowano na „hotel emigrancki” pierwszorzędny i, jako będący na oku władz wyższych i konsulatów, równie jak Pinheiro wzorowo urządzone. Wielu emigrantów oczekiwało w Pinheiro od 6–8 miesięcy bezczynnie, utrzymywani kosztem rządowym, a w razie choroby leczenia bezpłatnie w szpitalu „Misericordia” w Rio Janeiro.

Długi ten pobyt w hotelach emigranckich, dobry wikt, próżniactwo i wspólne pomieszczenie obu płci pod jednym dachem jest najujemniejszą stroną całej gospodarki kolonizacyjnej, demoralizując, rozpróżniaczając i rozpajając emigranta, który też zwykle w okresie tym pozbywa się całej gotówki, jaką z kraju przywiózł, i pozostaje odtąd na zupełnej łasce administracji, w miarę oddalenia się od stolicy coraz więcej popełniającej nadużyć, pewną będąc zupełnej bezkarności.

Polaków w samym mieście osiadłych jest tutaj mała tylko garstka; gdzieniegdzie widnieją szyldy polskie: „Bazar hamburski”, „Karczma polska”, „Skład kielbas” itp. Towarzystwo imienia Kościuszki mieści się w jednym pokoiku obok sklepu wiktuałów p. Fliżkowskiego.

Lokal, przybrany w chorągiewki narodowe, kilka oleodruków i sztychów ze znanych obrazów naszych, mieści biblioteczkę nadzwyczaj ubogą — dar p. Zaporskiego — i jeszcze uboższą czytelnię, służąc za miejsce dwutygodniowych zebrań na pogawędkę przy kuflu piwa.

Prezesem był podówczas p. Karol Szulc, sekretarzem p. Ignacy Waberski, dyrektor małego browaru pod miastem. Usiłowaliśmy wpływem naszym i gorącym słowem wlać trochę życia w to anemiczne towarzystwo i udało nam się to o tyle, żeśmy zdołali pozyskać udział w takowym paru młodszych księży z okolicznych parafii, mogących mu nadać odmienny nieco i poważniejszy kierunek. Dzisiaj przewodniczącym towarzystwa jest ks. Andrzej Działkowiec z parafii Abranchez, a liczba członków zwiększyła się podobno znacznie.

Z inteligencji wymienić mogę jeszcze p. Aleksego Waberskiego z Poznania, majstra rzeźniczego, p. Adama Stachowskiego z Kijowa, utrzymującego zajazd dla furmanów, p. Bodziaka, kupca, i kilku inteligentnych rzemieślników warszawskich.

Wspomniałem już, iż przodujące stanowisko w mieście zajmują Niemcy. Pomiędzy innymi odznaczają się dwaj ludzie, będący szczerymi przyjaciółmi i opiekunami naszego ludu. Są to pp. Antoni Schneider, redaktor pisma „Der Beobachter”, i Bertold Adam, de-

¹⁶¹tyfus brzusznym a. dur brzusznym — ostra choroba zakaźna wywołana bakteriami z grupy salmonelli. [przypis edytorski]

¹⁶²dyzenteria — czerwonka, ostra choroba zakaźna jelit, której objawem jest uporczywa, krwawa biegunka. [przypis edytorski]

¹⁶³szkorbut — choroba spowodowana długotrwałym niedoborem witaminy C w pożywieniu, objawiająca się m.in. samoczynnymi krwawieniami, zapaleniem dziąseł, wypadaniem zębów, powstawaniem nieogojących się ran, ogólnym osłabieniem. [przypis edytorski]

¹⁶⁴influenza (daw.) — grypa. [przypis edytorski]

¹⁶⁵Wyspa Kwiatów (port. *Ilha das Flores*) — mała wyspa przy wybrzeżu zatoki Guanabara, w pobliżu Rio de Janeiro, na której w 1883 cesarski rząd brazylijski zorganizował miejsce tymczasowego zakwaterowania dla imigrantów, gdzie byli oni rejestrowani, przydzielano im ziemię, odbywali kwarantannę i aklimatyzowali się do nowego środowiska; w latach 1894–1896 republikański rząd federalny przekazał odpowiedzialność za promowanie imigracji i przyjmowanie swoich imigrantów poszczególnym stanom, które jednak z trudem ponosiły koszty; w 1907 ponownie scentralizowano politykę imigracyjną i zrestrukturyzowano placówkę na Wyspie Kwiatów. [przypis edytorski]

putowany do sejmu prowincjonalnego, prezes międzynarodowej ligi Ordem e Progresso, Poznańczyk, z Polką ożeniony i dobrze władający językiem naszym.

Niemcy, jak zwykle skorzy do zakładania stowarzyszeń, mają ich tutaj bezliku, najważniejszymi są „Sängerbund” i „Thalia”, do których zostajemy wprowadzeni przez uprzedniego Schneidra, doznawszy nader serdecznego przyjęcia. Widać jednak, że są wszędzie Niemcy a Niemcy i że „jak świat światem”¹⁶⁶ etc., gdyż zaraz na wstępie jakiś tego urzędnicy jasnowłosy syn Germanii¹⁶⁷, antagonistą Schneidra i redaktor prusofilskiego, anemicznego zresztą, organu „Post”, zrobił nam burdę, po której, jakkolwiek go zaraz wyrzucono za drzwi, uważaliśmy za stosowne powrócić do hotelu.

Zaledwieśmy jednak zgasili światło, gdy pod balkonem naszym ozwały się surmy¹⁶⁸ i piszczałki: to zarząd „Thalii”, chcąc powetować wyrządzoną nam obrazę, wysłał swoją orkiestrę, aby nam zagrała na dobranoc serenadę. Nazajutrz cały wydział klubu zjawił się osobiście u nas, przepaszając za zachowanie się swego członka, którego doraźną uchwałą na zawsze z klubu wykreślono... Zapiliśmy sprawę kuflem wyborczego piwa monachijskiego i nadal pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, co tym łatwiej nam przyszło, iż Prusaków, do których wstępną czuję wrodzoną, nie ma tutaj prawie wcale, są natomiast „gemüthliche”¹⁶⁹ Bawarzy, Austriacy i Czesi.

Wbrew temu, co by z daleka sądzić było można, Brazylianie w Curitibie znajdują się w ogromnej mniejszości. Z wyjątkiem kilkudziesięciu kupców są to wyłącznie urzędnicy i wojskowi. Zabawnie miał wyglądać uroczysty pochód z powodu otwarcia pierwszego sejmiku prowincjonalnego w Curitibie, w którym Brazylianie wcale nie było, a republikę reprezentowało dziewczę w krakowskim stroju z brazylijską chorągwią, w asystencji konnej banderii Krakusów z kolonii Orleans i Abranchez, a wyborców — przeróżne stowarzyszenia niemieckie, francuskie, włoskie, a nawet szwedzkie i angielskie; tylko Brazylianie w tym uroczystym akcie świecili nieobecnością, wszyscy bowiem należą do sfer urzędowych, otaczających gubernatora.

Ustrój federacyjny nowej republiki pozostawia pojedynczym prowincjom *w zasadzie* zupełną autonomię, z której wszakże dotychczas Parana nie robi żadnego użytku, pozwalając się obdzierać bez kontroli przez gromadę przysłańców z Rio Janeiro urzędników, zgodnych zupełnie w chwilach wystąpienia przeciwko naturalizowanym cudzoziemcom, lecz walczących zawzięcie pomiędzy sobą o władzę i kokietujących z osobna z wyborcami. Za mojej bytności gubernatorem był niejaki Generoso, należący do stronnictwa liberalnego, czyli monarchicznego, a wspierał go pomiędzy innymi wpływem swoim najstarszy kapłan polski z parafii Orleans, ks. Ludwik Przetarski, Kaszuba z pochodzenia. W kilka miesięcy później partia republikańska, czyli konserwatywna przysłała do władzy. W samej rzeczy natomiast walka najpoważniejsza toczy się pomiędzy Brazylianie obu odcieni z jednej strony, a wzrastającą coraz bardziej w siłę i znaczenie ligą cudzoziemców Ordem e Progresso z drugiej, hasłem zaś tej ostatniej jest zagarnąć władzę całkowicie w swoje ręce i przestrzegać ściśle autonomii prowincjonalnej. Wielu Brazylianie z wnętrza kraju popiera również usiłowania cudzoziemskiej ligi. Polacy, nieposiadający pośród siebie prawie wcale inteligencji, popierają ligę głosami swymi, sami wszakże bardzo podrzędną w niej odgrywają rolę, pierwsze skrzypce odstępując Niemcom — stąd czułość dla nich tych ostatnich.

Przed odjazdem w głąb kraju złożyłem wizytę dyrektorowi kolonizacji, p. Carvalho. Człowiek to młody, gładki i cieszący się powszechną sympatią w mieście. Uprzedzony już przez swoich przełożonych w Rio Janeiro o bytności mojej, udzielił mi wszelkich żądanych informacji i zaopatrzył w urzędowe polecenie do podwładnych sobie szefów kolonii, upoważniające mnie do zajrzenia nawet do ksiąg i rachunków komisji kolonizacyjnej, gdybym sobie tego życzył.

¹⁶⁶*jak świat światem* — początek polskiego przysłowia: jak świat światem (tj. nigdy), nie będzie Niemiec Polakowi bratem. [przypis edytorski]

¹⁶⁷*Germania* — rzymska nazwa ziem na wschód od Renu i na północ od górnego i środkowego Dunaju, zamieszkiwanych przez Germanów; później: poetycka nazwa Niemiec. [przypis edytorski]

¹⁶⁸*surma* — instrument dęty o przenikliwym brzmieniu, używany w dawnym wojsku do sygnalizacji. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*gemüthliche*, popr.: *gemütliche* (niem.) — serdeczni, mili, przyjemni. [przypis edytorski]

27 sierpnia opuszczamy Curitiba, udając się o kilka dni drogi w głąb kraju celem zwiedzenia nowo powstających kolonii polskich nad rzeką Y-guassu, którymi zarządzał podówczas p. Edmund Zaporski.

Wehikuł, którym jechać mamy, zwany pompatycznie dylizansem, nie wzbudza zafania: niskie pudło na resorach, niemiłosiernie podrzucających do góry, przykryte na kształt karawanu ceratowym baldachimem na żelaznych słupkach. Pół pudła zajmują pakunki i poczta, druga połowa z trudnością może pomieścić nas trzech, Niemca aptekarza, jadącego do Sao Matheo, i milczącego Brazylijanina, zdaje się, sędziego śledczego czy prokuratora z Palmeiras. Sześć niemiłosiernie wychudzonych szkapiąt pocztowych, zaprzężonych we dwie trójki, i woźnica Niemiec owinięty w wielki błękitny szal włóczkowy, w żółtych pantoflach na bosych nogach, dopełniają obrazu.

Przechylając się raz na jedną, raz na drugą stronę i gubiąc co parę mil pakiety pocztowe, w nadziei zapewne, że je uczciwy znalazca do najbliższej stacji odwiezie, wyjeżdżamy po szosie na zachód, wśród pól uprawnych i winnic kolonistów. Okolica falista, bardzo wolno ku zachodowi się zniża. Flora mało urozmaicona: oprócz gajów araukariowych liczne *aroery* (*Erythrina* sp.) i draceny, trochę kaktusów i agawy, oraz kępy twardej, krającej *herva cortadera*.

Fauna okolic Curitiba również bardzo uboga. Ptastwo leśne od gwaru ludzkiego uciekło dalej, a oprócz amerykańskiego czubatego wróbla (*Zonotrichia pileata*)¹⁷⁰ i czarnych, wielkich jak indyki sępów *urubu* (*Cathartes atratus*)¹⁷¹, które setkami obsiadły jatki miejskie i czujnie wietrzą każdą padlinę, bardzo mało się spotyka braci skrzydlatej. Zaledwie z rzadka mignie w gąszczu bambusów rudobrzuchy drozd (*Turdus rufiventris*) lub dzięcioł czy pełzacz¹⁷² w suchą sosnę zapuka. W nocy i we dnie hałaśliwą muzykę wyprawiają piewiki¹⁷³ (*cicada*) i żaby, naśladujące do złudzenia głos płaczącego dziecka. Owadów również bardzo mało: zresztą nic dziwnego, bo tu jeszcze zima. Czasem pofrunie motyl barwisty, a w kurzu przydrożnym jak drogie kamienie świecą wspaniałe nosorożce (*Phanaeus*)¹⁷⁴.

Na obiad stajemy w miasteczku Campo Largo, położonym na bezleśnym kawałku stepu, 850 metrów nad poziomem morza. Miasto, złożone z wielkiego czworokątnego placu i dwóch ulic, liczy kilkuset mieszkańców i prowadzi handel *mate*. Ludność mieszana. Włoch jakiś utrzymuje tu wcale porządną oberżę dla przejezdnych, w której — tak jak u nas widoki z palmami i piramidami — wiszą na ścianie same zimowe krajobrazy dalekiej północy: nie brak nawet odwrotu Napoleona z Rosji i „trójki” napadniętej przez wilki. Kilka godzin czekać musimy tutaj na reperację złamanej osi dylizansu, przy czym wysłuchujemy przeróżnych uwag o sobie, jakie z rozmowy oberżysty i milczącego Brazylijanina nas dolatują. Ponieważ mówimy ze sobą po polsku, a z aptekarzem po niemiecku, z kombinacji tych dźwięków towarzyszy nasz doszedł do wniosku, iż jesteśmy Szwedami. Nie wyprowadzamy go w tej mierze z błędu.

Oś wreszcie naprawiona, jakiś poczciwy *caboco* przywiózł pogubioną prodrożę pocztę i ruszamy dalej. Milę jeszcze ciągną się kolonie włoskie, w znacznej części opuszczone, otoczone ogródkami pomarańcz i *ameizas*¹⁷⁵ (rodzaj żółtych śliwek z kilkoma pestkami wewnątrz). Co trzeci przynajmniej domek włoski jest karczmą lub sklepikiem.

Przebywamy po lichym mostku jakiś strumień na wysokości 780 metrów nad p.m. i przejechawszy *herval*, ze smutnie wyglądającymi, ogołoconymi całkowicie z gałęzi pniami *mate*, zaczynamy nagle piąć się pod górę, wchodząc w głęboki, leśny wąwóz, dobrze zasłonięty od wiatrów i porosły bujną podzwrotnikową roślinnością, wśród której arau-

¹⁷⁰amerykańskiego czubatego wróbla (*Zonotrichia pileata*) — w ob. klasyfikacji: *Zonotrichia capensis*, pasówka obrożna (białogardła), gatunek małego ptaka z rzędu wróblowatych, występującego w Ameryce Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

¹⁷¹sępów *urubu* (*Cathartes atratus*) — w ob. klasyfikacji: *Coragyps atratus*, sępik czarny (*urubu* czarny), ptak z rodziny kondorów o czarnym upierzeniu, występujący w Ameryce Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

¹⁷²pełzacz (biol.) — rodzina niewielkich, żerujących na drzewach ptaków z rzędu wróblowych. [przypis edytorski]

¹⁷³piewik — rodzaj owada z podrzędu pluskwiaków mający zdolność wydawania i odbierania dźwięków oraz wykonywania skoków; cykada. [przypis edytorski]

¹⁷⁴nosorożce (*Phanaeus*) — chrząszcze z rodziny poświętnikowatych, wyróżniające się metalicznym połyskiem ciała (gr. *phanaios*: przynoszący światło); niektóre gatunki z tego rodzaju mają wyrastający z głowy róg. [przypis edytorski]

¹⁷⁵*ameizas*, popr.: *ameixas* (port.) — śliwki. [przypis edytorski]

karie prawie znikły, natomiast najwięcej widać pni cedrowych (*Cedrela sp.*), dających drzewo podobne do mahoni, oraz paprocie drzewiaste i gąszcze bambusowe.

Zielone papuzki (*Conurus brasiliensis*¹⁷⁶) przelatują z wrzaskiem nad naszymi głowami; gdzieś w głębi parowu, spłoszone zapewne przez jakiegoś drapieżnika, stado wyjść podniosło naraz piekielną wrzawę. Po kwadransie hałasu wszystko ucichło. Tylko słychać monotony klekot blaszanych dzwonek naszych koni, z trudnością wlokących ciężki wehikuł pod stromą górę. Droga okrąży parów, powoli dosięgając jego szczytu. Wszędzie widnieje czerwony, zwietrzały zupełnie gnejs¹⁷⁷ z warstwami białej glinki porcelanowej.

W górze naraz zupełna zmiana dekoracji: na pogiętych falisto pokładach gnejsu leży pozioma warstwa płytowego piaskowca czerwonej lub białej barwy, tworzącego odtąd stale podglebie całej okolicy.

U szczytu parowu barometr wskazuje wysokość 1240 metrów nad poziomem morza. Odtąd wkraczamy w region stepu brazylijskiego, czyli *campu*, którego grunt jałowy nadaje się jedynie do hodowli bydła, a i tego zbyt wiele nie widać.

Przez rozpadlinę w skale widnieje u stóp naszych o 500 metrów niżej położona równina Campo Largo, wznosząca się z wolna ku Curitibie, usiana kępami gajów sosnowych, kwadratami pól uprawnych i mnóstwem rozrzuconych bezładnie wśród zieleni domków kolonistów. Na widnokręgu piętrzą się ostre kontury Serra do Mar. Ku zachodowi druga równina wysoka, lekko falista, skąpą, wyschlą, poźółkłą trawą porośnięta. W dołkach gdzieś niegdzie ciemne punkciki gajów araukariowych; co krok czarne smugi świeżo wypalonego stepu; atmosfera duszna od wznoszących się zewsząd pożarów stepowych. Przed nami, za nami, na prawo i lewo wznoszą się pod obłoki słupy czarnego dymu i suną szybko po suchym stepie ogniste smugi pożaru. Jest to tutejszy system użytkowania stepu. Istotnie też po pierwszym deszczu na czarnych, zwęglonych smugach szybko soczysta, zielona trawa porasta, a ślady węgla i popiołu znikają nadzwyczaj prędko. Tylko liczne stożkowate mrowiska wypalone na czerwono i nagie skały okopcone dymem świadczą wówczas o niedawnych pożarach stepu.

Gdzieś czysty jak kryształ strumyk górski spada w szumiących kaskadach po skalistych progach; od czasu do czasu samotna karczma (*venda*) na nagim stepie. Na drodze ruch ożywiony: mijają nas karawany ładownych mułów i wielkie bryki frachtowe w 8–12 koni zaprzężone, wylądowane *herwą mate*. Z rzadka minie nas spode łba patrzący półdziki *caboco*, brazylijski skwater¹⁷⁸, na tęgim mule, z *ponchem*¹⁷⁹ zwieszonym z ramienia, arkanem¹⁸⁰ u siodła bogato srebrnym przyozdobionego i bosymi nogami w srebrnych, masywnych strzemionach, tak małych, że tylko jeden palec wsadzić w nie można. Nieodstępnie mu towarzyszy kilka psów doskonale wytresowanych do zaganiania bydła. Pomimo dzikiej powierzchowności, olbrzymiego noża i pistoletów dwururnych za pasem są to ludzie w ogóle łagodni i uprzejmi, posiadający tylko jedną kardynalną wadę, wspólną wszystkim Brazylianom, to jest nieprzewyciężony wstręt do wszelkiej pracy obok nałogu do gry i namiętnego zamięłowania do picia *mate*. Ludzie ci na „kampie” są jeszcze u siebie, lecz w lasach graniczących z koloniami rolniczymi zmuszeni są ustępować miejsca europejskim przybyszom, jak dzicy przed cywilizacją; na koloniach im za ciasno: mniejszej posiadłości nad kilka mil kwadratowych nie rozumieją, a rolnictwo jest dla nich czymś zupełnie niepojętym. Czystych typów europejskich mało się pośród nich spotyka, są to przeważnie Metysi rasy białej, czarnej i czerwonej w przeróżnym stopniu.

Fauna kampu dość bogata. Uderza przede wszystkim wielka liczba drapieżników skrzydlatych. Nadzwyczaj pospolitą jest pustułka (*Tinnunculus sparverius*), dalej dwa gatunki długonogich sępów (*Polyborus brasiliensis* i *P. tharus*)¹⁸¹, spacerujących po dro-

¹⁷⁶*Conurus brasiliensis* — w ob. klasyfikacji: *Eupsittula aurea*, konura brazylijska. [przypis edytorski]

¹⁷⁷gnejs — skała metamorficzna o krystalicznej strukturze, zwykle pstra. [przypis edytorski]

¹⁷⁸skwater (z ang. *squatter*) — w XIX w. w Ameryce Północnej: osadnik na nowej ziemi nieposiadający do niej tytułu prawnego. [przypis edytorski]

¹⁷⁹poncho (hiszp.) — wierzchnie okrycie z prostokątnego kawałka tkaniny z otworem na głowę pośrodku. [przypis edytorski]

¹⁸⁰arkan — sznur zakończony pętlą, służący do chwytania zwierząt. [przypis edytorski]

¹⁸¹dwa gatunki długonogich sępów (*Polyborus brasiliensis* i *P. tharus*) — w Ameryce sępy nie występują; gatunki określone przez podane dawne nazwy łacińskie w ob. klasyfikacji są uznawane za dwa podgatunki tego samego gatunku *Caracara plancus*, dużego drapieżnego ptaka z rodziny sokołowatych: karakara czubata i karakara białorzutna. [przypis edytorski]

gach o trzy kroki od dyliżansu. Mała sówka (*Athene cunicularia*) równie jest pospolita. Wszystkie te ptaki żywią się myszami, żabami itp. Na nagich skałach czerwonego piaskowca nierzadko widzieć można sylwetkę siwego ibisa (*Theristicus melanops*¹⁸²), którego głos donośny ciągle słyszeć się daje, a niepodobna ocenić odległości, skąd pochodzi. Na wysokich trawach spotkać można niekiedy oryginalnego dzięcioła z czarną głową, czerwonym czubem, żółtym spodem i żółtawym, czarno nakrapianym grzbietem (*Colaptes agricola*¹⁸³), niesiadającego na drzewach, lecz na krzakach stepowych i nigdy nienapotykanego w lesie; kilka muchołówek, jakiś *Mimus*¹⁸⁴, dwa gatunki kuropatw (*Crypturus*)¹⁸⁵, skowronek (*Anthus platensis*)¹⁸⁶, jaskółki i jerzyki; w gaikach hałaśliwe gromady czarnych „chopi” (*Aphobus chopi*) i czarno-żółtych kacyków (*Icterus sp.*), odbywających gwarne wiece na czubkach drzew. Czasem czubaty koliberek (*Lophornis*) z pobliskich lasów się zabląka. Natomiast zwierząt ssących nie widać wcale. Zdarza się lis stepowy (*Canis azarae*)¹⁸⁷, z rzadka puma (*Felis concolor*) i małe pancerniki. Na nocleg stajemy w San Luis, malutkiej osadzie, położonej w dolinie, na wysokości 950 metrów. Oberża wcale porządna, utrzymywana przez Niemca rosyjskiego, jest okolona sporym gajem, złożonym z algarrobów¹⁸⁸, araukarii i paproci drzewiastych.

Nieco ponad osadą, o 30 metrów wyżej, step gładki kończy się wałem kamiennym, ciągnącym się z północy na południe, którego powstanie, przypisywane przez niektórych badaczy lodowcom (nb. żadnych śladów lodowca nie znalazłem), mogą sobie wytłumaczyć jedynie jako wielki przełom pokładów piaskowcowych połączony z zapadliskiem strefowym (*Grabenversenkung*). Zapadlisk takich jest tutaj kilka. Pierwszym i największym z nich jest równina Curitiby, położona pomiędzy szczytami Serra do Mar i płaskowyżem Campos Geraes, zapadła co najmniej o 400 metrów na krańcu zachodnim i o 200 na wschodnim. Trzy inne leżą pomiędzy San Luis i Palmeiras, wytwarzając tyleż zniżających się coraz bardziej ku zachodowi tarasów.

Linie przełomów wywołują piękne efekty w kształcie baszt i ruin pośród skał, zaledwie wystających ponad powierzchnię Campos Geraes, lecz bardzo urozmaiconych, skoro się na nie patrzy z doliny odpowiadającej przyległemu zapadlisku, tj. od zachodniej strony.

Nazajutrz, nie zmieniając koni, z których jednego, niezdatnego już do dalszej podróży, musimy pozostawić, odjeżdżamy dalej na zachód. Nie rozumiem, czym żyją te biedne zwierzęta, podobne do obciążonych skórą szkieletów — obroku im bowiem nie dają, a ze spalonej słońcem suchej trawy stepowej mało pożytku. Natomiast woźnica nasz poi je przy każdej studni. W Argentynie trzymają się zasady wprost przeciwnej, zapewne z powodu rzadkości wody.

Droga zniża się coraz bardziej, coraz częściej przejeżdżamy przez lasy araukariowe, natomiast droga, coraz gorsza, prowadzi po nagiej powierzchni skały, pełnej dziur i wybojów.

Przebywamy drugi wał kamienny, na wysokości 860 metrów i stajemy na południe w lichej oberży wśród nagiego stepu, zwanej Restinga secca, skąd odchodzi boczna droga do przystani w Porto Amazonas, punktu wyjścia żeglugi na rzece Y-guassu.

Wysokość oberży nad poziomem morza wynosi 780 metrów. W malutkim ogródku, istniejącym zaledwie od lat pięciu, widzę spore drzewa pomarańczowe osypane owocem, brzoskwinie i ameizas — dowód oczywisty, iż nawet jałowy grunt kampu przy starannej

¹⁸²*Theristicus melanops* — popr.: *Theristicus melanopis*, ibis maskowy. [przypis edytorski]

¹⁸³*Colaptes agricola* — w ob. klasyfikacji: *Colaptes campestris*, dzięcioł łąkowy (jego południowy podgatunek, dzięcioła pampasowego, uznaje się niekiedy za osobny gatunek). [przypis edytorski]

¹⁸⁴*Mimus* — rodzaj amerykańskich ptaków z rodziny przedrzeźniaczy. [przypis edytorski]

¹⁸⁵kuropatw (*Crypturus*) — w ob. klasyfikacji: *Crypturellus*, rodzaj ptaków z rodziny kusaczy, żyjących w Meksyku, Ameryce Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁶skowronek (*Anthus platensis*) — ptak o takiej nazwie nie występuje ani nie występował w systematyce; *Anthus* to rodzaj ptaków z rodziny pliszkowatych, *Anthus pratensis* to świergotek łąkowy, zamieszkujący Europę; w Brazylii występuje 5 gatunków ptaków z rodzaju *Anthus*, ale żaden nie ma podobnej nazwy gatunkowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁷lis stepowy (*Canis azarae*) — w ob. klasyfikacji: *Cerdocyon thous*, majkong a. lis krabojad, drapieżny ssak z rodziny psowatych, zamieszkujący sawanny i rzadkie lasy Ameryki Południowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁸algarrobo — zbiorcza nazwa dla drewna pozyskiwanego z niektórych gatunków niewielkich drzew i krzewów należących do rodzaju jadłoszyn (*Prosopis*); ze względu na swoją twardość szczególnie cenione jest z *Prosopis alba*. [przypis edytorski]

uprawie dobre rezultaty dać może. Włoch oberżysta twierdzi, iż z kilku drzewek swoich zbiera około 2000 pomarańcz rocznie.

Przed wieczorem stajemy w miasteczku Palmeiras, liczącym 500 mieszkańców i zabudowanym zwykłym trybem amerykańskim w czworobok naokoło wielkiego placu, z kociołem w środku i dwiema alejami mizernych palm po bokach.

Tuż poza miastem przechodzi podobny do poprzedzających trzeci wał kamienny, na wysokości 780 metrów nad poziomem morza, za którym wchodzimy już wkrótce w region leśny, przecięty głębokimi parowami i posiadający grunt ilasty, ze zwietrzenia łupków paleozoicznych¹⁸⁹ powstały.

Snujące się po ulicach postacie w wypłowiałych maciejówkach lub czerwonych kurtach kujawskich wskazują, że jesteśmy blisko nowszych kolonii polskich.

W nocy dziwne wrażenie na nieprzyzwyczajonym oku sprawiają bijące zewsząd luny pożarów stepu, pożarów, których płomienne języki pod same mury miasta podchodzą, nie wzbudzając w apatycznych Brazylijanach najmniejszej troski. Czasami spali się przy tym dom jaki, to się i odbuduje... Brazylijanin zresztą wśród czterech ścian, przykrytych dziurawym najczęściej dachem, którego mu się naprawić nie chce, nie zna wcale wygód europejskich. Zamiast łóżka, u zamożnych nawet, stos niewyprawionych skór wołowych, zamiast stołków — kilka pni drzewnych lub czaszki wołowe. Mebli nie posiada żadnych, nie dziw zatem, że obawa pożaru straszną dla nich nie jest. Ociężałość i lenistwo, przy wrodzonej zresztą dobroduszości, przy tym wielka chęć zbogacenia się bez pracy, przepelniająca złodziejami wszystkie urzędy: to cechy charakterystyczne prawego syna kraju, niezarażonego jeszcze zgubnymi doktrynami Europy, wypisanymi, wbrew zapewne woli narodu, na sztandarze młodej Rzeczypospolitej brazylijskiej: „*Ordem e progresso*”.

Palmeiras jest miastem czysto brazylijską; z wyjątkiem paru Niemców, lekarza Włocha i przychodzących za interesami kolonistów polskich ludność składa się z Brazylijanów, Mulatów i Murzynów. Skoro tylko się ściemni, miasto wydaje się umarłe. Na ulicach żywej duszy nie ma, okiennice wszystkich domów szczelnie pozamykane, nawet światła nigdzie nie widać, bo pokoje mieszkalne zwykle leżą w głębi domu, od frontu zaś tylko salon gościnny z nieodzowną kanapą i symetrycznie ustawioną aleją wiedeńskich krzesel lub foteli od kanapy do drzwi wchodowych.

ROZDZIAŁ VII

Dr Grillo. Nieco o Pawlaku i brazylijskiej Temidzie. Wyjazd na kolonię St. Barbara. Przyroda. Koloniści. Odjazd z Palmeiras. Porto Amazonas. Rzeka Y-guassu.

Dyrektor i zarazem lekarz okolicznych kolonii, dr Grillo, Włoch z rodu, okazuje się człowiekiem bardzo uprzejmym i miłym. Na pogawędce z nim parę wieczorów przyjemnie nam upłynęło, przy czym dowiedziałem się najniespodzianie, iż służąca dra Grillo, młoda, przystojna Kujawianka, jest rodzoną siostrą osławionego Pawlaka, oraz iż cała ta przyjemna kompania, razem z Wyrostkiewiczem, znajduje się na sąsiedniej kolonii St. Barbara, którą zwiedzać mamy. Mordercy nie uważali za stosowne nawet nazwiska zmieniać — tak dalece pewnymi się tutaj czują zupełnej bezkarności. Że nie mylili się w tym względzie, przekonaliśmy się niebawem, gdy, poznani przez nowo przybyłą partię włościan spod Nieszawy, zbiegli z kolonii i zostali na żądanie rosyjskiego konsulatu aresztowani w Santos, w chwili gdy chcieli wsiąść na statek, udając się do Ameryki Północnej. Sprawiedliwości stało się zadość, bo nazajutrz... wypuszczono obu z więzienia pod dozór policyjny!.. Od tej chwili wszelki ślad ich zaginął oczywiście; podobno są teraz w Corrientes¹⁹⁰ na kresach argentyńskich.

Dr Grillo z najwyższym uznaniem wyraża się o pracowitości, cierpliwości i wytrwałości kolonistów polskich w podwładnych mu osadach, gdy natomiast Włosi i Hiszpanie okazali się zbyt słabi i nieudolni przy trzebieniu odwiecznych lasów, a z wielkiej liczby sprowadzonych przez zarząd emigrantów tych narodowości zaledwie garstka szczupła

¹⁸⁹paleozoik, era paleozoiczna — era w geologicznej historii Ziemi, ok. 540–252 mln lat temu; w dawnej periodyzacji paleozoik był najstarszą erą. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Corrientes — miasto w pln.-wsch. Argentynie, nad rzeką Parana. [przypis edytorski]

pozostała na miejscu. Jedni Polacy wśród tej wieży Babel wszystkich narodowości okazali się istotnie rolnikami, umiejacymi się z ziemią obchodzić.

29 sierpnia zajeżdża z rana przed nasz hotelik porządna karetka, w pięć dzielnych koników zaprzężona, i w towarzystwie dra Grillo odjeżdżamy na obejrzenie pobliskiej kolonii Sta Barbara, od Palmeiras o półtoje mili odległej.

Wyborna nowa droga, rękami kolonistów pod kierunkiem dra Grillo wykonana, prowadzi nas o 100 metrów niżej, ku dolinie rzeki Y-guassu, w region lasów araukariowych i bambusu.

Na skraju lasu, o milę od miasteczka, widnieje pierwszy domek drewniany, sklecony z tarcic, wśród paru morgów oczyszczonego i pokrytego zieloną runią wschodzącego żyta gruntu. W ogrodzonym starannie sadzie rośnie kapusta, sałata, czarny szablak¹⁹¹ (*fejiao preto*), groch; przy domie¹⁹² parę drzewek owocowych, świeżo zasadzonych. Właściciel kolonii, Piotr Wojniak z Zakrocymia, jest tutaj zaledwie od 8 miesięcy. Dwie kobiety, niejaki Adamskie z Kamienicy pod Dobrzyniem, pracują z nim razem. Kolonia liczy zaledwie kilka chałup i nosi nazwę: *Nucleo colonial da comendador Araujo*.

Jedziemy dalej, spotykając gromadki emigrantów pracujących przy drodze. O ćwierć mili na południe las się kończy przy rozstajnych drogach. Na lewo, w stronę rzeki Y-guassu, odchodzi szlak do Sta Barbara; na prawo — gościniec do osady Niemców rosyjskich z guberni Samarskiej: Sta Kytheria. Wioska niemiecka na sposób europejski zabudowana w jedną ulicę; w ogrodach, na tyłach domów, zieleni się trochę żyta posianego na użytek własny: koloniści niemieccy w Paranie rolnikami nie są, trudniąc się prawie wyłącznie furmaństwem. Przyjechawszy tutaj z żyznych stepów nadwołżańskich, wybrali kolonie stepowe, stroniąc od ciężkiej pracy leśnej. Jałowa gleba kampu brazylijskiego zawiodła jednak ich oczekiwania, wielu powróciło do Europy, wielu z nędzy pomarło; większość przesiedliła się do Argentyny. Pozostali wzięli się do furmaństwa lub drobnego handlu. Wszyscy niemal woźnice bryk frachtowych, prywatnych powozów i dylizansów są Niemcami rosyjskimi, znanymi tutaj na równi z Polakami z Królestwa pod nazwą *Russos*. Konkurencję niejaka robią im tylko zniemczeni przeważnie Mazurzy pruscy i Kaszubi.

Dalej, również na stepie, czerwienią się i bielą schłodne domki włoskiej kolonii Sta Caecilia, stanowiącej swojego rodzaju *curiosum*. Znany we Włoszech agitator i pisarz socjalistyczny Giovanni Rossi¹⁹³ zapragnął tutaj w praktyce zastosować swoje zasady, zakładając włoski „falanster”¹⁹⁴ socjalistyczny. Pobudowano ładne domki, zasadzono winnice: okazało się wszakże, iż osadnicy zmienili przekonania, skoro przyszło zasadę „*la propriété c'est le vol*”¹⁹⁵ zastosować od siebie samych: na gminę pracować nie chcieli, wreszcie wymówili posłuszeństwo swemu przywódcy. Doszło do tego, iż Rossi zmuszonym się ujrzał wezwać opieki wojskowej przeciwko własnym towarzyszom. Kolonia upada coraz bardziej, a Włosi gdzie indziej się wynoszą.

Na lewo rozciąga się dalej las ku dolinie rzeki, w końcu spotykamy też pierwszych kolonistów polskich z S. Barbara, pomieszczonych w szałasach tymczasowych z liści bambusu i palmy, zanim rząd przyrzeczone domki prowizoryczne z tarcic podług przepisanej normy im wystawi.

Dalej nieco, na wzgórzach, domki kilku kolonistów hiszpańskich. Nawiasem wspomnę, iż we drzwiach jednego z nich powitało nas urocze zjawisko dziewczęcia, podlotka rzadkiej zaiste piękności, przypominającego madonny Murilla¹⁹⁶.

Jeden z domków w S. Barbara zamieniono na kancelarię dyrektora Grillo. Zostawiamy tutaj powóz i pieszo puszczamy się po świeżo wyciętych drogach i ścieżkach w głąb lasu. Wkrótce tracimy z oczu rozległą panoramę, wchodząc w gąszcze, których przed

¹⁹¹szablak (reg.) — fasola. [przypis edytorski]

¹⁹²przy domie — dziś popr.: przy domu. [przypis edytorski]

¹⁹³Rossi, Giovanni (1856–1943) — włoski anarchista; kierując się ideami tzw. socjalizmu utopijnego, w 1890 założył kolektywistyczną kolonię w brazylijskim stanie Parana, która przetrwała do 1893. [przypis edytorski]

¹⁹⁴falanster — osiedle zamieszkiwane przez wspólnotę zwaną falangą, forma organizacji zaproponowana przez francuskiego socjalistę utopijnego Charles'a Fouriera (1772–1837) zamiast państwa; na falanster miały się składać obszary rolne, park, zabudowania gospodarcze i obszerny budynek, gdzie żyłoby i wspólnie pracowało półtora tysiąca osób obojga płci i wszystkich potrzebnych wspólnocie profesji. [przypis edytorski]

¹⁹⁵la propriété c'est le vol (fr.) — własność to kradzież; słynny slogan francuskiego antykapitalistycznego anarchisty Pierre'a-Josepha Proudhona z jego książki z 1840 pt. *Czym jest własność?* [przypis edytorski]

¹⁹⁶Murillo, Bartolomé Esteban (1617–1682) — hiszpański malarz barokowy. [przypis edytorski]

kilku miesiącami jeszcze noga ludzka nie tknęła, ginące dzisiaj pod ciosami toporów polskiego pioniera. Łązniewski, po raz pierwszy znajdujący się w podzwrotnikowym lesie dziewiczym, co chwila nastawia swój aparat fotograficzny, aby olśniewające ogromem i pięknnością obrazy dzikiej przyrody zachować. Na nieszczęście, nie wszystkie klisze się udały, a nadto fotografia, nieoddająca gry barw i odcieni przeróżnej zieloności, nie jest w stanie odtworzyć potężnego wrażenia, jakie puszcza podobna wywiera na widza. Ołówek dobrego rysownika większe w tym razie oddać mógłby usługi.

Ktokolwiek widział u nas araukarie w cieplarniach, w naturze nigdy by ich nie poznał. Dziwne to drzewo, najstarsze z drzew szpilkowych na ziemi, posiada w starości wiele cech zbliżających je do palm. Za młodu ma kształt świerka lub jodły, igły płaskie i krótkie, trójkątne niemal, pokrywają całą długość gałęzi, odchodzących prawidłowymi pierścieniami od pnia głównego i posiadających wielką ilość gałązek bocznych. W późniejszym wieku gałęzie dolne opadają stopniowo, pozostawiając na pniu głęboki odcisk w kształcie obrączki, nieznikający nigdy, tak samo jak to ma miejsce u palm; gałęzie szczytowe tworzą kształt szerokiego grzyba, jak u sosny włoskiej (*Pinus maritima*), lecz pomimo znacznej swej długości nie posiadają wcale odnóg bocznych, są zupełnie nagie i tylko na końcu samym sterczy gruby pęk długich, ciemnozielonych, cienkich szpilek. W wieku jeszcze późniejszym gałęzie, tworzące koronę pojedynczą, zaginają się do góry, a szczyt drzewa staje się zupełnie płaski. Całość wówczas robi wrażenie olbrzymiej jakiejś lodygi kwitnącego kopru czy marchwi. Po uschnięciu drzewa opada ostatnia korona ze szczytu i pozostaje już tylko obrączkowany słup, z daleka nieróżniący się od takichże uschłych pni palmowych. Araukarie w S. Barbara dochodzą półtora metra średnicy i 40 metrów wysokości i stanowią najpospolitszy gatunek drzewa. Obok nich istnieje drzewo żelazne (*imbuya*), dalej *canela*, czyli drzewo cynamonowe, zwane tak od cynamonowej barwy swego rdzenia, *ficusjakiś*, drzewiaste paprocie i kępiasty bambus, tworzący gęszcze nieprzebyte. Palm niewiele i wszystkie zdają się należeć do jednego gatunku (*Oreodoxa sp.*). Ze wszystkich drzew starych, zwłaszcza *canelas* i *imbuyas*, zwieszają się długie szarawe festony brody Absalona (*Tillandsia usnoides*). Na araukariach tylko jej nie ma.

Wśród tej puszczy rozlega się wszędzie odgłos polskich siekier, dymią świeżo wypalone poręby, widnieją co paręset kroków schludne, z desek sklecone domki; na wyrobionych z mozołem kawałkach roli wśród olbrzymich pni zwęglonych zieleni się młode żyto i kartofle; gdzieś widać ogródek warzywny, a pozostawione wśród poręby białe drzewka *hervy mate* mają pozór sadzonego ogródka. Szerokie gościńce, nad którymi pracują emigranci, przecinają całe terytorium kolonii, przechodząc przez wszystkie działki. Grunt, spod lasu wyrobiony, nadzwyczaj żyzny, jest ciężką, czerwoną gliną. Kolonia liczy około 150 rodzin polskich, 40 włoskich i 6 hiszpańskich. Inwentarza żywego nikt jeszcze nie posiada, z wyjątkiem trochę kur, wieprzy i gdzieś w krowy mlecznej — ale też należy pamiętać i o tym, że jeszcze w grudniu zeszłego roku na miejscu tym był jednolity, nieprzebyty bór dziewiczy.

Manipulacja kolonizacyjna, wspólna dla wszystkich kolonii nad Y-guassu jest następująca: kolonista otrzymuje 20–25 hektarów gruntu, położonego przy ścieżce, którą sami osadnicy mają w przeciągu kilku miesięcy na drogę kołową przerobić. Ścieżki te, czyli *picadas*, tworzą linie możliwie proste lub przecinające się pod prostymi kątami. Działka pojedyncza posiada zwykle od drogi 200 metrów frontu, w głąb zaś obok 1000 metrów. Droga przechodzi przez środek działki, czyli *lote*.

Wartość takiego „lotu”, obliczoną na 100–150 milrejsów, kolonista obowiązany jest spłacić w przeciągu trzech lat, z potrąceniem 1/3, jeśli się w terminie z długu uiszczy. W przeciwnym razie zapisuje się dług na hipotekę „lotu” na 6% rocznie. Wszelkie inne zapomogi, z których 3/4 zresztą rozkradają urzędnicy po drodze, są bezzwrotne. Kolonista otrzymuje od rządu domek z tarcic, gontami kryty, mający jedną izbę, długą na 6, szeroką na 4, wysoką 2,66 metra, o dwóch oknach bez szyb, zamykanych okiennicami, i przybudówką w tyle, przeznaczoną na kuchnię. Jeżeli kolonista sam sobie taki domek wystawi, ma prawo do zapłaty 120 milrejsów — której, co prawda, nigdy nie widuje. Oprócz tego otrzymują emigranci najniezbędniejsze narzędzia i trochę ziarna do siewu, do ogólnej wartości 50 milrejsów na rodzinę.

Drzewo

Emigrant

Istnieją jeszcze zapomogi w gotówce, a raczej w formie kredytu u kupców żywności, opłacane robocizną na drogach i robotach rządowych — zarobki te wszakże są największą klęską kolonistów, obdzierają ich bowiem przy wypłatach niemiłosiernie, kupcy są w zмовie z urzędnikami, a na zapłatę czekać miesiącami trzeba, tracąc drogi czas na chodzenie do odległej administracji po należne kwity robocizny, tzw. *vales*, przyjmowane przez kupców ze znacznym dyskontem. Zapomogę, zrazu wcale dostateczną, obliczoną podług ilości członków rodziny, która przeciętnie wynosiła 50 milrejsów na rodzinę, stopniowo zmniejszano do 30 milrejsów miesięcznie; kwota ta przy ogromnie wygórowanych cenach artykułów żywności nie wystarcza na przeżycie, zarobków zaś ubocznych nie ma żadnych. Najlepiej przeto mają się ci z kolonistów, którzy posiadając mały zapas gotówki na pierwsze potrzeby, nie są zmuszeni dawać się obdzierać przez *vendzistów* ani szukać wątpliwych zarobków rządowych, wkładając cały czas swój w pracę obok własnej roli, która już po kilku miesiącach utrzymanie im zapewnić może, zwłaszcza jeśli dodamy bardzo ważny, a mało emigrantom znany artykuł żywności, jakim są smaczne i pożywne ziarna araukarii.

Dla przykładu przytaczam ceny artykułów żywności z książeczki dłużnej Adama Jaroszewskiego, warszawianina, na kolonii Sta Barbara osiedlonego:

słonina 1 kilogram — 800 reis
cukier 1 kilogram — 400 reis
chleba bochenek — 400 reis
soli 1 litr — 160 reis
fejiao (szablak czarny) 1 *cuarta* = 10 litr — 1200 reis
kawy 1 kilogram — 2000 reis
ryżu 1 litr — 400 reis
mydła 1 kilo — 400 reis
butelka wódki — 500 reis
paczka zapalek — 320 reis

Ogólny rachunek miesięczny tego kolonisty wynosi 27 milrejsów. U innych na tejże kolonii — 32 do 37 milrejsów. Największy, jaki widziałem — 48 milrejs.

Oto dalej rachunek zapomogi rządowej wypłaconej Kazimierzowi Podgórnemu, koloniście z nr 54, z żoną i trojgiem małych dzieci.

kubelek wartości — 2000 reis
kociołek 6-litrowy — 8040 reis
kociołek mały — 1200 reis
graca — 1200 reis
siekiera — 3800 reis
szpadel — 1200 reis
kosa do trzciny (*foiça*) — 2800 reis
piła — 12 000 reis
gwoździ 6 kilo — 3300 reis

Na kolonii S. Barbara i sąsiedniej Cantagallo znajduje się ogółem 770 osób narodowości polskiej, litewskiej i rusińskiej. Najwięcej pochodzi z guberni płockiej i warszawskiej, z powiatów sierpeckiego, rypińskiego, lichnowskiego i niezawskiego, kilkudziesięciu robotników fabrycznych z Żyrardowa, Tomaszowa, Łodzi i Warszawy. Z Galicji spotkałem kilka rodzin rusińskich spod Złoczowa. Między innymi zapamiętałem nazwisko barczystego chłopca Naliwajki, z lubością spoglądającego na tak pożądaną w kraju „lisy i pasowską”. Gdy ich po małorusku „*Śława Isusu Chrystu*”¹⁹⁷ przywitał, ochłonawszy z pierwszego zdziwienia, zasypali mnie pytaniami o swoich znajomych i krewniaków w Galicji pozostałych. Litwin jakiś spod białskiej puszczy, którego nazwiska nie pamiętam, posiada największy kawał wyrobionego gruntu, bo ze cztery morgi zupełnie oczyszczone i uprawione pod zasiew. Żali się na pewne drobne nadużycia dozorców kolonialnych, w ogóle jednak jest bardzo zadowolony z rezultatów swej pracy. Żona na wspomnienie Litwy i znajomych okolic łzę ukradkiem otarła. „Ot poleciałaby ja do swoich, ale widać już nie sądzono nam biednym sierotom!” Poczciwe Litwinisko na pierwszym miejscu w chałupie swojej obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej zawiesił i z dumą pokazuje mi tę relikwię, ze

¹⁹⁷ *Śława Isusu Chrystu* (rus.) — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. [przypis edytorski]

swojej świętej Litwy przywiezioną, dopytując się, czy prawda, że tu ma przybyć ksiądz polski, bo od wyjazdu z kraju u spowiedzi nie był. Pocięszam go, że niezadługo własnego proboszcza w S. Matheo mieć będą, i ruszam dalej.

Szeroki gościniec się kończy i gromadka emigrantów, uzbrojonych w topory, oskardy i motyki, pracuje przy karczunku dalszego ciągu już wyciętego i oczyszczonego z leżących pni szlaku.

O paręset kroków dalej wznosi się przed nami jednolity mur zielony i tylko wąska ścieżka, tzw. *picada*, w głąb puszczy nas dalej prowadzi. Gąszcz bambusów, spomiędzy których wystrzelają grube na półtora metra araukarie, proste jak struna, zakończone u góry koroną gałęzi na kształt ramion świecznika wzniesionych, *imbuayas* oplecione lianami i włochatą *Usneq*, ficusy olbrzymie, paprocie drzewiaste i palmy otaczają nas dookoła, oświetlone ruchomymi plamami przedzierającego się przez gęstwinę słońca, tworząc co chwila obrazy godne pędzla mistrza.

Stuk siekier i gwar rozmowy, z gąszczu dochodzący, zdradza bliskość ludzi — niedługo też wychodzimy na inny gościniec, świeżo w puszczy otwarty, i spostrzegamy gromadkę Polaków przecinających *picadę* wśród bambusów za pomocą krótkich kos na sztorc osadzonych (*foiça*). Robota idzie rażno i wesoło — opodał, wzdłuż rozpoczętej drogi, widnieją białe domki kolonistów na ciemnym tle sosnowego boru. Z góry, zakończonej stromym urwiskiem, obejmujemy okiem rozległy krajobraz leśny — w oddaleniu dostrzegamy domki następnej kolonii polskiej — Cantagallo, liczącej 19 rodzin.

Wszystkie osady polskie nad rzeką Y-guassu pozostające pod naczelnym kierunkiem p. Edmunda Zaporskiego, tworzą pasmo ciągle wzdłuż prawego brzegu rzeki, połączone drogą kołową, dzisiaj częściowo tylko wykończoną, z jednej, a łożyskiem spławnej rzeki Y-guassu z drugiej strony. W odstępach jednodniowej podróży konnej wyznaczone są place na mające powstać miasta, jak Rio dos Patos, S. Matheo i Rio Claro, rosnące tutaj z amerykańską szybkością w miarę wzrostu dobrobytu okolicznych kolonistów. Linia kolei, świeżo wykończona, łączy Curitiba z przystanią w Porto Laranjeiras, od której Y-guassu zaczyna być spławna. Przy zaprowadzeniu dobrej żeglugi parowej można będzie przeto dotrzeć w przeciągu półtorej doby do najdalszej z istniejących osad Rio Claro, gdy przy obecnych środkach przewozowych podróż ta trwa około tygodnia.

Sposób uprawy gruntu koloniści przyjęli od Brazylianów, jako w warunkach tu-tejszych najodpowiedniejszy. Po wycięciu poręby obcinają się z drzew wszystkie gałęzie i razem z drobnym chrustem podszyca układają w stosy. Poręba w tej postaci nosi nazwę *rossa*. Teraz czekać trzeba suchej pory roku lub przynajmniej kilku z kolei dni pogodnych, aby nagromadzone na *rossie* sęgi¹⁹⁸ nieco podeschły, po czym się takowe podpala. Umiejętne wypalenie poręby stanowi połowę pracy. Wielkie pnie powalone, równie jak karcz¹⁹⁹ ściętych drzew pozostawiają się na miejscu, próchniejąc z wolna przez lat kilka, zanim się same nie rozsypią. Karczunek na europejski sposób tutaj się nie oplaca i tylko niektórzy, niedoświadczeni jeszcze koloniści zadają sobie ten trud zbyteczny.

Pomiędzy leżącymi zwęglonymi pniami ziemia porusza się szpadlem i motyką, a następnie zasiewa *mais*, żyto itp. w ten sposób, iż jeden człowiek, idący przodem, drągiem żelaznym robi w zrychłej ziemi dołek, drugi, idąc za nim, wrzuca doń kilka ziarn i za-deptuje nogą. Oto i cała uprawa, las bowiem nie posiada małych szkodliwych chwastów, wymagających pielienia i tylko z nieczystego ziarna dostaje się niekiedy tutaj oset, plaga amerykańskich zasiewów. W lat kilka po osiedleniu, gdy pnie drzew wypróchnieją, a kolonista dorobi się na tyle dobrobytu, iż może sobie parę wołów roboczych i pług sprawić — powoli zaczyna się stosować do wyjąłowionej już nieco poręby orka i system uprawy europejski.

Plaga, na którą się wielu kolonistów skarży, są tutejsze mrówki, niszczące zasiewy. Walka z nimi nie jest łatwa, a polega na systematycznym paleniu i zalewaniu wrzątkiem mrowisk.

Z kolonii Sta Barbara uciekło kilkunastu pojedynaków, którzy doczekać się nie mogli wyznaczenia sobie gruntu: pierwszeństwo bowiem zastrzega się dla ludzi rodzinnych. Większość tych uciekinierów są to robotnicy fabryczni, stróże domów z Warszawy, lo-

¹⁹⁸*sgg* — stos drewna. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*karcz* — pniak pozostały po wycięciu drzewa. [przypis edytorski]

kaje, fornale²⁰⁰, w ogóle ludzie niezwyčajni ciężkiej pracy pioniera w lesie, a częstokroć niemający wyobrażenia o uprawie roli. Tacy, spotykając partię emigrantów udających się na kolonie, dziwy im opowiadają o czekających ich tam okropnościach, gdy w samej rzeczy największe okropności przebyli już oni w miejskich barakach, a dzień, w którym miasta opuszczają, jest dla nich dniem wyzwolenia. Zdarza się, że niektóre osobniki mniej spokojne zarząd kolonii sam wydała.

W dziennikach nadesłanych z Curitiby znajdujemy wiadomość o kilku buntach wychodźców w Rio Negro, Ponta Grossa i kilku miejscowościach stanu St. Catharina. Powodem buntów są wszędzie nieporządki administracji, złodziejstwa kupców, nadużycia tłumaczy, brak pieniędzy przy wypłatach miesięcznych itp. Jeden z dzienników, „A Republica”, w każdym numerze swoim umieszcza piorunujące artykuły przeciwko nieporządkom administracji kolonialnej w Paranie; nie należy wszakże zbyt serio traktować ani wiadomości podawanych, ani też szlachetnego oburzenia redaktora: wszystko jest tu zawsze podszyte walką osobistą i polityczną dwóch stronnictw, dobijających się o tuste synekury rządowe; a że w tej chwili u steru w Paranie stoi tzw. „liberalna”, czyli monarchiczna partia, republikanie przeto oczywiście są malkontentami.

Delegatem komisji kolonizacyjnej jest „liberał” dr Carvalho, człowiek używający u Polaków najlepszej opinii, a w zarządzie jest kilku wyższych urzędników cudzoziemców, będących solą w oku brazylijskim „konserwatystom”, niemogącym gospodarować w funduszach kolonizacyjnych. Sposób ludzki i rozsądny, w jaki uspokojono bunt 3000 wychodźców w Rio Negro, posyłając im zamiast bagnetów i szabel p. Bertolda Adama dla wysłuchania, bez pośrednictwa tłumacza, ich skarg i zażaleń, a następnie, na skutek sprawozdań tegoż posła, zmiany osobiste przeprowadzone w zarządzie kolonii, dają najlepsze świadectwo o dobrych chęciach p. Carvalho. W kraju jednak, gdzie tysiączne sprzeczne interesa osobiste sprawą publiczną rządzą, a jeden z dygnitarzy nie wahał się publicznie oświadczyć, iż „osłem jest ten, co nie kradnie, z tego powodu woli być złodziejem niż osłem”, w kraju, o którym rodowici Brazylianie się wyrażają, iż obecnie nie jest on wcale ich „ojczyzną”, lecz krajem rządzonym przez hasło: „kradnij kto może”; w kraju takim najlepsze chęci szlachetnych ludzi nie wystarczają, a jedyną gwarancją usunięcia nadużyć jest *samopomoc*, zorganizowanie się silne wychodźców pomiędzy sobą, aby przez prasę i posłów sejmowych praw swoich bronić. Tak zrobili tutaj Niemcy i Włosi; to samo powinnyby uczynić Polacy, gdyby nie paraliżowały wszelkich w tym kierunku usiłowań osobiste swary i niechęci tutejszej, bardzo nielicznej zresztą, inteligencji.

1 września, pożegnawszy uprzejmego dra Grillo, z wielką paradą, bo aż we dwie pięciokonne karety, wynajęte za słone pieniądze (co prawda innych środków lokomocji wcale nie było w Palmeiras), odjeżdżamy do Porto Amazonas, gdzie nas uprzedzony przez umyślnego posłańca parowiec pasażerski miał oczekiwać. Wśród zielonych borów, po pełnej wybojów drodze, dostajemy się przed południem na równinę bezludną, około 660 metrów nad poziom morza wzniesioną. Karczma, barak emigrancki z kilkudziesięciu Polakami, w oddali mały zajazd dla podróżnych — oto i całe Porto Amazonas, przechrzczona przez naszych Maćków na „fort Mazanka”. Pośród gór, lasem sosnowym pokrytych, szukamy na próżno rzeki: łożysko jej bowiem tworzy głęboki i wąski parów, całkowicie wśród falistej okolicy ukryty. Rzeka Y-guassu (wielka woda) jest wąska, lecz głęboka, źródła jej leżą na łąkach obok Curitiby, skąd rzeka płynie na zachód, łącząc w sobie połowę wód całej prowincji, i wpada do Parany na granicy paragwajskiej wprost osady Takurupukú, tworząc o pół mili przed ujściem wspaniałe wodospady (*saltos de Y-guassu*), przewyższające o wiele pięknoscią swoją Niagarę. Wodospad składa się z kilku progów, z których najwyższy ma 80 metrów. W górnym swym biegu Y-guassu posiada prąd bystry, lecz jest łatwo dostępna dla żeglugi. Parowce dochodzą do Porto Uniao, przy ujściu Rio Negro, która również aż do kolonii tego imienia jest splawna. Dalszy bieg rzeki od Porto Uniao do katarakty nie jest jeszcze znany.

ROZDZIAŁ VIII

²⁰⁰fornal — robotnik rolny w folwarku, zwłaszcza obsługujący konie robocze. [przypis edytorski]

Odjazd na Y-guassu. Niewygodne pomieszczenie. Nocleg w lesie. P. Maravalho. Rio dos Patos. Przybycie do Sao Matheo. Serdeczne przyjęcie. Obraz kolonii. Zmiana tonu p. Maravalho.

W przystani oczekują dwa małe i bardzo liche parowce kołowe. Jeden z nich jest pod parą, naładowany po brzegi towarami, nazywa się „pasażerskim”. O jakiegokolwiek kajucie mowy nie ma. Okazuje się, iż na tej bardzo ograniczonej przestrzeni, nieposiadającej zresztą ani ławki, na stolka²⁰¹, ma się pomieścić 60 emigrantów i 8 pasażerów. Wydaje nam się to zrazu niewykonalne, przy dobrych chęciach jednak pomiędzy pakami i beczkami z cukrem, naftą, mąką i spirytusem wszyscy wcisnąć się zdołali. Dla honoratorów oczyszczono rodzaj skrzynki przy samym piecu, oddzielonej od emigrantów kawałkiem żagli, gdzie na przestrzeni 6 metrów kwadratowych 8 osób przez trzy dni mieścić się miało.

Jadący z nami Brazylijanie, jako już doświadczeni, podróżują wraz z kulbaką i pościelą; zaopatrzeni są również w żywność na cały czas podróży, tj. suszone mięso i tapiokę²⁰². Emigrantom również na dwa dni wydano żywność: mięso suszone, okrasę, *feijao* i ryż.

Nie przeczuwając wcale, jak długą podróż mamy przed sobą, wybraliśmy się dość lekko z kawałkiem befsztyka i parą bułek w nadziei, iż na wieczór staniemy w Rio dos Patos, płonnej niestety.

Kapitan oświadczył wprawdzie, iż tylko na nas czekał, pomimo jednak iż przybyliśmy o jedenastej, statek zaledwie o trzeciej po południu odbił od brzegu.

Kapitan statku, Anglik, pełniący zarazem funkcję maszynisty i palacza, oświadcza mi, iż otrzymał rozkaz czekania na nasz przyjazd, dalej, iż p. Zaporski rozminął się z nami, odjechawszy właśnie do Curitiby łądem, wreszcie, iż na spotkanie nasze ma wyjechać szalupa rządowa, do której przesiąść się mamy. Rzeczywistość jednak wyglądała mniej różowo.

Szeroka dolina rzeczna, porosła wierzbą (*Salix humboldtiana*) i aroerą (*erythrina*), wije się wśród wzgórz araukariowym borem porosłych; czasami kępa mirtów lub kawał mokrej łąki, ostrą, wysoką trawą (*cortadera*) porosłej.

W charakterze komisji inspekcyjnej, jaki nam zachowanie się władz kolonialnych nadało, otrzymujemy miejsce najlepsze, tj. parę metrów sześciennych przestrzeni, oczyszczonej pomiędzy stosem pak i beczek. Miejsce to wystarczyłoby od biedy dla jednego, ale we trzech nawet pokotem położyć się tam niepodobna, ponieważ zaś pokładu nie ma, lokujemy się na dachu, ryzykując zawalić blaszaną, cienką pokrywkę statku.

Na brzegu rzeki poważnie siedzą duże, ociążałe *capivary* (*Hydrochoerus capibara*)²⁰³, nawet na strzał karabinowy nieruszające się z miejsca; nad głowami przelatują liczne zimorodki, białe czaple i kormorany. Z rzadka szalas brazylijskiego osadnika lub łódź z jednego kłoca wyciosana, napelniona towarami, ożywiają krajobraz.

Zaledwie godzinę jesteśmy w drodze, naraz: stój! Parowiec przybija do brzegu i wypuszcza parę. Pytamy, co się stało? — Zabrakło opału, więc kapitan, sternik, majtkowie i część pasażerów wysiada z siekierami do lasu. Najlepszy opał stanowią nadzwyczaj ciężkie, mocno smoliste i twarde jak żelazo, stożkowate sęki araukarii, które się w próchnie rękami wybiera — palą się równie dobrze jak węgiel kamienny.

Rozpalwszy ogień, jedziemy dalej, aby manipulację tę powtarzać stale co parę godzin. Na noc przybijamy do brzegu.

W jednej chwili gromadka emigrantów zabrała się do pracy, stuk polskich toporów echem rozległ się po puszczy i niezadługo olbrzymie ognisko wysokim snopem isker buchnęło, oświecając krwawą luną snujące się sylwetki parobczaków w kujawskich kantankach, dziewczuch i bab z garnkami, warzących wieczkę. Jakaś dziewczucha spod Włocławka była do głębi oburzona marnotrawstwem mirtu, którego spore drzewko ścięto na opał. „Jezus Maryja! a dyc u naszej dziedziczki to w doniczce się chowa, a wy to tak marnujeta” ... Śmiechy, żarciki i gwar do późnej nocy panują.

²⁰¹ *na stolka* — tak w źródle; zapewne powinno być: ani stolka. [przypis edytorski]

²⁰² *tapioka* — rodzaj kaszy wyrabianej ze skrobi uzyskanej z bulw manioku jadalnego. [przypis edytorski]

²⁰³ *capivary* (*Hydrochoerus capibara*) — w ob. klasyfikacji: *Hydrochoerus hydrochaeris*, kapibara, lądowo-wodny gryzoń mieszkający w Ameryce Płd; kapibara wielka jest największym z żyjących gryzoni (do 65 kg). [przypis edytorski]

Zawijam się w ciepłą burkę²⁰⁴ czerkieską, wśród gwaru polskich śpiewek dolatujących od ogniska, i słucham gawędy starego nudziarza, niejakiego Robaczkiwicza, stelmacha²⁰⁵ z Wierzbinka na Kujawach, który, zapomniawszy snadź, że się nie znajduje nad Wisłą, opowiadał mi przeróżne ploteczki o jednym z moich kolegów z uniwersyteckiej ławy i całej okolicy wrocławskiej, nie domyślając się nawet, że znam wszystkie osoby jego opowiadań. W tej atmosferze swojskiej, wśród boru sosen i wierzb płaczących na brzegu, zasnąłem twardo, marząc o swoich, dopóki przenikliwy chłód poranka i świst żalony parowca mnie nie zbudziły. Ranek mamy chłodny i słotny, termometr wskazuje +10° C. Głód i zimno dokuczać poczynają, wiatr przejmujący przez burkę czuć się dawał.

O świcie wyruszamy w dalszą drogę, przystając co parę godzin dla nabrania drzewa. Około jedenastej spotykamy szalupę rządową, jak się dowiedziałem później, przez p. Zaporskiego umyślnie po nas wysłaną. Zastępca wszakże p. Z., p. Luis da Maravalhos, bardzo mało okazał się uprzedzający, uważając nas za rewidentów rządowych, przysłanych z Rio Janeiro dla sprawdzenia jego czynności — a snadź sumienie jego nie było zbyt czyste. Zaprosił nas wprawdzie do szalupy, a razem z nami i kilku Brazylianów sobie znajomych, uczynił to wszakże jakby z łaski, pozostawiając nam odbycie dalszej drogi od Rio dos Patos na nieznośnym parowcu „pasażerskim”. Bardzo niechętnie pokazał mi niektóre z żądanych przeze mnie ksiąg rachunkowych i poczęstowawszy mnie filiżanką kawy, przypomniał, że parowiec niezadługo odejdzie... Cóż było robić, upoważnienia do korzystania z szalupy rządowej w rękę nie mieliśmy, więc *il fallait faire bonne mine à mauvais jeu*²⁰⁶ — zaspokoiwszy głód u kupca w Rio dos Patos miską jajecznicy i zakupiwszy na dalszą drogę nieco ryżu, odjechaliśmy dalej.

Z nudów zabawiamy się polowaniem, postawiwszy kilku chłopaków na widecie²⁰⁷, aby nam o spostrzeżonej z daleka zwierzynie donosili. Za każdą upatrzoną sztukę dostawali pomarańczę. Uciecha stąd wielka. Ofiarami naszych zapędów nemrodowskich²⁰⁸ padło kilka kapiwarów, z klasycznym spokojem siedzących nad wodą o kilkanaście kroków od przechodzącego z hałasem parowca. Żadnego z nich wszakże dostać nie możemy, bo wpadają do wody, a ciężkie ich cielsko tonie natychmiast. Hempel zabił dużego wyjca, Łażniewski lisa płynącego przez rzekę, których musimy porzucić, gdyż kapitan przystanąć nie chce.

Ptastwa wodnego mało na rzece, z wyjątkiem kormoranów, bardzo czujnych, oraz białych czapeł; raz tylko jeden spotkaliśmy jakąś wielką kaczkę. Z innych ptaków widziałem penelope²⁰⁹ (*gallinha do matto* = kura leśna) i trzy gatunki zimorodków. Te ostatnie są najpospolitsze.

Nocujemy znowu w lesie przy ognisku, noc zimna, słotna; w oddali grzmi i błyska. Nad ranem ruszamy dalej i bez przygód dalszych po południu stajemy nareszcie w S. Matheo, u celu naszej żeglugi, serdecznie przyjęci przez zastępcę p. Zaporskiego, młodego chłopaka imieniem Paulo de Albuquerque Marcondes, który odtąd miał nam we wszystkich wycieczkach po okolicy nieodstępnie towarzyszyć, dostarczyć koni wierzchowych i wszelkich przez nas żądanych wyjaśnień udzielić.

Kilkunastomorgowy plac, pokryty zwęglonymi pniami, świeżo wydarty dziewiczej puszczy, ma być zawiązką miasta S. Matheo, czyli Kolonii Maria Augusta. Dzisiaj przyszło to *miasto* leży na wysokim, lecz niezbyt spadzistym brzegu Y-guassu, wśród świeżej poręby, którą jeszcze nawet w połowie z powału i opalonych pniaków oczyścić nie zdołano, wśród dymiących zgliszcz dziewiczej puszczy araukarii i *imbuyas*.

Trzy sklepy uniwersalne dostarczające kolonistom, na kredyt robocizny rządowej, żywności, odzieży i narzędzi potrzebnych (na jednym z nich, Bodziaka i Flizykowskiego, powiewa amarantowo-biała chorągiew), kancelaria zarządu na wzgórzu, trzy rozpoczęte domy drewniane, plac oczyszczony pod budowę kościoła i plebanii, stopy desek i belek

Emigrant

²⁰⁴*burka* — dawne wierzchnie okrycie z grubej tkaniny, rodzaj obszernej peleryny z kapturem, zwykle używanej podczas podróży. [przypis edytorski]

²⁰⁵*stelmach* (daw.) — rzemieślnik wyrabiający drewniane wozy i części do nich. [przypis edytorski]

²⁰⁶*il fallait faire bonne mine à mauvais jeu* (fr.) — trzeba robić dobrą minę do złej gry. [przypis edytorski]

²⁰⁷*wideta* (daw.) — posterunek, warta, czujka. [przypis edytorski]

²⁰⁸*nemrodowski* — przen.: myśliwski; od imienia Nemroda, biblijnego prawnuka Noego, sławnego myśliwego. [przypis edytorski]

²⁰⁹*penelopa* — rodzaj dużego ptaka grzebiącego, występującego w Ameryce Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

obrobionych, barak dla emigrantów i szereg podwójny szałasów, mieszczących kilkadziesiąt rodzin polskich, oczekujących na wydzielenie sobie gruntów — oto spis dokładny całego miasta w jego składzie obecnym, pociętego na szachownicę przez proste ulice, noszące już swoje nazwy, jak: plac Kościelny, ul. Dra Carvalho etc. Z lasu donosi się odgłos toporów cieśli, obrabiających drzewo na budowę kościoła; gromadki ludzi pracują przy budowie trzech wyżej wymienionych domów; reszta tłoczy się przed barakiem, przyglądając się nam z ciekawością i nieufnością zarazem. Baby tylko, zajęte gotowaniem stawy, nie opuszczają ognisk, pomiędzy dwoma rzędami szałasów rozpalonych.

Dostajemy wygodne pomieszkowanie w domu administracji, wikt u p. Bodziaka na rachunek komisji kolonizacyjnej i od następnego dnia zaczynamy wycieczki celem poznania okolicy i kolonistów.

Od *miasta* rozchodzą się promienisto w głąb puszczy cztery szerokie i wygodne gościńce, przechodzące przez środek czterech kolonii polskich: Tacuaral, czyli nucleo dr Carvalho, Canoas v.²¹⁰ nucleo Zaporski; Cachoeras (nucleo Villeroy) i Y-guassu (nucleo comendador Costa), spolszczone przez kolonistów na Iglaszów.

Kolonia Tacuaral przez kolonie również Polakami obsadzone: Rio do Meio i Agua Branca („Abramka” lub „za bramką” w ustach kolonistów), łączy się z Rio dos Patos, zaś kolonia Y-guassu prowadzi do nowo zakładanej kolonii Rio Claro, o dzień drogi dalej w dół rzeki, w regionie dzisiaj jeszcze w posiadaniu dzikich Indian (Bugrów v. Botokudów) będącym.

Ogółem podług narodowości mieści się w kolonialnej grupie S. Matheo 228 rodzin polskich, 14 hiszpańskich, 19 niemieckich, 18 brazylijskich *cabocos*, dawniej tutaj osiadłych, posiadających gaje *mate*, czyli *hervales*.

Rodzaj gleby i roślinność nie różnią się od S. Barbara pomimo niższego nieco położenia, a o ile sądzić można z roślinności, nie ma różnicy klimatycznej. Przypisać to należy wyjątkowemu położeniu stanu Paran, odgraniczonego od gorących wiatrów płnocnych i wschodnich wysokimi pasmami gr, gdy przeciwna strona, poudniowo-zachodnia, jest otwarta ku pampie argentyńskiej, ktrej zimne wiatry tutaj dochodz. Std fakt oryginalny, e gdy znacznie dalej na poudnie, w okolicach Porto Allegre, trzcina cukrowa dobrze si udaje, a w okolicy Blumenau istniej plantacje kawowe, w caym stanie Paran z wyjtkiem wskiego pasma pomorskiego udaje si najlepiej yto, jczmie, *mas*, kartofle i wino. Temperatura w lecie dochodzi do 40 C w slncu, w zimie do 5 poniej zera. Sta cech klimatu tutejszego s, jak w Argentynie, nadzwyczaj szybkie zmiany temperatury. Spadek termometru o 15–20% w przecigu kilku godzin nie naley do osobliwci. Krajowcy, oswojeni z klimatem, s nieczuli na te zmiany, chodzc w płnago, emigrantom europejskim wszake daj si one mocno we znaki, a wielu gorzko aluje, e kouchy w domu zostawili, zawierzwszy opowieciom o nadzwyczajnych upaach brazylijskich.

Pierwotnymi osadnikami w S. Matheo byli Hiszpanie, ktrych sprowadzono tutaj 120 rodzin przed rokiem. Dzisiaj pozostao ich tylko 11, reszta ucieka, opuszczajc kolonie, nie mogc podoac zbyt dla nich cikiej pracy przy karczunku odwiecznego boru.

Stan kolonistów ju osiedlonych zastalmy wszdzie dobry; pracuj zapamitane i nie ma ani jednego, ktry by chocia 1/2 morga yta nie mia zasianego; wikszoc posiada po 1–2 morgi uprawne, a wielu ma ju wsne warzywa — kapust, kartofle, saat i brukiew.

Jak wszdzie w Brazylii, przewana wikszoc wychodcw polskich pochodzi z guberni pockiej i warszawskiej; duo spotyka si te robotnikw fabrycznych z Łodzi, Tomaszowa, yrardowa; troch Podlasiakw i Litwinw.

Do ciekawszych typw nale dwa osobniki: jeden, niejaki Kicki, mienicy si synowcem²¹¹ generaa, eks-fajerwerker²¹² artylerii, eks-piekarz i eks-rzdca domu dra Sznala w Warszawie, przyby tutaj z niejakim zapasem pieninym i prbuje zabawi si w „obywatela”, klnc „chamw”, ktrych najmuje do roboty — wpi bardzo, czy mu si taka gospodarka opaci. Drugi — gajowy z bialowieskiej puszczy, stary olnierz kaukaski, typ

²¹⁰v. — tu: skrt od łac. *vel*: lub, czyli. [przypis edytorski]

²¹¹*synowiec* (daw.) — syn brata, bratanek. [przypis edytorski]

²¹²*fajerwerker* (z niem.) — dawny stopnie podoficerski w artylerii. [przypis edytorski]

żywcem z akwareli Fałata²¹³ wykrojony. Pierwszym sprawunkiem jego w Brazylii była strzelba, a pierwszą troską w S. Matheo: czy jest w lesie zwierzyna...

Po kilkudniowym pobycie naszym w S. Matheo zawinęła do przystani szalupa rządowa wioząca p. Maravalho we własnej osobie wraz z depeszą od szefa kolonii, oddającą szalupę pod nasze wyłączne rozkazy. Szanowny p. Maravalho zmienił swoje postępowanie naraz do niepoznania: o ile przedtem był zimny i niegrzeczny, o tyle teraz sam siebie prześciga w grzecznościach i obietnicach, prosząc tylko o pozwolenie powrócenia do Rio dos Patos szalupą, którą zresztą przywiózł liczne grono dam na spacer, umiejac połączyć własną przyjemność z posłuszeństwem rozkazowi swojej władzy. Zezwalam wspaniałomyślnie z warunkiem, aby szalupa nazajutrz z rana znajdowała się w S. Matheo, i wyprawiamy tego wieczora bal emigrantom w jednym z budujących się domów, przy odgłosie własnej miejscowej kapeli, złożonej ze skrzypiec i trąbki. Obecni na balu Brazylianie kupcy, nb.²¹⁴ utytułowani (w Brazylii co drugi obszarpaniec jest markizem, a co trzeci baronem), z galanterią sunęli prosić do tańca bose Kaški i Maryški i wywijali oberka nie gorzej od kujawskich parobczaków, z tą tylko różnicą, że w obecności dam zawsze odkrywali z rycerską galanterią głowy. Ochoty nie brakło, „szły wiechcie z butów, a wióry z podłogi”, jak mówi krakowska piosenka, a bal ten w szarej doli emigrantów w S. Matheo długo jeszcze po naszym wyjeździe stanowił epokę.

W kolonii S. Matheo przyjęty został system praktyczny tymczasowego pomieszczenia wychodźców nie w barakach ogólnych, lecz w szałasach bambusowych oddzielnych dla każdej rodziny. Baraki obszerne stoją zwykle pustkami, emigranci bowiem, pomimo pewnych stron ujemnych szałasów, wolą być gospodarzami u siebie aniżeli mieć pomieszkanie wspólne. Szalasy te ze względów sanitarnych co parę miesięcy bywają palone. Wielkość nadziałów, zarobki i system żywienia ten sam, co na S. Barbara. Suma wypłat miesięcznych za roboczną dochodzi do 10 000 milreisów. Ceny żywności bardzo wygórowane. Śmiertelność dość znaczna, nie daje wszelako miary o istotnej zdrowotności klimatu, wielu bowiem przybywa tutaj już chorych z hotelów emigranckich w Curitiba, a brak opieki lekarskiej (aptekarza bowiem Portugalczyka, udzielającego porad w biurze zarządu, nie liczę) i nieodpowiednie żywienie chorych do tego się przyczynia. Od założenia kolonii, tj. w przeciągu jednego roku, z ogólnej liczby 1647 przybyłych umarło 134.²¹⁵

Ponieważ okolice S. Matheo już dawniej przez brazylijskich *cabocłów* była zamieszkała, nie ma tu już ani zwierząt drapieżnych, jak w ogóle mało zwierzyny; Indianie również się nie pokazują.

Inaczej wszakże stoją rzeczy na bardziej ku zachodowi wysuniętej kolonii Rio Claro, którą założono już po moim wyjeździe. Nierazkim jest tam jeszcze straszliwy czarny jaguar, którego się *cabocle* jak ognia boją. Jeden z włościan, spotkawszy go na drodze, jakkolwiek miał strzelbę nabitą w rękę, w przekonaniu, że to sam diabeł „ten srogi bydlak, co to niby wygląda jak kot, a je wielgi jak kuń”, rzuciwszy broń, zaczął odmawiać litanie do Matki Boskiej. Jaguar chwilę się nań popatrzył, oblizał się, ogonem po bokach uderzył i znikł w zaroślach. Z ludźmi wypadków dotychczas nie było, jaguary bowiem, tak samo jak tygrys indyjski, tylko wtedy dla ludzi bywają groźne, gdy przypadkowo skosztowały ludzkiego mięsa.

Z drobnych szkodników, duszących kury, wymienić należy skunksa (*Galictis barbara*)²¹⁶ i ocelota (*Felis pardalis*)²¹⁷. Z pożytecznej zwierzyny zdarzają się: tapir, czyli anta

²¹³Fałat, Julian (1853–1929) — jeden z najwybitniejszych polskich akwarelistów; wśród jego obrazów dominują sceny myśliwskie, dzikie zwierzęta i pejzaże. [przypis edytorski]

²¹⁴nb. — skrót od: *notabene*, zwrotu wprowadzającego ważną wtrąconą informację, używanego w znaczeniu: „warto zaznaczyć”. [przypis edytorski]

²¹⁵brak opieki lekarskiej... — po wyjeździe moim lekarzem w S. Matheo został aptekarz Polak, p. Sztencel z Kalisza. [przypis autorski]

²¹⁶skunksa (*Galictis barbara*) — w ob. klasyfikacji: *Eira barbara*, hirara amerykańska, drapieżny ssak z rodziny lasicowatych, występujący w lasach Ameryki Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

²¹⁷ocelota (*Felis pardalis*) — w ob. klasyfikacji: *Leopardus pardalis*, drapieżny ssak z podrodziny kotów. [przypis edytorski]

(*Tapirus americanus*)²¹⁸, pekkari (*Dicotyles torquatus*)²¹⁹, zwany *tateto* i kryjący się w norach, gdzie nań z lancami polują, dzik (*Dicotyles labiatus*)²²⁰, zwany *porco to matto*, i dwa gatunki najpospolitsze małp; kapucynka (*Cebus capucinus*) i wyjec (*Mycetes caraya*)²²¹, zwany *macaco*, którego rozdzierające uszy koncerty, podobne do skrzywienia setki kół niesmarowanych, codziennie o zachodzie słońca słyszeć można, wreszcie świnka wodna, czyli kapiwara (*Hydrochoerus capibara*) i mrówkojad grzywiasty (*Myrmecophaga jubata*). Z ptactwa są w wielkiej obfitości przeróżne papugi, z rodzajów *Ara*, *Chrysotis* i *Conurus*, indyk leśny, zwany *jacaranda* (*Urax galeata*) i penelopy, na łąkach — dubelty i kuropatwy. Wodnego ptactwa natomiast mało. O obecności sarn słyszałem od *cabocłów*, zdaje się, iż będzie to gatunek nieznany jeszcze, którego żywy okaz widziałem później w Paragwaju, wielkości naszej kozy i ciemnoczekoladowej barwy.

Lecz wracam do S. Matheo.

9 września odjechaliśmy do Rio dos Patos, v. Palmyra, odprowadzani przez całą ludność kolonii, wśród wiwatów i salw z dubeltówek.

Stanęliśmy tam na noc, przyjęci tym razem bardzo uprzejmie przez p. Maravalho, który na nas czekał z sutą wieczerzą, własne pomieszkanie i łóżka na nocleg nam odstąpił, a księgi urzędowe do dyspozycji naszej przedstawił; jednym słowem przechodził sam siebie w uprzejmości.

Nazajutrz objechaliśmy konno całą kolonię, znacznie mniej od S. Matheo naprzód posuniętą. Drogi są zaledwie wycięte, niewykarczowane jeszcze i dla wozów dotychczas niedostępne; wiele działek nie posiada domów, a to z powodu, iż pan Maravalho nie pozwala kolonistom samym sobie chałupy stawiać, aby im przynależnych 120 milreisów nie wypłacać. Cieśle brazylijscy bowiem robią na akord taniej, a nadwyżkę szef do kieszeni własnej chowa. Widziałem np. dobrego stolarza, który warsztat swój założył w szałasie, nie mogąc się wprowadzić do domu, wcale niezdatnego na mieszkanie... Koloniści natomiast pracują z gorączkowym pośpiechem na swoich porębach i wielu posiada już po kilka morgów zasianego pola.

Gleba, jak wszędzie nad Y-guassu, żyzna i do uprawy wszelkich zbóż europejskich zdatna.

Spomiędzy 160 rodzin polskich znajdujących się w Rio dos Patos 87 było osiedlonych, reszta zaś mieści się w szałasach tymczasowych w pobliżu kancelarii. Wyплаты miesięczne za robociznę (właściwie kupcom za żywienie emigrantów), wynoszą 5–7 tysięcy milreisów. Znalazłem pomiędzy innymi dokumentami dwa rachunki dostawcy, jeden opiewający na 175 milreisów, za kury i wino dla chorych, które zjedli i wypili urzędnicy, żaden chory bowiem nigdy ich nie oglądał; drugi za jednodniową żywność dla 95 emigrantów przewożonych statkiem do S. Matheo, opiewający na 125 milreisów, tj. przynajmniej dwa razy wyższy od istotnej wartości wydanych emigrantom produktów spożywczych; normę bowiem zwykłą porcji emigranta stanowi wartość 500 reis na osobę. Walka z podobnego rodzaju nadużyciami jest bardzo trudna z powodu, iż tłuste posady urzędników kolonizacyjnych obsadzone są przeważnie przez ludzi posiadających „protekcję” u góry, która im zupełną bezkarność zapewnia.

Ceny żywności bardzo wygórowane, też same zresztą, co w S. Matheo, mianowicie:

- 1 litr fasoli czarnej — 100–200 reis
- 1 litr ryżu — 160 reis
- 1 kg mąki pszennej — 400–500 reis
- 1 litr mąki kukurydzianej — 100 reis
- 1 bochenek chleba — 400 reis
- 1 kilogram mięsa — 300 reis
- 1 kilogram okras — 1000–1200 reis
- 1 kilo cukru — 400 reis

²¹⁸tapir, czyli anta (*Tapirus americanus*) — w ob. klasyfikacji: *Tapirus terrestris*, roślinożerny ssak nieparzystokopytny z krótką trąbą. [przypis edytorski]

²¹⁹pekkari (*Dicotyles torquatus*) — w ob. klasyfikacji: *Pecari tajacu* a. *Dicotyles tajacu*, pekari obrożny, wszytkożerny ssak, z wyglądu podobny do dzika, żyjący w Ameryce. [przypis edytorski]

²²⁰dzik (*Dicotyles labiatus*) — w ob. klasyfikacji: *Tayasu pecari*, pekari białobrody, wszytkożerny ssak, podobny do dzika, żyjący w Ameryce, większy od pekari obrożnego. [przypis edytorski]

²²¹wyjec (*Mycetes caraya*) — w ob. klasyfikacji: *Alouatta caraya*, wyjec czarny. [przypis edytorski]

1 kilo kawy — 2000 reis

1 litr soli — 200 reis

Za gotówkę u *cabocłów* można produkta te nabyć znacznie taniej.

Koloniści skarżą się na liczne nadużycia podwładnych urzędników (*feitores*) i samego Maravalho; zwłaszcza za wiele sobie pozwala policja konna, złożona z Murzynów, a uzbrojona w *foiçy* i noże, którą się tchórzem podszyty szef z obawy przed doraźnym wymiarem sobie sprawiedliwości otacza. Z gagatkami tymi osobiście miałem zajście, gdy mi chcieli gwałtem przeszkodzić rozmawiać z wychodźcami. Musiałem aż dobyć rewolwera i zagrozić, że zeń zrobię użytek, aby mi dali spokój. W kilka miesięcy później, gdy Maravalho został przeniesiony do Rio Claro, gwardia jego pokaleczyła wielu ludzi, a nawet zabiła na śmierć niejakiego Skotarskiego.

Po raz pierwszy spotykam tutaj wychodźców z Poznańskiego, z okolicy Inowrocławia. Byli to jedyni ludzie oprócz Litwinów, którzy okazywali zupełne zadowolenie ze swego losu. Gdym jakiegoś Poznańczyka, siwego już jak gołąb, zapytał, czy mu praca przy karczunku za ciężką się nie wydaje, odpowiedział mi wesoło: „A gdzieżby się lepszą ziemię, jak nie na porębie, znalazło!”

Dwunastego wieczorem stajemy w Porto Amazonas, minąwszy w drodze parowiec z partią kilkudziesięciu emigrantów polskich. W barakach portu zastaliśmy ich jeszcze kilkuset, pod wodzą p. Dublasiewicza z Płońska, oczekujących swojej kolei. Wszyscy są zapisani na S. Matheo. Opowiadają nam o fortelach, jakich używał tłumacz w Parana-gua, aby ich skłonić do osiedlenia się na gorącym pomorzu i zachwiać zaufanie, jakie wychodźcy mieli do nas.

Wielka capibara, ważąca 150 funtów²²², którąśmy zabili po drodze, idzie na kolację do kociołków emigranckich. Wielu się waha, czy mają jeść to mięso, nie mogąc rozstrzygnąć zoologicznej kwestii, czy to jest wodna świnia, czy też taki wielki szczur wodny. Dajemy przykład i capibara szybko znika w żołądkach emigranckich.

Powrót nasz do Curitiby nie był zbyt wygodny. Dostawszy się do San Luis wynajętym wózkiem parokonnym po haniebnej drodze, zastaliśmy dyliżans szczelnie zapełniony, a za wynajęcie koni oberżysta żądał skromnej sumki 55 milreisów. Złożywszy tedy pakunki nasze na przechodzącą tamtędy brykę frachtową, sami udaliśmy się do Campo Largo, tj. o cztery mile, piechotą. W miasteczku znaleźliśmy już bez wielkiej trudności wózek Niemca kolonisty, służący zwykle do wożenia kartofli, i parę dobrych koni. Późną nocą stanęliśmy, jednocześnie prawie z dyliżansem, w Grand-Hotelu stolicy.

ROZDZIAŁ IX

Odjazd z Curitiby. Bal ligi Ordem e Progresso. Kolonie polskie i niemieckie w stanie S. Catharina i Rio Grande do Sul. Bugry. Sao Francisco. Itajaby. Desterro. Rio Grande do Sul.

Czas, któryśmy mieli do rozporządzenia, zbliżał się ku końcowi, pieniędzy zaczynało braknąć, tymczasem wiadomości dochodzące nas z Rio Negro i stanu S. Catharina, wielce niepokojące, wymagały sprawdzenia koniecznie na miejscu. Postanawiamy przeto rozdzielić się: odjeżdżam wprost do Buenos Aires, towarzysze zaś moi mają dotrzeć lądem przez Rio Negro, Sao Bento i Joinville do Blumenau i za parę tygodni ze mną się połączyć.

Wielki bal polityczny, wydany na cześć naszą przez ligę cudzoziemską Ordem e Progresso, zmusza nas do powstrzymania na dni kilka naszego wyjazdu, dając nam jednocześnie sposobność wejrzenia nieco bliższego w tutejsze stosunki polityczne.

Liga, która przyjęła sobie za godło dewizę brazylijskiej chorągwi, gdzie takowa na ironię zakrawa, łączy wszystkich cudzoziemców bez różnicy narodowości, naturalizowanych w Brazylii, z wielką wszakże przewagą żywiołu germańskiego. Poszczególne narodowości bez względu na ilość członków posiadają równe w towarzystwie prawa i przy wyborach równą ilością głosów rozporządzają. Jedni tylko Włosi trzymają się od ligi na uboczu.

²²²*funt* — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

Celem ligi jest zdobycie dla cudzoziemców jak największej liczby mandatów poselskich na sejm krajowy i walka z nieładem brazylijskiej administracji. Dotychczas udało się przeprowadzić wybór pięciu deputowanych ligi. Ponieważ jednak Niemcy w Curitibie sami są zbyt słabi bez poparcia wyborców wiejskich, przeważnie Polaków, starają się przeto ich wszelkimi sposobami do siebie przywabić. Bal dla nas wydany, na którym był nawet jeden pan we fraku, a dość nadobne córki stolarza Hauera w balowych toaletach i rękawiczkach, jest wielką manifestacją polsko-niemieckiej przyjaźni na gruncie brazylijskim. Po tańcach wniesiono mównicę i posypały się mniej lub więcej gorące programowe oracje i wiwaty, na które wypadało odpowiadać wśród wrzawy oklasków i grzmiących „hoch!”²²³. Owoce tej politycznej przyjaźni są dzisiaj już niezaprzeczane, a w braku odpowiednich kandydatów polskich prezes ligi p. Bertold Adam i redaktor organu tego stronnictwa — „Der Beobachter” — Schneider, są rzecznikami i obrońcami interesów ludności polskiej w sejmie i wobec opinii publicznej, odpierając oszczerstwa i potwarze, miotane przez gazety brazylijskie na polskich wychodźców od czasu bytności p. Dygasińskiego.

Zanim opuścimy ład brazylijski, uważam za stosowne uzupełnić obraz kolonii polskich w Paranie i stanach sąsiednich, na podstawie informacji moich towarzyszy oraz osób wiarygodnych.

W stanie Parana oprócz zwiedzanej przez nas głównej grupy nad Y-guassu istnieją jeszcze luźne rozsiane wśród Włochów i Brazylijanów osady polskie w pobliżu miast Ponta Grossa i Castro oraz w dolinie rzeki Tibajy²²⁴ (kolonia Adelaida). Ku południowi zaś od Curitiby, wzdłuż budującej się kolei, rozlega się druga, wielka grupa kolonii polsko-niemieckich, łącząca Curitibę ze stanem Sta Catharina.

Plaskowyż, na którym leży Curitiba, ciągnie się bez zmiany ku południowi aż do krańcowego punktu nowej kolei, miasteczka Lapa, położonego na wysokości 1000 metrów nad poziomem morza, wśród bezleśnego kampu. Dalej ku południowi teren zniża się nieco w dolinie rzeczki Rio Avajem (Rio Varzea na niektórych mapach)²²⁵ do 810 metrów, po czym wkraczamy już w region leśny, przeważnie araukariowy. Dział wodny pomiędzy Rio Avajem i Rio Negro jest 1100 metrów wysoki (Alto do Sao Benedicto). Dolina Rio Negro, stanowiąca granicę spornego terytorium pomiędzy stanami St. Catharina i Paraná, posiada przy kolonii tego imienia wysokość 860 metrów i spadek ku zachodowi, wpadając do Y-guassu w pobliżu Rio Claro.

Miasteczko Rio Negro, liczące ze 30 domów, dość ruchliwe z powodu przeprawy przez rzekę (na promie) transportów *bery mate*, mieści zarząd świeżo założonych kolonii w tej okolicy, w których towarzysze moi zastali stan rzeczy opłakany, bardzo daleki od wzorowego urzędzenia kolonii nad Y-guassu położonych. Przed kilku tygodniami zmieniony z powodu nieporządków zarząd wraz z nowym swym szefem, p. Trajano Brasil, nie pofatygował się nawet zajrzeć do kolonii Lucena, odległej od biura zarządu o całych mil siedem. W barakach Rio Negro mieści się kilkuset ludzi natłoczonych, dziesiątkowanych przez tyfus i dyzenterię. Szpital, położony na lewym brzegu rzeki, nie odpowiada elementarnym wymaganiom sztuki lekarskiej. Lekarz odwiedza go zaledwie raz na tydzień. Piękne projekta wystawienia nowego lepszego szpitala spełzły na niczym dla braku funduszy; żywność pogorszyła się — wychodźcy nie otrzymują wcale mięsa (rząd żywi ich w barakach swoim kosztem); wypłaty za robociznę spóźnione o całe pół roku.

Najbliższej miasta leży kolonia austriacka Bukowina, na prawym brzegu rzeki, istniejąca od lat 5, złożona z Galicjan, Niemców i Rumunów. Stan kolonii w ogóle dobry.

Nowe osady ze względów politycznych, celem stworzenia „faktu dokonanego” w kwestii sporu granicznego z prowincją sąsiednią, założono na lewej stronie rzeki, o siedem mil w głąb kraju, na południe od miasteczka Rio Negro.

Główna kolonia, nazwiska Lucena, leży pomiędzy rzekami Rio Magrinho i Rio Petreira, wpadającymi do Rio Negro od południa, na wysokości 1020 metrów. Charakter lasu podobny jak w Paranie, pospolitą jest *mate*, rzadziej natomiast spotykają się araukarie.

²²³hoch! (niem.) — tu: niech żyje, wiwat. [przypis edytorski]

²²⁴Tibajy — dziś popr.: Tibaji a. Tibagi, rzeka w pld. Brazylii, dopływ rzeki Parapanema. [przypis edytorski]

²²⁵Rio Avajem (Rio Varzea na niektórych mapach) — dziś: Rio da Varzea, rzeka w pld. Brazylii, lewy dopływ rzeki Urugwaj. [przypis edytorski]

Lucena jest środkowym punktem (*nucleo urbano*) kolonii wiejskich, rozchodzących się na wszystkie strony, a mianowicie: S. Antonio, S. Pedro, S. Joao i Apolonia. Ogólna ilość wymierzonych *lotes* wynosi 300, rozdanych kolonistom — 180, naprawdę zajętych — tylko 80. Koloniści niechętnie tu się udają i opuszczają nadane sobie grunta z powodu utrudnionej wielce komunikacji, braku żywności i zarobku oraz krzyczących nieporządków w administracji. Po odjeździe naszym zmieniło się tu tak wiele na lepsze, gdy szefem kolonii został mianowany p. Balon, poprzednio dyrektor kolonii Rio Claro, człowiek ludzki i przez emigrantów lubiony. Kolonistów wysyłają na mułach, pozostawiając ich w barakach Luceny; dalszy transport do nich samych już należy. Żywność dostawali zrazu na dni 15, obecnie, tylko na 7 1/2. Roboty przy drogach, dającej im gdzie indziej możliwość przeżywania się do pierwszego żniwa, tutaj nie mają z powodu zbyt wielkiej odległości — drogę bowiem doprowadzono tylko o dwie mile na południe od Rio Negro (we wrześniu 1891; obecnie do samej już Luceny wózkami dojechać można), gdzie kilkudziesięciu zaledwie pracującym robotnikom do osobnych baraków żywność dowożą. Dalej w głąb lasu budowa dróg jeszcze nie jest rozpoczęta, koloniści więc, nie znajdując żadnego zarobku, opuszczają nadane sobie grunta i powracają bądź do Rio Negro, bądź do Curitiba.

Kolonia istnieje od maja 1891. Pierwotnie sprowadzono tutaj Niemców, których jednak pozostało już tylko 11 rodzin na miejscu, i Irlandczyków (260 osób), którzy wszyscy powrócili do Curitiba, żądając odesłania do Europy i omal nie zabiwszy przy tym angielskiego konsula. Polacy okazali się najcierpliwszymi, lecz i ci uciekają tłumnie i jeżeli zarząd kolonii nie znajdzie sposobu na zapewnienie tym ludziom bytu do pierwszego żniwa, jak to się praktykuje na innych koloniach brazylijskich, niezadługo kolonia Lucena należeć będzie do przeszłości. We wrześniu 1891 znajdowało się tam około 2000 Polaków.

Wielką przeszkodą dla osadnictwa europejskiego w kolonii Lucena, równie jak w Rio Claro, są Indianie (Bugry), napadający na samotnych kolonistów lub nawet urządzający większe wyprawy wojenne. W okolicy Rio Negro w przeciągu jednego roku napady podobne miały miejsce trzy razy, przy czym wymordowana została jedna rodzina, a dziewięciu kolonistów ścigających Indian z bronią w rękę padło w krwawej z nimi utarczce. Koloniści wskutek tego nie odważają się zapuszczać w lasy pojedynczo, lecz łączą się przy karczunku gromadami po kilka rodzin, na noc zbierają się również sąsiedzi bądź u siebie, bądź w karczmie Kubiaka w Lucenie.

W Rio Negro obecnie buduje się już kościół, a ks. Peters, krakowianin, jest tam proboszczem. Pod administracją p. Balona wiele zmieniło się tutaj na lepsze, podług ostatnich wszakże wiadomości cały zarząd kolonizacyjny w Paranie razem z p. Zaporskim został usunięty, a szefem mianowany Brazylijanin Mendonça, podobno nicpoń wielki. Zresztą wszędzie w całej Ameryce Południowej jest to stałym zjawiskiem, że rządy, a zwłaszcza urzędnicy zmieniają się jak w kalejdoskopie, a z nimi razem i system rządowy, tak iż ktokolwiek na pomoc rządową liczyć musi, nigdy nie jest pewny, co mu jutro przyniesie. W Europie zmiany podobne nazywają się tylko „przesileniami ministerialnymi” lub w najgorszym razie „dymisją gabinetu”, tutaj zaś jest to już „*una revolução*”²²⁶, która wszystko do góry nogami przewraca, aby w parę miesięcy później inna *revolução* odpląciła jej pięknym za nadobne. Toteż mają zupełną słuszność koloniści nasi, że pozwalają się gryźć pomiędzy sobą Brazylijanom i obalać rząd po rządzie, nie przyjmując czynnego udziału w krajowej polityce oprócz chyba popierania przy wyborach ligi Ordem e Progresso, dążącej jawnie do wyrzucenia z Parany zarówno „liberalnych”, jak „konserwatywnych” Brazylijanów. Że im za to Brazylianie wdzięczni nie są, trudno się temu dziwić.

O 40 kilometrów ku wschodowi od Rio Negro, przy ujściu rzeki Rio Preto, leży mała osada tego nazwiska, w której Polak Kamiński posiada *engenho* do mielenia *matei* sklepik spożywczy (*venda*). Przestrzeń między Rio Negro i Rio Preto dość jałowa: gaje araukarii przeplatane kawałami bezleśnego i skalistego kampu. Od Rio Preto znowu droga wchodzi w lasy. Na przestrzeni 45 kilometrów przejeżdża się niemieckie kolonie Lenzol i Oxford i dochodzi wreszcie do Sao Bento, głównej osady tej okolicy. Okręg Sao Bento liczy 900 kolonii, z tych około 300 polskich, wyłącznie z Prus i Galicji.

²²⁶*una revolução*, popr.: *uma revolução* (port.) — rewolucja. [przypis edytorski]

Sao Bento i kolonie okoliczne, założone przez hamburskie towarzystwo kolonizacyjne, należą do osad starszych, mają wiele cech wspólnych z okolicami Curitiby, są wszakże, jak się zdaje, mniej zamożne. Wzniesienie nad poziom morza (1000 m) i plody rolnicze wskazują na klimat podobny do Parany.

Środkowym punktem osad polskich w okręgu Sao Bento jest Bechelbrunn (Rio Vermelho), osada miejska posiadająca dwa polskie sklepiki, młyn etc. i oddalona od S. Bento o 10 kilometrów ku wschodowi. Kolonie polskie noszą nazwy: Wunderwaldstrasse (80 rodzin polskich i 8 niemieckich), Banadostrasse, Bismarckstrasse i Humboldtstrasse. Dwie ostatnie zasługują na szczególną uwagę, ciągną się bowiem w kierunku południowym o trzy mile, schodząc stopniowo coraz niżej do regionów gorących. W górnej części kolonii, w pobliżu Rio Vermelho (850 m), rośnie żyto i kartofle; w dolnej (250 m) banany, trzcina cukrowa i kawa.

Większość kolonistów znajduje się tutaj od lat kilkunastu, dostawszy po przybyciu na miejsce po 100 morgów pruskich lasu i zarobek przy budowie drogi po 2–3 milreisów dziennie, zresztą żadnych innych zapomóg im nie udzielano.

Dolne części kolonii Humboldt i Bismarck leżą już w dolinie rzeki Rio Humboldt, dopływu Rio Itapocù z lewej strony.

Ogółem jest w tej stolicy osiedlonych 8000 Niemców i 3000 Polaków.

W Bechelbrunn istnieje szkółka polska i piękny kościół, nie posiadający dotąd proboszcza.

O 30 kilometrów na południowy wschód od Sao Bento przekracza droga (Estrada Dona Francisca) w miejscowości Campo Allegre dział wodny pomiędzy Rio Negro, płynącym do Y-guassu, i Rio Cubatao, wpadającym do Atlantyku; wysokość działu wód, utworzonego przez góry Serra do San Miguel, wynosi 1140 metrów. Dalsza droga ku południowemu wschodowi prowadzi na przestrzeni 40 kilometrów przez las tylko przez dzikich Indian (Botokudów) zamieszkały, wśród górzystej okolicy wzdłuż doliny rzeki Rio Cubatao. Przejście przez wysokie pasmo Serra do Mar ma 1160 m wysokości, po czym na przestrzeni 12 kilometrów droga stromo schodzi na dół, aż do miasteczka Joinville, położonego na brzegu morskiej zatoki.

Joinville jest ładnym, czysto niemieckim miasteczkiem, liczącym około 4000 mieszkańców, oraz stolicą okręgu kolonialnego Dona Francisca, będącego, równie jak S. Bento, własnością hamburskiego towarzystwa kolonizacyjnego. Należące tutaj osady niemieckie leżą wszystkie w gorącym pasie lasów pomorskich u stóp Serra do Mar, w dolinie rzeki Pirahy, ciągnąc się ku południowemu wschodowi aż do ujścia rzeki Itapocù. Są to: Pedreira, Annaburg, Neudorf i Brüderthal. Mały parowiec utrzymuje komunikację pomiędzy Joinville a przystanią morską w Sao Francisco, w której zatrzymują się parowce brazylijskiego Lloyda²²⁷.

Na południe od Itapocù zaczynają się już nowe kolonie rządowe polskie, należące do okręgu Blumenau.

O jeden dzień drogi konnej, na południe od ujścia rzeki Itapocù, leży ujście rzeki Itajahy, będącej jedną z największych arterii komunikacyjnych prowincji S. Catharina.

Przy ujściu leży miasto portowe Itajahy²²⁸. Poza wąskim pasem płaskiego, piaszczystego wybrzeża piętrzą się niewysokie, podzwrotnikowym lasem porośnięte wzgórza, okalające dolinę rzeki i coraz wyższe w miarę zbliżania się do grzbietu gór Serra do Mar.

Itajahy prowadzi znaczny handel deskami cedrowymi (*Cedrela odorata*), dowożonymi z okolic Blumenau.

Dolina Itajahy, głęboka, okolona wysokimi górami, posiada liczne rozgałęzienia boczne, w których założono kolonie rolnicze.

Miasto Blumenau liczy 20 000 mieszkańców, wyłącznie Niemców; wszystkie kolonie bliżej miasta położone są również niemieckie, założone przez towarzystwo hamburskie. Obecnie rząd federacyjny dalszą kolonizację prowadzi sam, w ten sposób, iż przedłuża w głąb gór istniejące już niemieckie linie kolonialne, tak iż nowe osady polskie leżą wszystkie wyżej i dalej od miasta aniżeli dawne niemieckie. Niektóre z nich nawet

²²⁷brazylijski Lloyd — Companhia de Navegação Lloyd Brasileiro (pot.: Lloyd Brasileiro), brazylijskie państwowe przedsiębiorstwo żeglugowe, zał. w 1894, rozwiązane w 1997. [przypis edytorski]

²²⁸Itajahy — dziś popr.: Itajaí, miasto w Brazylii, w stanie Santa Catarina. [przypis edytorski]

przekroczyły grzbiety gór dzielących dorzecza Itajahy i Itapocù, jak np. Massaranduba, największa z osad polskich, licząca 800 rodzin.

Nazwy kolonii polskich w okręgu Blumenau są następujące: Garcia (kilkanaście rodzin), Warnów (60 rodzin), gmina Benedicto, złożona z kolonii S. Maria i innych (razem 300 rodzin); Rio Ceder (50 rodzin); Rio Pedrinho (60 rodzin), Rio Adda (400 rodzin) i Massaranduba (800 rodzin).

Administracja jest w ogóle dość niedołączna na dalszych koloniach, zwłaszcza często zapasy żywności niewystarczające, wypłaty mocno spóźnione. Stan kolonii jednak w ogóle niezły dzięki mniej wygórowanym aniżeli w Paranie cenom artykułów spożywczych. Natomiast żalą się wychodźcy na brak zarobku i w ostatnich czasach gromadnie przechodzą do Parany, znajdując zatrudnienie przy budowie kolei lub idąc na kolonie nad Y-guassu i Rio Negro.

Ceny żywności są:

Słoniny 1 kilogram — 800 reis

1 litr mąki kukurydzianej — 100 reis

1 litr *feijao* — 200 reis

cukru 1 kilo — 320 reis

ryżu 1 kilo — 340 reis

litr mąki maniokowej — 680 reis

O 40 kilometrów na południowy wschód od Itajahy, w niskiej, otwartej i gorącej dolinie rzeczki Brusque, leży kolonia tegoż imienia, porządne miasteczko o 3000 mieszkańców, Niemców i Włochów. Kolonia ta interesuje nas o tyle, iż z niej to przed 20 laty wyszli pierwsi koloniści polscy do Curitiby. Obecnie Polaków tutaj nie ma.

Indianie leśni w prowincji S. Catharina należą do szczepów najbardziej wojowniczych w Brazylii — czemu się dziwić zresztą trudno, jeśli się zważy, iż zamiast ich przygarnąć i ucywilizować, jak to uczynił sąsiedni Paragwaj z plemionami Guarani, toczy się z nimi walkę nieubłaganą, polując na „Bugrów” jak na dzikie zwierzęta. Istnieją nawet myśliwcy, tzw. *bugreros*, których specjalnością jest polowanie na Indian.

Nazwy „Bugros” i „Botocudos” obie są portugalskie i stosują się bez różnicy do wszelkich szczepów niepodległych, używających ozdób drewnianych w dolnej wardze (*botoque*). Sami nazywają się tamtejsi Indianie „Tupis” lub „Tupi-nambus”, a z budowy czaszki swojej należą do dolichocephalów²²⁹, tak samo jak stepowi Indianie Argentyny (*Indios pampas*), gdy natomiast typ paragwajskich Guarani jest wybitnie mongolski — krótkogłowy.

Do cech szczepów leśnych nad Y-guassu, podobnych z typu swego do Indian północnoamerykańskich, należą: czoło wysokie, wydatne policzki, nos orli lub prosty, o szeroko rozwartych nozdrzach. Chodzą zazwyczaj zupełnie nago, strój uroczysty natomiast składa się z korony z piór papuzich w kształcie słońca lub z czapki futrzanej z jaskrawym pióropuszem, naszyjnika z kłów dzika lub kopyt tapira i rodzaju fartuszka z frędzlami, plecionego misternie z włókien roślinnych.

Broń ich stanowi łuk prosty, długi na dwa metry, którego jedna strona jest płaska, okręcony spiralnie w bardzo zgrabny sposób cienką tasiemką z jakiejś liany wyrobioną. Końce łuku są mało zwężone, cięciwa z włókien roślinnych. Strzały są równej z łukiem długości, wyrobione z równiutkiej i cienkiej trzciny, malowanej ochrą w rozmaite zębate wzory. Dwa pióra na pół metra długie z orla, tukana lub papugi są cienkim szpagatem w ten sposób do trzonu strzały przymocowane, iż tworzą śrubę Archimedesa, dzięki czemu strzała w locie wiruje jak kula ze sztućca, a strzał zyskuje na celności. Ostrze tworzy kawałek zaostrej kości lub trzciny. Od p. Zaporskiego otrzymałem nadto włócznię o żelaznym ostrzu. Jest ona krótsza nieco od strzał, trzcina jej nieco grubsza, opatrzona piórami jak strzały, a ostrze szerokie lancetowate, płaskie, jest jeden cal²³⁰ szerokie, a cztery cale długie.

Plemiona Tupi nie są koczownicze, posiadają bowiem, tak samo jak Guarani, wśród lasów swoje osady, złożone z wielkiego szałasów, w których się mieści razem całe pokolenie i gdzie sadzą trochę manioku.

²²⁹ *dolichocephal* (z gr.) — długogłowy, o znacznie wydłużonej głowie. [przypis edytorski]

²³⁰ *cal* — dawna miara długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

Do osad tych trafić niełatwo, wszystkie bowiem ścieżki do nich prowadzące są bardzo umiejętnie zamaskowane i całkowicie niedostrzegalne dla obcych. Nadto na ścieżkach tych pełno pułapek, w które wpaść każdy nieuprzedzony musi.

W najgęstszym lesie Indianin porusza się ze swobodą leśnego zwierza, gdy biały ani kroku naprzód bez pomocy kordelasa²³¹ nie zrobi; ciemna ich barwa chroni przed okiem wroga.

Indianin w lesie jest panem — jeśli wszakże uda się prześladowcom wyprzeć ich na otwartą polanę, tracą całkowicie pewność siebie, jak zwierzę w klatce, i wówczas jeden strzelec może wymordować całą gromadę jednego po drugim, bez oporu lub usiłowania ucieczki z ich strony. Wiedzą o tym dobrze *bugreros* i korzystają niejednokrotnie z tej bezradności dzikich na otwartym polu. Indianie żywią się produktami myślistwa i owocami araukarii. Niekiedy przedsięwzięją wyprawy wojenne na osady białych, a wówczas starają się uprowadzić jak najwięcej bydła. O ludożerstwie pomiędzy nimi nie zdarzyło mi się słyszeć wiarogodnych danych. Broni zatrutej nie używają w walce.

*

24 września opuszczam Paranagua na parowcu „Rio Negro”, najmniejszym, najbrudniejszym i najpowolniejszym ze statków brazylijskiego Lloyd’a, a tak niemiłosiernie trzęsącym, że wcale pisać nie mogę w salonie. Zaznaczam przy sposobności, iż tym samym statkiem przybyła do Paranagua ostatnia już partia Polaków z Pinheiro, a jednocześnie z nimi kilkanaście rodzin z Opoczyńskiego, które przybyły na koszt własny, płacąc po 240 rubli od rodziny. Namówił ich do wyjazdu jeden z powróconych przez ks. Chełmickiego emigrantów.

Wybrzeże lądu posiada wciąż ten sam charakter, co na przestrzeni od Bahia dotąd: wysokie góry granitowe, dochodzące częstokroć do samego morza, do szczytów gęstym lasem podzwrotnikowym porośłe. Ryzoforowe bagna kończą się na południe od Paranagua.

Nazajutrz z rana zawijamy do przystani w Sao Francisco. Niemieckie, dość schludne miasteczko, z panującą nad nim białą wieżycą kościoła, przykrytą półkulistą kopułą, leży na brzegu niewielkiej zatoki, okolonej zewsząd zielonymi górami. Dzikie wycie dwóch parowców, przybijających jednocześnie, rozlega się donośnym echem pomiędzy skałami; w pobliżu okrętu igra stado wielkich, białych delfinów.

Stoimy krótko, dla wysadzenia kilkunastu Niemców, udających się do Joinville.

Po kilku godzinach jazdy stajemy wieczorem w Itajahy, drugim portowym miasteczkiem, położonym na płaskim, piaszczystym wybrzeżu.

Wejścia do obszernej i spokojnej przystani broni długa i prosta ławica piaszczysta, bardzo niebezpieczna dla żeglugi, którą tylko statki bardzo płytko w wodzie zanurzone i posiadające bardzo silną maszynę w czas cokolwiek niespokojny przebywać mogą. „Rio Negro” do liczby tych niewielu należy, co nie jest drobnostką dla wysiadających tutaj pasażerów, na otwartym bowiem morzu fala jest z powodu sąsiedztwa rafy zawsze bardzo silna, a wskakiwanie w warunkach podobnych do łódki wymaga prawdziwie akrobatycznych zdolności.

O północy tego samego dnia osiadamy na mieliźnie przy wejściu do kanału dzielącego wyspę Desterro (Wygnanie) od stałego lądu. Dopiero nad ranem możemy ruszyć dalej. O godzinie szóstej, gdy mgła się podniosła, prześliczna odkrywa się przed oczami naszymi panorama. Powierzchnia kanału, zamkniętego wąskimi cieśninami od północy i południa, gładka jak lustro, w którym się odbijają ostro kontury statków stojących na kotwicy; na prawo — dziki krajobraz górski, poszarpane szczyty granitowe, czarne, ponure, ginące w chmurach, przysłonięte lekką mgłą białych obłoczków, przesuwających się po stokach lub wznoszących pionowo jak dymy kominów z głębi lesistych wąwozów. Na lewo — również górzysta, lecz ludna wyspa, usiana mnóstwem domków wiejskich, grupami kokosów, bananów, jasnozielonymi płatami plantacji trzciny cukrowej, a brzegi najeżone nagimi, czarnymi skałami granitu.

²³¹*kordelas* — długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny; niegdyś również element uzbrojenia, używany głównie przez marynarzy; tu: jako wytrzymała broń, którą można było wyrębywać sobie drogę. [przypis edytorski]

Wprost nas, na północnym cyplu wyspy, wznosi się nad zatoką półkolistym amfiteatrem spore miasto o południowej architekturze, z wieżycami kościołów o okrągłych kopułach, bielejącymi w słońcu, ocienione palmami. Nad miastem od północy panuje złowieszcze *memento*²³²: bardzo ładny, ale też i bardzo zapełniony cmentarz, ocieniony szpalerem palm i cyprysów. Cmentarz ten, na kilkunastotysięczne miasto stanowczo za wielki, jest wskazówką niezdrowego klimatu. Sta Catharina v. Desterro jest dotychczas jeszcze miejscem wygnania dla politycznych przestępców.

W mieście mieszka kilkuset Polaków, wyłącznie rzemieślników. Wszyscy znaleźli dość korzystne zatrudnienie.

Brzeg stałego lądu od razu wznosi się bardzo stromo, tylko w północnej części cieśniny oddzielającej wyspę istnieje przestrzeń dostępniejsza; od połowy długości kanału ku południowi ciągnie się dzika, leśna, skalista i niedostępna okolica, prawie wcale niezamieszkała, aż do ujścia rzeki Tubarao przy miasteczku Laguna, gdzie znowu spotykamy nowe kolonie polskie, ogółem około 1000 ludzi liczące: Cocal, Cresciuma, N. Orleans. Wszystkie trzy leżą w gorącym pasie pomorskim, w pobliżu lokalnej linii kolejowej.

Z miejscowości tej dochodzą wciąż wiadomości o buntach emigrantów z powodu braku żywności i nieregularnych wypłat za robociznę rządową. Dzienniki prowincjonalne karzą ostro postępowanie rządu, który zamiast żywności i pieniędzy posyła na uśmierzenie kolonistów bagnety i batogi. Świeżo właśnie przed moim przybyciem oddział wojska, wysłany na poskromienie buntowników, odmówił posłuszeństwa, a oficerowie, oburzeni narzuconym sobie rzemiosłem katów morzonej głodem ludności, po powrocie do Desterro przyczynili się najbardziej do poruszenia opinii publicznej na korzyść emigrantów.

Region górzysty i leśny ciągnie się bez przerwy aż do szerokości Porto Allegre w prowincji Rio Grande do Sul, mniej więcej do linii kolei łączącej Porto Allegre i Uruguayana. Kolonie rolnicze w okolicy Porto Allegre leżą wszystkie wśród gór i lasów.

Nazajutrz po odejście z Desterro na próżno szukam gór, do których od chwili ujrzenia lądu brazylijskiego oko moje przywykło: płaski jak stół step zielony rozściela się na widnokręgu, gdziekolwiek tylko szczupłą kępą drzew urozmaicony.

Jesteśmy już w prowincji Rio Grande do Sul, posiadającej cechy argentyńskich pampasów. Olbrzymia ława piasku ciągnie się od północnych granic prowincji aż do miasta Rio Grande, oddzielając od morza obszerny liman²³³ — Lagoa dos Patos, do którego wpada od północy rzeka Rio Grande. Liman ten dostępny jest, i to z trudnością, jedynie od południa, toteż statki idące z Rio Janeiro do Porto Allegre i Pelotas muszą dwa dni drogi nakładać, nie mając bezpośredniego dostępu od strony oceanu, lecz zmuszone całą dobę płynąć limanem. Przed ławą, zamykającą wejście do limanu, stajemy w nocy dnia 27 września, podziwiając nadzwyczaj silną fosforescencję morza. Za statkiem świeci szeroka mlecznobiała smuga, grzbiety fal migają jak błędne ogniki; stado ryb, uciekające przed statkiem, wygląda jak pęk rakiet w wodzie puszczonej, a mlecznobiała, świecąca smuga, pryskająca snopami iskier, znaczy linię rafy, zamykającej nam wejście do portu. Nad ranem przebywamy szczęśliwie ławicę, pozostawiając na prawo małe miasteczko, do połowy zasypane przez lotne piaski — miasto dawniejsze, przeniesione później na ląd stały — i stajemy w przystani Rio Grande do Sul. Przystań, dla wiatrów zewsząd otwarta, należy do najgorszych, zwłaszcza iż morze w tych szerokościach rzadko bywa spokojne. Doświadczamy tego, przebywając łodzią krótką przestrzeń dzielącą nas od brzegu. Miasto, liczące około 10 000 mieszkańców, jest czysto portugalskie, nie tylko pod względem języka, lecz typu mieszkańców, architektury domów i gmachów publicznych, widocznie kopiowanych z Lizbony. Tylko malownicze położenie Lizbony naśladować się nie dało. Miasto leży na zupełnej płaszczynie, wśród słonych bagien nadmorskich, a dalsze ulice i place, nawet pomimo panującej od dość długiego czasu suszy, są trudne do przebycia z powodu olbrzymich kałuż i grząskiego błota. Roślinność drzewna, nadzwyczaj uboga i z wielkim wychowana mazołem, składa się z eukaliptów, skarlłowacialej włoskiej sosny, wierzby amerykańskiej, mimozy, cyprysów, brzoskwiń i kilku palm; dalej trochę kaktusów, agawy i wina. W środku miasta leży dość ładny skwer, z brzydkim obeliskiem w środku, będącym nieudolnym naśladowaniem pomnika niepodległości w Bu-

²³²*memento* (z łac.) — tu: nawiązanie do sentencji *memento mori* (łac.): pamiętaj o śmierci. [przypis edytorski]

²³³*liman* — rodzaj płytkiej zatoki u ujścia rzeki. [przypis edytorski]

enos Aires; u góry postać republiki we frygijskiej czapce²³⁴, u dołu napis: „19 de Mayo, 18 de Setembro 1889”; niżej: „libertade, egalidade, fraternidade, humanidade”²³⁵. Na prekór portugalskiemu wyglądowni miasta słyszy się nieustannie język hiszpański, a sympatie ludności wcale niedwuznacznie ku południowi się zwracają.

Murzynów wszędzie pełno. Dziwne to robi wrażenie po dwumiesięcznym pobycie w czysto europejskich koloniach. Na jednym z pustych, pełnych kałuż placów miejskich gromada czarnych praczek suszy bieliznę wypraną na ziemi, dając wymowny dowód, jak mały jest ruch w tej okolicy. Uderza jeszcze u ludności pewien szczegół, nieznanym gdzie indziej, a tym jest zamilowanie u rybaków do czerwonego koloru: ubierają się wszyscy niemal w grube kurty i długie portugalskie kołpaki jaskrawopąsowej barwy.

Na targowisku miejskim, wśród stosów pomarańcz przechadza się z powagą oswojony struś (*Rhea americana*)²³⁶, ulubieniec czarnych przekupek i targowej publiczności.

Przyzwyczajwszy się szukać wszędzie wychodźców polskich, udaję się i tutaj do hotelu emigracyjnego: w brudnej izbie wszakże tym mianem ochrzczonej zastaję samych Włochów i Hiszpanów. Polaków wysyłają do Porto Allegre i Pelotas lub też na granicę urugwajską, w góry Serra do Herval.

Wiadomości, jakie od uciekających z Porto Allegre („Porta Grela” u Polaków) wychodźców dochodzą, są w ogóle niepomysłne, choć w znacznej mierze przesadzone, o ile dotyczą nie pełnego rozpaczy położenia w barakach emigranckich, lecz stanu samychże kolonii.

Tak samo, jak w okolicy Curitiba i Sao Bento, istnieją tutaj pośród licznych i pomyslnie rozwijających się osad niemieckich i włoskich także kolonie polskie dawniejsze, datujące z okresu przed gorączkową brazylijską emigracją, których stan w ogóle jest pomyslny. Nowi emigranci znaleźli się tutaj w tym samym położeniu, co w S. Catharina, tj. zastali najlepsze, najbliższe miasta i kolei położone miejscowości zajęte przez kolonie niemieckie i zostali przeważnie wysiedleni w głąb gór, ku północy, w stronę granicy stanu Parana, Misji argentyjskich²³⁷ i Paragwaju. Tą też drogą niektóre rodziny do tej ostatniej republiki na kolonie rządowe się dostały.

O stanie wychodźstwa polskiego w prowincji Rio Grande do Sul posiadamy wiadomości bardzo w ogóle szczupłe. Wiadomo tylko, że Porto Allegre było miejscowością dlań fatalną, prawdziwym cmentarzyskiem polskim, gdzie dzieci zwłaszcza wymierały gromadnie. Ci, co wytrzymali piekło domów emigracyjnych i dostali się wreszcie na kolonie, mają się nieźle, jak wnosić można z listu p. Mirosława Busse z dnia 1 grudnia 1892, ogłoszonego w 9 numerze „Gazety polskiej w Brazylii”, nieodznaczającej się bynajmniej optymizmem w ocenie stosunków brazylijskiej emigracji. W korespondencji tej, pisanej z Caxias (na północ od Porto Allegre), jednej z kresowych kolonii górskich, czytamy pomiędzy innymi co następuje: „Kolonie włoskie, których tu jest mnóstwo, i coraz nowi przybywają, mają się dobrze. Co do Polaków, to mogę zapewnić, iż nie ma tu ani jednego kolonisty, który by musiał *fizonem* (czarny szablak) się żywić, każdy ma już swoją mąkę i swoją słoninę, a prawie każdy konia i krowę. Wielu też już nie chodzi na drogi wcale pracować, choć ich placą po 1500 reis dziennie, a na akord do 3000 reis zarobić mogą”.

Następuje uzalenie się na nieustanne burdy polityczne, których prowincja jest widownią, oraz na brak księdza polskiego, bo do „italiańskiego kościoła nasi chodzić nie chcą, powiadając, że to nie katolicy, ale masony!”

Nie mogąc osobiście zwiedzić rozrzuconych po całym obszarze ogromnej prowincji kolonii, udałem się z prośbą o szczegółowy obraz wychodźstwa polskiego tutejszego do p. Klemensa Wallana, delegata Towarzystwa św. Rafała w Porto Allegre, do

²³⁴frygijska czapka — stożkowe nakrycie głowy, ściśle ją opasujące, z opadającym do przodu czubkiem; dla staroż. Greków ten rodzaj czapki był charakterystyczny dla ludów ze wschodu, np. z Frygii w Azji Mniejszej; w staroż. Rzymie takie nakrycie głowy otrzymywał wyzwolieniec, stąd czapka frygijska była symbolem wolności; w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej czerwona czapka frygijska z trójkolorową kokardą (barwy flagi nowo powstałego państwa) nazywana była czapką wolności i stała się symbolem samej rewolucji. [przypis edytorski]

²³⁵libertade, egalidade, fraternidade, humanidade (port.) — wolność, równość, braterstwo, ludzkość; pierwsze trzy wyrazy to hasła Rewolucji Francuskiej, która obaliła monarchię i zaprowadziła republikę. [przypis edytorski]

²³⁶struś (*Rhea americana*) — nandu szare, duży, nielotny ptak, zamieszkujący Amerykę Południową. [przypis edytorski]

²³⁷Misji argentyjskich — mowa o argentyńskiej prowincji o nazwie *Misiones*, położonej w płn.-wsch. części Argentyny i graniczącej z Paragwajem oraz Brazylią. [przypis edytorski]

którego miałem list polecający od generalnego sekretarza towarzystwa, członka pruskiej izby panów, p. Cahenzli. List p. Wallan podaje bez komentarzy w dosłownym przekładzie, dodając tylko, iż wiadomości otrzymane w konsulacie rosyjskim w Buenos Aires od ministra pełnomocnego Rosji, p. Bogdanowa, zgadzają się z informacjami w liście tym zawartymi.

Liczba wychodźców polskich w przeciągu ubiegłego i bieżącego roku przybyłych wynosi 12 500. Z tych około 1000 odesłano z powrotem do Rio Janeiro. Pozostałych wysłano na grunta rządowe dla nich przeznaczone, utworzywszy z nich 10 nowych osad polskich.

Tymi są: Mariano Pimentel, Barao de Triumpho i Feliciano w górach Serra do Herval, S. Marco, Antonio Prado i Alfredo Chaves w okręgu Canoas, Jaguary i Juhy w górach Serra do Sao Martinho, Sao Antonio da Patrulha i S. Angelo²³⁸. Nadto dawniej osiedleni są Polacy w koloniach: Silveira Martins koło Santa Maria i w koloniach u źródeł rzeki Rio dos Antes: Soledade, Dona Izabel, Conde d'Eu i Caxias.

U tutejszych *fazendeiros* nikt z wychodźców zajęcia nie znalazł, nie będąc zdatnym do robót wymaganych przy hodowli bydła na stepie; tak samo nie starali się oni wcale o zajęcie jako wyrobownicy lub służący w mieście. Wszyscy, którzy się zdecydowali poświęcić rolnictwu, zostali wysłani do kolonii, gdzie otrzymują 80 000 *braças* kwadratowych gruntu (1 *braça*² = 4,8 metra²), czyli około 40 hektarów, narzędzia, dom etc., z obowiązkiem spłacenia sumy 800 milreisów w przeciągu pięciu lat ratami. Grunta prywatne sprzedają się tu znacznie drożej: 800–4000 milreisów za kolonię 40 hektarową, przy tym z warunkiem zapłacenia zaliczki gotówką z góry. Grunta te dla niezamożnych kolonistów są niedostępne, ponieważ właściciele żadnej im zresztą nie udzielają pomocy. Wysoka cena jest skutkiem korzystniejszego położenia w bardziej dostępnych miejscowościach.

Dotychczas wszystkie kolonie zakładano w lesie, którego gleba jest znacznie żyzniejsza od stepowej; rzadziej na gruncie mieszanym.

Wychodźcom tutaj przybyłym pozostawiono zupełną swobodę wyboru zatrudnienia, tylko w razie gdy nie chcieli się udać na kolonie rządowe, rząd odmawiał im wszelkiej dalszej pomocy ze swej strony.

Po przybyciu emigrantów pomieszczono w „hotelu emigrantów”. Hotel podobny do grudnia 1890 roku mieścił się w Porto Allegre i składał z kilku sal, niewystarczających na pomieszczenie napływających tłumów. Chcąc zapobiec natłokowi, wystawiono już w styczniu 1891 obszerny barak w Chryształ, o 2 godziny drogi za miastem, w którym często po 1500 przeszło osób naraz się mieściło. Pod względem zdrowotnym stosunki były bardzo smutne: dzieci wymarły prawie wszystkie, a i wielu dorosłych, zwłaszcza słabszej budowy, chorowało na tyfus i cholerynę²³⁹. Od stycznia do października 1891 umarło w Porto Allegre 600–800 emigrantów. Powody tej przerażającej śmiertelności leżą w nagłej zmianie klimatu, niezwykłych upałach letnich, natłoczeniu zbyt wielkiej liczby ludzi w ciasnym pomieszczeniu, wreszcie w niechlujstwie samych emigrantów, pogarszającym jeszcze stan rzeczy. Wszystkie przyczyny powyższe nie działałyby jeszcze tak zgubnie, gdyby ludzi wysyłano zaraz po przybyciu na kolonie w głąb kraju. Tymczasem pozostają oni w mieście bez potrzeby 4–5 tygodni.

Żywność otrzymują zawsze zdrową i posiłną, złożoną przeważnie ze świeżego mięsa i pszennego chleba.

Wychodźców udających się na kolonie odprowadzają na miejsce partiami pod dowództwem urzędników. Otrzymują oni na kolejach i statkach prze-

²³⁸Mariano Pimentel, Barao de Triumpho i Feliciano w górach Serra do Herval, S. Marco, Antonio Prado i Alfredo Chaves... — wszystkich tych miejscowości z wyjątkiem Serra do Herval na szczegółowej mapie kolonii niemieckich nie mogłem odnaleźć. [przypis autorski]

²³⁹choleryna (daw.) — ostre, bakteryjne zatrucie pokarmowe z objawami podobnymi do cholery (biegunka, wymioty). [przypis edytorski]

jazd bezpłatny; wewnątrz kraju przewożą ich na furach, a na złych drogach konno — silniejsi muszą iść pieszo.

Po przybyciu na kolonię emigranci pozostają przez kilka miesięcy w barakach, zanim grunta im zostaną wymierzone, domki wybudowane i drogi ukończone. Na żywność dostają kwity (*vale*), odpowiadające wartości zarobku za dni pracy spędzone przy rządowej robociznie na drogach. Kwity owe kupcy żywności przyjmują, przedstawiając w końcu miesiąca urzędowi kolonizacyjnemu do wypłaty. Kupcy z początku stawiali bardzo wygórowane ceny, wskutek czego ubodzy koloniści wyżywić się nie mogli. Zarząd kolonii usiłuje usunąć tę stronę ujemną, bądźznaczając maksymalne taksy artykułów żywności, obowiązujące dla kupców, bądź też wytwarzając niższe ceny drogą konkurencji kilku sklepikarzy. Wielu kolonistów, zrażonych niemożliwością zarobienia na życie, opuściło swoje grunta i powróciło do baraków w Chrystal, skąd odesłano ich do Rio Janeiro²⁴⁰.

Ci, którzy przybyli tutaj z pewnym zasobem pieniężnym, nie odznaczyli się oszczędnością i później niedostatek znosić musieli. Ci zaś, którzy przebyli pierwszy ogień, od razu biorąc się do pracy, są dzisiaj zadowoleni z posiadania kawałka żyznej gleby, dającego im pewność, przy odrobinie cierpliwości i pracy, zapewnienia w niedalekiej przyszłości sobie i rodzinie swojej skromnego, lecz niezależnego bytu.

Niestety jednak jakość zesłorocznych przybyszów polskich jest w ogóle niżej średniej; wielu z nich mniema, że w Brazylii złoto na ulicach bez pracy zgarniać można, a ci właśnie są najbardziej wymagającymi. Ludzie, którym ja sam dostarczyłem zajęcia w fabrykach, porzucili je po 8–14 dniach, żaląc się na niedostateczną płacę, żywność, pracę ciężką etc., gdy w tych samych fabrykach robotnicy innych narodowości byli zadowoleni. W fabrykach płace miesięczne robotników, przy całkowitym utrzymaniu²⁴¹, wynoszą 16–30 milreisów; rzemieślnicy zarabiają 2–5 milreisów dziennie.

Wielu z tych emigrantów woli żebrać, nawet ludzie młodzi i silni, a przykre wrażenie robi na osiadłego tutaj Europejczyka²⁴² widok zdrowych i silnych ludzi wałęsających się po ulicach beczynnie lub siedzących całymi dniami z wędką na brzegu morza, podczas gdy dziewczęta, kobiety i dzieci, jeśli nie żebrzą, zajmują się zbieraniem odpadków na rynku i placach publicznych.

Większość wychodźców pochodzi z Królestwa Polskiego, z guberni warszawskiej, płockiej i kaliskiej. Z początku przybywało również wielu Poznańczyków spod Gniezna. Najmniej wychodźców dostarczyła Galicja.

W hotelu emigranckim w Porto Allegre znajduje się (w październiku 1891 r.) około 1000 emigrantów polskich, żądających odesłania ich z powrotem do Europy. Rząd prowincjonalny oczekuje w tej mierze rozkazów z Rio Janeiro.

Wiadomości podane przez p. Wallana uzupełnić mogą nieco: oto oprócz wymienionych wyżej zbiegów z kolonii znaczna partia, złożona z kilkuset osób, ze stacji kolei St. Maria przedostała się przez stepy bezludne, żywiąc się mięsem upolowanych wołów, sarn i strusi, do Montevideo i Salto Oriental, gdzie się nimi zaopiekował osiadły tam dr Jurkowski. Część ich znalazła zajęcie w warsztatach okrętowych w Salto, część wstąpiła do wojska urugwajskiego, większość przedostała się do Buenos Aires i stamtąd bądź powróciła do kraju, bądź rozproszyła się po Argentynie, Chile i Paragwaju.

Co do wspomnianych w liście p. Wallana 1000 zbiegów w Porto Allegre, starania rosyjskiego konsulatu w Buenos Aires o uzyskanie od ministerstwa spraw wewnętrznych funduszu na powrót ich do kraju pozostały bez skutku; podczas późniejszych zamieszek rewolucyjnych w Rio Grande do Sul rozproszyli się za przykładem swoich poprzedników,

²⁴⁰ Wielu kolonistów (...) opuściło swoje grunta i powróciło do baraków w Chrystal, skąd odesłano ich do Rio Janeiro — rozproszyli się oni po całej Brazylii, wyginęli z nędzy lub powrócili do Europy. [przypis autorski]

²⁴¹ przy całkowitym utrzymaniu — tu: oprócz całkowitego utrzymania. [przypis edytorski]

²⁴² przykre wrażenie robi na osiadłego tutaj Europejczyka — dziś popr.: przykre wrażenie robi na osiadłym tutaj Europejczyku. [przypis edytorski]

przy czym mała część dotarła do Curitiba, reszta siedzi w Santos, S. Paulo lub Rio Janeiro, szukając możliwości powrotu do Europy.

Produkta stanu Rio Grande do Sul są następujące: *mais* (2 zbiory rocznie), fasola, ryż, pszenica, żyto, jęczmień, kartofle (2 zbiory), tytoń, wino, pomarańcze, brzoskwinie, gruszki, jabłka, banany, trzcina cukrowa oraz kilka roślin miejscowych.

Włoskie winnice koło Porto Allegre i Pelotas produkują wyborne wina, wywożone do Rio Janeiro i Sao Paulo. Głównym atoli przedmiotem handlu wywozowego są produkta hodowli bydła: suszone mięso (*charqui*), słonina i skóry.

W porcie stoimy całe półtorej doby, czekając na pocztę z Porto Allegre i Pelotas, tylko raz jeden na miesiąc odchodzącą na południe.

W kilka dni potem połączyłem się w Buenos Aires z towarzyszami moimi w celu poczynienia przygotowań do wielkiej wyprawy geograficznej przez stepy północnej Patagonii do brzegów Spokojnego Oceanu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/siemiradzki-za-morze>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Siemiradzki, *Za morze! Szkice z wycieczki do Brazylii*, I Związkowa Drukarnia we Lwowie, Lwów 1894.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie w egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6846-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).